cena 12 PLN (w tym 8% VAT) www.panstwo.net indeks 211060 #178 03/2021

Krzysztof Wołodźko
JAK SOCIAL MEDIA NISZCZĄ DEMOKRACJĘ

Piotr Lisiewicz
UŁANI, SPORTOWCY I KSIĘGARZE Z GEBETHNERA I WOLFFA

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA

NOWE PAŃSTWO



FOT. FILIP BŁAŻEJOWSKI/GAZETA POLSKA

ODWAGA I NIEZALEŻNOŚĆ

Prezes Julia Przyłębska

z Nagrodą im. Grzegorza I Wielkiego 2020

ISSN 1895-4960
6 771895 496100 03

eprasa.pl eda53d7007

TEMAT NUMERU ▼ 4–16



Westerplatte sędzi Julii Przyłębskiej / 4

IDEE ▼ 18–30



Gdzie leży Polska? / 18

HISTORIA ▼ 32–67



Ułani, sportowcy i księgarze z Gebethnera i Wolffa / 32

ŚWIAT ▼ 70–97



Trzeba wzmacniać sojusz transatlantycki / 70

Spis treści

TEMAT NUMERU

Piotr Lisiewicz
Westerplatte sędzi Julii Przyłębskiej /4

Ryszard Czarnecki
Déjà vu 2010–2020/21... /9

Hubert Kowalski
Trybunał przeciwko eugenice /10

Grzegorz Wszołek
Byli za kompromisem lub przeciw aborcji. Dziś wspierają strajk kobiet /14

IDEE

Jakub Augustyn Maciejewski
Gdzie leży Polska? /18

Krzysztof Wołodźko
Jak social media niszczą demokrację /24

Małgorzata Matuszak
Nadzieje i pułapki ksenotransplantologii /28

HISTORIA

Piotr Lisiewicz
Ułani, sportowcy i księgarze z Gebethnera i Wolffa /32

Agnieszka Kowalczyk
Generał „Nil". Niezłomny żołnierz Niepodległej /38

Dariusz Jarosiński
„Tygodnik Warszawski". Ideowa ofensywa na duszę Polaka /44

Ewa Polak-Pałkiewicz
Sztuka siadania do stołu /50

Stanisław Roskosz
Zlikwidować naukę polską. Sonderaktion Krakau 6 XI 1939 /56

Antonina Spandowska
W Sachsenhausen /57

Rozmowa Zachodniej Agencji Prasowej z prof. Tadeuszem Lehr-Spławińskim
Perfidia i bestialstwo hitlerowskie /59

Stefan Czerniecki
Jedyny taki bór w kraju /60

ŚWIAT

Z europoseł Anną Fotygą rozmawia Maciej Kożuszek
Trzeba wzmacniać sojusz transatlantycki /70

Olga Doleśniak-Harczuk
Obrazy niemieckiej pamięci /76

Hanna Shen
Tajwan – ujawnić prawdę, wyleczyć rany /82

Antoni Rybczyński
Tatmadaw, czyli „deep state" po birmańsku /86

Hanna Shen
Tak minął miesiąc w Azji /94

oprac. Antoni Rybczyński
Jak odnosić się do fenomenu Nawalnego? /96

Stałe rubryki



Katarzyna Gójska
Odwaga i niezależność. Prezes Julia Przyłębska z Nagrodą im. Grzegorza I Wielkiego 2020
NA POCZĄTEK 3



Małgorzata Matuszak
Czym jest... tęcza
KATECHIZM INTELIGENTA 17



Marek Kalinowski
W południowych promieniach słońca
DO GRAJĄCEJ SZAFY... 68



Ryszard Czarnecki
Najkrótsza historia Francji według Czarneckiego...
CZARNECKO TO WIDZĘ 75



Olga Doleśniak-Harczuk
Milszy uśmiech Bidena
Z GLOBALNEGO TYGLA 92



Marcin Wolski
Różne odcienie szarości
PAPKULTURA 98



Tomasz Sakiewicz
Świat po koronawirusie
OSTATNIE SŁOWO 99

miesięcznik
wydawca
SŁOWO NIEZALEŻNE Sp. z o.o.

REDAKCJA
02-056 Warszawa
ul. Filtrowa 63/43
e-mail: redakcja@niezalezna.pl
www.panstwo.net

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA
NOWE PAŃSTWO

ZESPÓŁ
Ryszard Czarnecki, Stefan Czerniecki, Olga Doleśniak-Harczuk (z-ca redaktora naczelnego), Bogusław Dopart, Katarzyna Gójska (redaktor naczelny), Dariusz Jarosiński, Dorota Kania, Piotr Lisiewicz, Ewa Polak-Pałkiewicz, Małgorzata Matuszak, Tomasz Sakiewicz, Hanna Shen, Bohdan Urbankowski, Jerzy Urbanowicz, Andrzej Waśko, Grzegorz Wierzchołowski, Marcin Wolski

SEKRETARZ REDAKCJI
Martyna Hajdo-Trolińska

DYREKTOR WYDAWNICZY
Tomasz Sakiewicz

PROJEKT GRAFICZNY
Mariusz Troliński

DTP
Aleksander Razcwarkow

KOREKTA
Maria Fijołek, Irena Biśta-Kanciała

INFORMACJA O PRENUMERACIE
www.prenumerata.swsmedia.pl
prenumerata@swsmedia.pl
tel. 605 900 002

NUMER KONTA DLA PRENUMERATORÓW
NIEZALEŻNE WYDAWNICTWO SP. Z O.O.
BANK PEKAO SA
82 1240 5963 1111 0010 3867 3017
(przelew z zagranicy SWIFT: PKOP PL PW)

DRUK **LOTOS POLIGRAFIA Sp. z o.o.**

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania i redagowania tekstów.
ISSN 1895-4960

eprasa.pl eda53d7007



Katarzyna Gójska

Odwaga i niezależność. Prezes Julia Przyłębska z Nagrodą im. Grzegorza I Wielkiego 2020

Do znamienitego grona naszych Laureatów dołącza właśnie Pani Sędzia JULIA PRZYŁĘBSKA. Tym wyróżnieniem chcemy docenić odwagę Pani Prezes (ale również innych sędziów Trybunału Konstytucyjnego), z jaką stoi Ona na straży porządku prawnego Rzeczypospolitej. W sposób szczególny pragniemy podkreślić znaczenie orzeczenia zakazującego tzw. aborcji eugenicznej.

Miesięcznik „Niezależna Gazeta Polska – Nowe Państwo" od kilkunastu lat przyznaje Nagrodę im. Grzegorza I Wielkiego. Powołując to wyróżnienie, kolegium redakcyjne chciało zwrócić uwagę na znaczenie prawdy w życiu publicznym i w sposób szczególny honorować tych, którzy stają w jej obronie. Stąd pomysł, by jego patronem był wybitny papież, którzy przeszedł do historii m.in. jako bezkompromisowy wróg wszelkiej manipulacji i wszelkiego kłamstwa.

Gdy przed wielu laty postanowiliśmy zapoczątkować przyznawanie naszego wyróżnienia, myśleliśmy przede wszystkim o polskiej debacie publicznej skrępowanej postkomunizmem. Z biegiem czasu nasze wyróżnienie coraz częściej zaczęło trafiać do rąk osób publicznych, które odważnie przeciwstawiają się lewicowemu terrorowi poprawności politycznej, stając w obronie wartości będących przez wieki fundamentem naszej cywilizacji i jej największą siłą.

Laureatami Nagrody im. Grzegorza I Wielkiego byli zarówno niezwykle wpływowi politycy czy ludzie ze świata nauki, jak i wybitne postaci walki o niepodległość Rzeczpospolitej. W 2010 roku wyróżnieniem pośmiertnie został uhonorowany śp. Prezydent Lech Kaczyński. Zmarły tragicznie najwyższy urzędnik RP został doceniony za przywrócenie pamięci o Żołnierzach Niezłomnych (poprzez ustanowienie dedykowanego im święta państwowego) oraz wcześniejsze działania mające na celu odkłamanie najnowszej historii Polski.

Do znamienitego grona naszych Laureatów dołącza właśnie Pani Sędzia Julia Przyłębska.

Tym wyróżnieniem chcemy docenić odwagę Pani Prezes (ale również innych sędziów Trybunału Konstytucyjnego), z jaką stoi Ona na straży porządku prawnego Rzeczypospolitej. W sposób szczególny pragniemy podkreślić znaczenie orzeczenia zakazującego tzw. aborcji eugenicznej. Istnienie w polskim prawie zapisu pozwalającego uśmiercać nienarodzone dzieci z powodu choroby było powodem do wstydu. Takie rozwiązanie – poza tym, że bezduszne i okrutne – nawiązuje wprost do norm państw totalitarnych. Trudno zatem pojąć, jak ci, którzy tak wiele mówią o tolerancji i domagają się jej dla wszelkich, nawet najbardziej wynaturzonych perwersji, nie mają jej za grosz choćby dla dzieci z zespołem Turnera, które choć nieco niższe od rówieśników, mogą z sukcesem funkcjonować w społeczeństwie, zdobywać wiedzę czy pracować. Odrzucając zapis umożliwiający tzw. aborcję eugeniczną, Trybunał Konstytucyjny oparł się potężnemu naciskowi proaborcyjnego lobby, które tym razem objawiło się w Polsce w formie wulgarnych protestów. Pokazał, iż sąd w państwie prawa stoi na gruncie prawa, a nie pod presją takich czy innych grup wpływu. To cenna lekcja – postkomunistyczne polskie sądy przez cały okres III RP działały dokładnie odwrotnie. Można śmiało powiedzieć, iż przede wszystkim spełniały zapotrzebowania swoich politycznych patronów i stały na straży ich interesów. Doceniamy także postawę naszej Laureatki – przyszło Jej bowiem zapłacić bardzo wysoką cenę za bycie niezawisłym i uczciwym sędzią. Skala pogardy, nienawiści, a przy tym wulgarność tej napaści są doprawdy przerażające. Nie mamy jednak wątpliwości, iż gwałtowność tego ataku nie wpłynie na pracę kierowanego przez Panią Prezes Trybunału Konstytucyjnego ani na odwagę wydawania orzeczeń zgodnych jedynie z literą obowiązującego prawa. ■

eprasa.pl eda53d7007

Piotr Lisiewicz



Westerplatte sędzi Julii Przyłębskiej

Cały wrzask w mediach wokół wyroku Trybunału Konstytucyjnego nie zmieni faktów najważniejszych. Jan Paweł II nazywał aborcję „odrażającą zbrodnią", a Benedykt XVI mówił, że homoseksualne małżeństwa i aborcja na świecie to znak „duchowej siły Antychrysta". Sędzia Julia Przyłębska deklaruje, że wyrok Trybunału Konstytucyjnego miał charakter wyłącznie prawny, a nie ideologiczny. I tak jest – interpretował po prostu konstytucyjny przepis. Jednak jego wydanie w czasach politycznej poprawności było szokiem. Że ktoś się odważył orzec akurat w tej sprawie... zgodnie z prawem. „To bardzo ważne, aby mimo tych, noszących znamiona gróźb, sugestii i apeli, tych wulgarnych ataków, orzekać zgodnie z najlepszą wiedzą i sumieniem. Sędzia musi być odważny. Odwaga to gwarancja naszej niezawisłości" – mówiła sędzia Julia Przyłębska w „Gazecie Polskiej". To za tę odwagę przyznajemy Jej Nagrodę św. Grzegorza I Wielkiego.



fot. Filip Błażejowski/Gazeta Polska

To wyrok, w wyniku którego Polska weszła na drogę, jaką prorokował dla niej Jan Paweł II, mówiąc o szczególnej roli, jaką ma do odegrania w Europie. Ale może on zmienić także polski wymiar sprawiedliwości, który do 1945 roku nieprzerwanie, od Sądu Najwyższego po sądy rejonowe, cechował się konformizmem wobec tej samej politycznej siły.

„Wykurzanie", „wytropić, gdzie się schowali"

To, czego doświadczyła prezes polskiego Trybunału Konstytucyjnego po wydaniu tego jedynego możliwego z punktu widzenia prawa wyroku, opisały z dumą media opozycji. Portal oko.press zatytułował swój tekst: „Dziewuchy wykurzyły Przyłębskich z rezydencji w Berlinie" (gdzie polskim ambasadorem jest mąż Julii Przyłębskiej). Nadużywanie porównań do czasów NSDAP jest plagą w politycznym dyskursie, jednak dumna relacja z zaszczuwania sędzi prowokuje podobne analogie: „Dziewuchy Berlin rozdały ulotkę demaskującą, kim jest Julia Przyłębska, jej berlińskim sąsiadom, a także manikiurzystce, kosmetyczce, fryzjerce, handlarzowi win, lokalnej parafii i ulubionej restauracji. Protesty wypłoszyły Przyłębskich z ambasadorskiej willi. Może uda nam się wytropić, gdzie się schowali".

Autorzy bandyckiej akcji nie kryli, jaki jest ich cel: „Żeby poczuła ten strach, który czują w Polsce dziewczyny, kiedy robią test ciążowy i widzą te czerwone kreski, albo gdy lekarz USG mówi, że wie pani, dziecko nie jest zdrowe". Dlatego na ulotkach podany został jej adres: „Wasza cicha, piękna okolica zmieniła się w ostatnich dniach w miejsce głośnych protestów. Zapewne zastanawiacie się, o co chodzi. Sprawa tyczy się Waszych sąsiadów, zamieszkałego pod numerem [...] małżeństwa Przyłębskich".

„Ekskomunika społeczna", czyli jak to działa

Cała ta reakcja sił zła została świetnie opisana przez Jana Pawła II i Benedykta XVI. Benedykt XVI mówił o działaniach aborcjonistów: „Współczesne społeczeństwo dąży do sformułowania antychrześcijańskiego wyznania: każdy, kto mu zaprzecza, podlega ekskomunice społecznej. Obawa przed tą duchową mocą Antychrysta jest aż nazbyt naturalna, a naprawdę potrzebne są modlitwy całych diecezji i Kościoła światowego dla ratunku i aby się jej oprzeć".

Zaś Jan Paweł II pisał o psychologicznym przygotowywaniu m.in. Polaków do akceptacji aborcji w encyklice „Evangelium Vitae": „Akceptacja przerywania ciąży przez mentalność, obyczaj i nawet przez prawo jest wymownym znakiem niezwykle groźnego kryzysu zmysłu moralnego, który stopniowo traci zdolność rozróżnienia między dobrem i złem, nawet wówczas, gdy chodzi o podstawowe prawo do życia. Wobec tak groźnej sytuacji szczególnie potrzebna jest dziś odwaga, która pozwala spojrzeć prawdzie w oczy i nazywać rzeczy po imieniu".

Jan Paweł II: „Świat zmieniłby się w koszmar..."

Stan prawny dotyczący dopuszczalności aborcji w Polsce nazywany był często aborcyjnym kompromisem. Po stronie chrześcijan pragnących chronić życie nie było w III RP jednomyślności, co powinno stać się dalej. Na tle Europy życie chronione było na wyższym niż przeciętnie poziomie. Znaczna część zwolenników kompromisu uważała, że najpierw pracować trzeba nad uświadamianiem Polakom, czym jest aborcja, a dopiero gdy poziom tej wiedzy będzie wystarczający, przyjdzie czas na zmianę prawa. Ale czy taki czas w ogóle nadejdzie? Czy Polski nie zmienią w odwrotnym kierunku procesy laicyzacji? – zastanawialiśmy się.

W tym czasie z jednej strony wielu obrońców życia z wielką ofiarnością robiło wszystko, by ograniczyć liczbę aborcji i skutki wyrządzanego zła. Duchowe adopcje dziecka poczętego, okna życia, hospicja perinatalne, opieka nad młodymi matkami, które mimo przeciwności zdecydują się urodzić – wszystko to było wielkim świadectwem żywotności polskiego Kościoła.

Z drugiej strony zło nie próżnowało. Pierwsza próba zniszczenia chrześcijańskiej tożsamości Polski miała miejsce na początku lat 90. Wtedy, gdy w 1991 roku Jan Paweł II chyba jedyny raz w czasie pontyfikatu krzyczał na Polaków w Kielcach. W homilii tej mówił: „Świat zmieniłby się w koszmar, gdyby małżonkowie znajdujący się w trudnościach materialnych widzieli w swoim poczętym dziecku tylko ciężar i zagrożenie dla swojej stabilizacji; gdyby z kolei małżonkowie dobrze sytuowani widzieli w dziecku niepotrzebny, a kosztowny dodatek życiowy". Antyklerykalna fala w ciągu kilku lat opadła.

20 lat później, w okolicach 2011 roku, dowiedzieliśmy się jednego – podobne procesy są nadal w Polsce odwracalne. Janusz Palikot, który miał być wówczas dość obrzydliwym narzędziem rewolucji przeciwko chrześcijaństwu i polskości, przegrał. Gdy w 2012 roku został przegoniony z protestów w sprawie ACTA, stało się jasne, że u nas nie będzie jak w wielu krajach Zachodu.

Uczciwi obrońcy życia i rosyjska piąta kolumna

Bunt młodzieży przeciwko rządom PO oznaczał także jej światopoglądowy skręt na prawo. W wyborach z 2015 roku 66 proc. młodzieży zagłosowało na

eprasa.pl eda53d7007

różne ugrupowania deklarujące się jako prawicowe. Część z tych młodych ludzi wręcz domagała się od rządów PiS: zróbcie coś z aborcją, czemu tchórzycie? Wielu Polakom brzmiały w uszach słowa Jana Pawła II: „Tym, kto zostaje zabity, jest istota ludzka u progu życia, a więc istota najbardziej niewinna, jaką w ogóle można sobie wyobrazić: nie sposób uznać jej za napastnika, a tym bardziej za napastnika niesprawiedliwego! Jest ona słaba i bezbronna do tego stopnia, że jest pozbawiona nawet tej znikomej obrony, jaką stanowi dla nowo narodzonego dziecka jego błagalne kwilenie i płacz".

Dodajmy koniecznie, że nie wszystkim obrońcom życia przyświecały uczciwe cele. Aborcja została uznana przez prorosyjską, czyli antypolską prawicową piątą kolumnę za jeden z tematów, dzięki którym może zaistnieć w polskim życiu politycznym, osłabiać i rozbijać polski obóz niepodległościowy. To z tych kręgów padał niedawno obrzydliwy argument odnoszący się do „piątki dla zwierząt": „To zwierzęta chcecie chronić, a dzieci nie?".

> Nie było po wyroku Trybunału Konstytucyjnego bardziej wzruszających słów niż te wypowiedziane przez Wandę Półtawską: „Po sześćdziesięciu latach wreszcie zwycięstwo, tego pragnął Ojciec Święty Jan Paweł II".

„Powinność, od której nie można zdezerterować"

Wśród warunków dopuszczalności aborcji przesłanka eugeniczna była dla wielu chrześcijan szczególnym wyrzutem sumienia. To nie zagrożenie dla życia czy zdrowia matki, to nie tragedia i trauma gwałtu, tylko zabójstwo dziecka, bo choruje na zespół Downa czy Turnera. I w tej, i tylko w tej sprawie Trybunał powiedział: dość.

Nie było po wyroku Trybunału Konstytucyjnego bardziej wzruszających słów niż te wypowiedziane przez Wandę Półtawską: „Po sześćdziesięciu latach wreszcie zwycięstwo, tego pragnął Ojciec Święty Jan Paweł II; jestem bardzo szczęśliwa, że tego dożyłam". Profesor Półtawska podkreśliła, że prawo do życia jest prawem naturalnym i „na zdrowy rozum nie wolno zabijać – do tego nie potrzeba Trybunału. Normy etyczne nie podlegają głosowaniu, ale Bogu".

Możliwość osobistego udziału w mszach świętych była w tym czasie ograniczona i parę dni później oglądałem transmisję mszy z Jasnej Góry. Ogromne wrażenie zrobiły na mnie słowa jednego z paulinów, który powiedział, że stało się coś wielkiego – Polska poszła w odwrotnym kierunku, niż zmierza laicyzująca się Europa. Na ulice wyszły setki tysięcy porwane przez zło, a z Jasnej Góry padały słowa pełne przekonania, że spełnia się wizja świętego Jana Pawła II o szczególnej roli, jaką Polska odegra w Europie. I poczucie, że Pan Bóg da siłę tym, którzy ratują życie, by ich walka nie była daremna.

To się czuło już parę tygodni później: mimo krótkiego okresu przygniecenia przez siły zła, siły dobra nie straciły woli walki. Okazało się, że niektóre argumenty w obronie życia są nieskuteczne tylko wtedy, gdy... nie padają, gdy ich nie wypowiadamy. Że kiedy przetestujemy ich siłę w boju, to ona nie jest wcale taka znikoma. Że filmik Jaoka, który pokazuje, jak ogłupieni przez media są skłonni chronić skrzek żaby rzekotki, ale nie poczęte ludzkie życie, ma moc oddziaływania.

Chodziły po głowie myśli, że może Pan Bóg swoim zwyczajem nie nałożył na nas ciężarów nie do zniesienia. Iż dostrzegł w polskiej wspólnocie potencjał, pozwalający wygrać tę walkę. I może jest tak, że dla Julii Przyłębskiej miało być to owo Westerplatte z kazania Jana Pawła II: „Słuszna sprawa, o którą nie można nie walczyć", „Powinność, od której nie można zdezerterować".

Czy casus sędzi Przyłębskiej może zmienić wymiar sprawiedliwości?

Ten odważny i ryzykowny wyrok wydany został w czasie, gdy pierwszy raz podjęta została w Polsce po 1989 roku naprawdę możliwie głęboka reforma sądownictwa. Sąd Najwyższy i Trybunał Konstytucyjny były w III RP wielokrotnie wykorzystywane jako bezpieczniki systemu, uniemożliwiające demontaż postkomunizmu. Szczególnie skandaliczny był wyrok Trybunału Konstytucyjnego z 2007 roku, w którym zablokował on lustrację na uniwersytetach. Sądy III RP chroniły komunistycznych zbrodniarzy, nie potrafiły też poradzić sobie z wieloma aferami gospodarczymi.

Główną cechą charakterystyczną wymiaru sprawiedliwości III RP odziedziczoną po PRL był konformizm wobec interesów postkomunistycznej sitwy. On rozciągał się od góry do dołu: wielu młodych sę-

eprasa.pl eda53d7007

dziów Sądów Rejonowych nie było zdolnych do przeciwstawienia się ich prezesom czy innym starszym kolegom.

▶ Koniec „sędziów nowego typu”?

Głośny wyrok w sprawie aborcji może być początkiem prawdziwej rewolucji mentalnej, anulującej zmiany, które opisałem w artykule „Walka o nowy typ sędziego”, opublikowanym w „Nowym Państwie” z 2011 roku nr 7. Ten działający do dziś konformizm był skutkiem bardzo konkretnej inżynierii społecznej, jaką wdrożyli komuniści, budując wymiar sprawiedliwości PRL.

Jak pisałem, obecny polski wymiar sprawiedliwości jest kontynuacją tworu, który powstał w 1943 roku w Związku Sowieckim. Po aresztowaniu przedwojennych sędziów tzw. grupy operacyjne wkraczające z Rosjanami zakładały nowe sądy, których celem było wychowanie tzw. sędziów nowego typu, służących komunistom. Znakomicie opisał tę „walkę o nowy typ sędziego” nieżyjący już historyk IPN Grzegorz Jakubowski w książce „Sądownictwo powszechne w Polsce w latach 1944–1950” z 2002 roku. Na polecenie Bolesława Bieruta sowiecki generał Aleksander Tarnowski opracował koncepcję organizacji powszechnego wymiaru sprawiedliwości w PRL. Tarnowski pisał, że prawnik „musi być aktywnym bojownikiem ustroju demokratycznego, szermierzem jego ideałów zarówno w życiu prywatnym, jak i zawodowym”.

Sędzia Aleksander Rypiński na łamach „Demokratycznego Przeglądu Prawniczego” stwierdzał w 1948 roku: „Chodzi o to, aby »miecz« naszej sprawiedliwości nie działał na oślep w myśl jakichś abstrakcyjnych, oderwanych od życia zasad, lecz potrafił w wirze ścierających się sił uderzyć całym swoim ostrzem we wroga klasowego”.

▶ „Stosunki towarzyskie, wspólne zajęcia, sport, myślistwo”

Jak wyglądał ciąg dalszy w III RP? Paradoksalnie dość trafnie mechanizm ten opisał niedawny rzecznik Sądu Najwyższego, sędzia Michał Laskowski, w artykule „Korupcja w polskich sądach powszechnych – zagrożenia i fakty” w 2005 roku w niszowej książce pod redakcją Emila W. Pływaczewskiego „Przestępczość zorganizowana. Świadek koronny. Terroryzm”.

Laskowski pisał w niej, że fakt braku rozliczenia sędziów z czasów PRL „stanowi swego rodzaju usprawiedliwienie dla współczesnych nieetycznych zachowań na zasadzie, że skoro oni nie ponieśli konsekwencji, skoro nawet nie są potępieni publicznie, to czemu ja mam prezentować najwyższy poziom etyczny?”. Wskazywał na działanie w zawodzie osób niewłaściwych: „Zdarzały się braki odpowiednich cech charakteru, słabe osobowości, osoby nierzetelne, podatne na wpływy”. Jak przyznawał Laskowski, sędziowie, którzy próbują walczyć z nieprawidłowościami, mogą ponosić przykre konsekwencje: „Etykieta donosiciela w środowisku może na wiele lat zaburzyć stosunki koleżeńskie lub możliwość awansu, co nie pozostaje bez wpływu na postawę sędziów”. Wskazywał na mechanizm powstawania sitw: „Utrzymywane stosunki towarzyskie, wspólne zajęcia, sport, myślistwo”.

▶ Jeśli Julia Przyłębska wygra, to stare hierarchie nie obowiązują

Wyrok wydany przez Trybunał Konstytucyjny w sprawie aborcji może zmienić wymiar sprawiedliwości, jeśli okaże się, że Julii Przyłębskiej i pozostałych sędziów orzekających wbrew całemu postkomunistycznemu lobby, poprawności politycznej i siłom zewnętrznym nie spotka za to kara. To byłaby, ze względu na głośny charakter sprawy, demonstracja – stare hierarchie już nie obowiązują, postkomunizm przegrywa, nie warto szukać w nim oparcia. ■

PARTNERZY STRATEGICZNI:
ORLEN PGNiG PZU
PARTNERZY GŁÓWNI:
KGHM Bank Pekao Bank Polski LOTOS
PARTNERZY:
BGK Poczta Polska TAURON

eprasa.pl eda53d7007

Ryszard Czarnecki

Déjà vu 2010–2020/21...

Mam poczucie déjà vu. Bo to, co mogłem obserwować w kontekście protestów w Warszawie po decyzji Trybunału Konstytucyjnego, przypominało mi – i to bardzo – wydarzenia z wiosny 2010 roku na Krakowskim Przedmieściu.

Kto inny rządzi, trochę inne czasy, inne wyzwania (pandemia), ale identyczna wulgarność, przemoc słowna, mowa nienawiści wobec Kościoła, jego hierarchów i duchownych, również nieukrywane poczucie wyższości, ba, arogancji, czasem przechodzące w pogardę wobec ludzi wierzących w ogóle.

Są manifestacje, których organizatorzy, liderzy, uczestnicy odwołują się do tego, co najlepsze w człowieku. Są też takie, które wyzwalają najniższe instynkty. Oczywiście te drugie zdarzały się nad Wisłą nie tylko w czasach Palikota – podczas „rzezi galicyjskiej" Jakuba Szeli w 1846 roku „czerń" paliła i rabowała szlacheckie dworki i ziemiańskie pałace tylko dlatego, że ich właściciele stanowili szlachtę czy, rzadziej, arystokrację.

„Psychologia tłumu" Gustawa Le Bona ujawnia mechanizmy, jakie rządzą wspólnotą, choćby chwilową, odwołującą się do negacji lub/i pierwotnych instynktów. Absolutnie rozumiem, że ktoś może mieć inne zdanie niż ja w sprawie ochrony życia. Nikogo nie potępiam, bo przecież mamy czołowych dziś pro-liferów, którzy jako lekarze pozbawiali życia dzieci nienarodzone. Każdy ma prawo do rachunku sumienia, zadośćuczynienia i poprawy. Nie mogę jednak zrozumieć i zaakceptować ani fizycznych ataków na Kościół, ani – uwaga – bezczeszczenia miejsc pamięci narodowej, jak umieszczanych w kościołach czy obok nich tablic ku czci żołnierzy poległych za ojczyznę lub osobno stojących pomników (tablic) patriotycznych, a także pomników polskiego papieża.

Okazuje się, że zdziczenie nie ma granic. Barbaria cieszy się, że może zaistnieć jako barbaria. Nie mogę też zaakceptować języka, który ze wszystkich księży czyni pedofili, a z ludzi wierzących – ciemniaków czy frajerów.

Tyle o formie. Pamiętajmy wszak, że forma jest zawsze wyrazem treści. Problem jest tym większy, że na antykatolickie grepsy jest przyzwolenie, a nawet aplauz sporej części mediów i osób publicznych, które bronią chamstwa i nienawiści ubranych w wolnościowe frazesy. Dla tych środowisk przekleństwa, wulgaryzmy, rynsztok słowny są formą ekspresji, której nie wolno tłumić. Ci sami ludzie (media) byli skrajnie oburzeni, gdy środowiska narodowców blokując marsze LGBT lub organizując pikiety na ich trasie, również używały nieraz dość brutalnego słownictwa. Wówczas był to powód do larum na całą Europę i pół świata. Dziś mowa nienawiści, zresztą słyszana na często nielegalnych (!) demonstracjach, jest czymś nie tylko zrozumiałym, lecz wręcz... pożądanym.

Jednym słowem, zwolennicy „pro-choice", nawet o tym pewnie nie wiedząc, używali podwójnych standardów rodem z I Rzeczypospolitej: „Co wolno wojewodzie, to nie tobie, smrodzie". Skądinąd ich zapatrzenie w Unię Europejską pasowało jak ulał: UE bowiem wręcz specjalizuje się w takich „double standards" – „podwójnych standardach", gdzie Kali może kraść krowę, ale kradzież krowy Kalemu to już największe złodziejstwo.

Przechodząc wreszcie do treści. To, co działo się na ulicach, ale przecież także w dużej części mediów wspierających opozycję, pokazuje, co nas czeka w Sejmie RP, gdyby zmienił się układ polityczny w Polsce: wahadło pójdzie bardzo mocno w lewo. Co więcej, będzie na to polityczne przyzwolenie także tych środowisk i ludzi, którzy jeszcze kilka lat temu uważali, że należy w jakiejś mierze chronić życie poczęte, a przynajmniej że jest ono wewnętrzną sprawą państw członkowskich UE – dlatego byli przeciwni unijnej presji w tym obszarze. Chodzi choćby o europosłów PO, którzy wspólnie z PiS (!) odrzucili sprawozdanie skrajnie lewicowej portugalskiej posłanki Edite Estreli w Parlamencie Europejskim w grudniu 2013 roku. Dziś o czymś takim już niestety nie ma mowy...

„Kompromis aborcyjny" przetrwa w tej czy innej formie tylko za rządów obozu patriotycznego. Gdy opozycja uzyska większość w Sejmie, przeprowadzi w tej kwestii rewolucyjne wręcz zmiany. ■

eprasa.pl eda53d7007



Hubert Kowalski



Trybunał przeciwko eugenice

Trybunał Konstytucyjny uznał, że w polskim prawie niedopuszczalna jest aborcja z powodu przewidywanego stanu zdrowia dziecka oraz ewentualnego dyskomfortu jego życia po urodzeniu. Jednocześnie podkreślił, że państwo ma obowiązek zapewnienia odpowiedniej pomocy matkom znajdującym się w najtrudniejszej sytuacji.

eprasa.pl eda53d7007

Przesłanka eugeniczna w Ustawie o planowaniu rodziny, ochronie płodu ludzkiego i warunkach dopuszczalności przerywania ciąży od lat wzbudzała ostre spory. W listopadzie 2019 roku grupa 118 posłów zwróciła się do Trybunału Konstytucyjnego z wnioskiem o zbadanie zgodności z Konstytucją tych przepisów. Wyrok w sprawie zapadł 22 października 2020 roku. Trybunał stwierdził niekonstytucyjność art. 4a ust. 1 pkt 2. Przepis ten przewidywał możliwość usunięcia ciąży przez lekarza, jeżeli „badania prenatalne lub inne przesłanki medyczne wskazują na duże prawdopodobieństwo ciężkiego i nieodwracalnego upośledzenia płodu albo nieuleczalnej choroby zagrażającej jego życiu". Uzasadnienie wyroku zostało opublikowane 27 stycznia bieżącego roku. Najważniejsze w tej sprawie były artykuły 38 i 30 Konstytucji.

In dubio pro vitae humana

Wnioskodawcy podkreślali m.in., że niektóre przepisy „legalizują praktyki eugeniczne w stosunku do dziecka jeszcze nieurodzonego, odmawiając mu tym samym poszanowania i ochrony godności człowieka". Pisali również o niedopuszczalnym „uzależnieniu ochrony prawa do życia dziecka jeszcze nieurodzonego od jego stanu zdrowia, co stanowi zakazaną bezpośrednią dyskryminację". Ich zdaniem przerywanie ciąży było możliwe „bez dostatecznego usprawiedliwienia koniecznością ochrony innej wartości, prawa lub wolności konstytucyjnej", a przepisy posługiwały się „nieokreślonymi kryteriami tej legalizacji, naruszając w ten sposób gwarancje konstytucyjne dla życia ludzkiego". Zwracano uwagę, że istniała dopuszczalność aborcji ze względu na duże prawdopodobieństwo upośledzenia czy choroby, a nie ze względu na aktualny stan zdrowia. Oznaczało to przyjęcie domniemania na niekorzyść dziecka poczętego, co niesłusznie legalizowało możliwość doprowadzenia do jego śmierci. Jednocześnie w Polsce możliwa była odpowiedzialność odszkodowawcza w sytuacjach, gdy zaistniało prawo do aborcji, ale doszło do nieprawidłowości, w wyniku których lekarz nie przerwał ciąży. Sąd Najwyższy wcześniej uznał, iż takie sytuacje stanowią czyn niedozwolony lekarza. Wnioskodawcy podnosili natomiast, że stan taki był sprzeczny z zasadą rozstrzygania „in dubio pro vitae humana", czyli „w razie wątpliwości na korzyść życia ludzkiego". Według tej zasady wszelkie wątpliwości w zakresie ochrony życia powinny być rozstrzygane na rzecz tej ochrony.

Zmiany w prawie

Omawiana ustawa weszła w życie w 1993 roku. W jej pierwszym artykule wyrażona została zasada: „Każda istota ludzka ma od chwili poczęcia przyrodzone prawo do życia" (ust. 1), a „Życie i zdrowie dziecka od chwili jego poczęcia pozostają pod ochroną prawa" (ust. 2). Jak podkreślił w uzasadnieniu Trybunał, w 1996 roku warunki dopuszczalności przerywania ciąży zostały istotnie zliberalizowane. Możliwe było dokonanie aborcji również, gdy kobieta ciężarna znajdowała się w ciężkich warunkach życiowych lub trudnej sytuacji osobistej. Była to tzw. przesłanka społeczna. Przesłanka obejmująca wskazanie na „ciężkie i nieodwracalne uszkodzenie płodu" została zastąpiona wskazaniem na „ciężkie i nieodwracalne upośledzenie płodu" albo „nieuleczalną chorobę zagrażającą jego życiu". Ponadto charakter tego wskazania został złagodzony poprzez wymóg jedynie „dużego prawdopodobieństwa". Przesłanka społeczna została jednak usunięta wskutek orzeczenia TK o sygnaturze K26/96.

Przepis, który w 2020 roku został przez TK uznany za niekonstytucyjny, posługiwał się kryteriami ocennymi. Decyzja lekarza nie miała jednak charakteru swobodnego. Jednocześnie do podjęcia przez lekarza decyzji nie była potrzebna pewność w kwestii ciężkiego i nieodwracalnego upośledzenia płodu albo nieuleczalnej choroby zagrażającej życiu. Wystarczyło bowiem duże prawdopodobieństwo. Prawnicza doktryna podkreśla jednak, że pojęcie „duże prawdopodobieństwo" nie zachowuje aktualności w świetle obecnej wiedzy medycznej. Możliwe jest bowiem skuteczne dokonywanie zabiegów leczniczych względem płodu w łonie matki, a także wdrożenie intensywnych działań bez przedwczesnego niekiedy stawiania diagnozy, która wskazywała tylko na prawdopodobieństwo. TK zwrócił uwagę, że pojęcie „ciężkie i nieodwracalne upośledzenie płodu" miało charakter nieostry.

Zwrócono także uwagę na problemy interpretacyjne w kwestii dopuszczenia aborcji do chwili osiągnięcia przez płód zdolności do samodzielnego życia poza organizmem kobiety ciężarnej. „Trybunał przyjął, że intencją ustawodawcy było uelastycznienie tego terminu, poprzez związanie go z ewentualnym rozwojem nauk medycznych, które tę zdolność do samodzielnego życia mogą przesuwać. TK podzielił założenie wyrażone w orzeczeniu z 1997 roku (K 26/96), uznając, że ustawa dotycząca aborcji zalegalizowała określone zachowania, które są zasadniczo zabronione przez Kodeks karny".

fot. Filip Błażejowski/Gazeta Polska

eprasa.pl eda53d7007

Eugeniczność

Trybunał przypomniał, że eugenika pojawiła się na początku XX wieku jako nauka, która towarzyszyła rozwojowi genetyki. „Ojcem eugeniki był Francis Galton, dla którego genetyka otwierała możliwości manipulacji gatunkowych, pozwalających zdolnym rodzicom przekazywać swoje wybitne kompetencje dzieciom. Eugenika miała, zdaniem Galtona, zajmować się „problemami związanymi z tym, co określone jest po grecku dosłownie eugenes, dobry z pochodzenia, obdarzony z urodzenia szlachetnymi przymiotami". Jak dodano, z czasem dyskusje dotyczące tak postrzeganej „eugeniki" zostały zastąpione przez „eugenikę liberalną", czyli możliwość manipulacji genetycznych, już nie na zlecenie państwa, lecz na życzenie osób prywatnych, głównie rodziców, których efektem miał być jak najlepszy osobnik ludzki. „O ile jednak w przypadku eugeniki autorytarnej państwo podejmuje decyzje i ponosi odpowiedzialność za kształt dobrego życia swoich obywateli, jak wskazuje Nicholas Agar, o tyle w przypadku eugeniki liberalnej rola państwa zostaje ograniczona jedynie do informowania rodziców o możliwościach wynikających z najnowszych technik inżynierii genetycznej" – czytamy w uzasadnieniu.

W ocenie Trybunału opisywany warunek umożliwiający usunięcie ciąży miał charakter eugeniczny w rozumieniu eugeniki liberalnej. „To nie państwo promuje jedynie obywateli zdrowych, sprawnych, o najwyższych kompetencjach, ale pozostawia ono wybór dotyczący zachowania życia i dalszej chęci wychowywania dziecka, które może nie być zdrowe i będzie wymagać wzmożonej opieki" – zauważono w uzasadnieniu.

Godność

Przypomniano, że zgodnie z art. 30 Konstytucji „przyrodzona i niezbywalna godność człowieka stanowi źródło wolności i praw człowieka i obywatela. Jest ona nienaruszalna, a jej poszanowanie i ochrona jest obowiązkiem władz publicznych". Trybunał podkreślił, że „godność, jako przyrodzona i niezbywalna, nie wymaga legitymacji normatywnej, gdyż jej źródłem nie jest żadne uprawnienie nadawane przez państwo. Co więcej, jest ona w stosunku do niego pierwotna i stanowi swego rodzaju otwarcie systemu konstytucyjnego na wartości pozaprawne i uprzednie względem prawa" – czytamy w uzasadnieniu. Zatem godność nie jest elementem ustanowionym przepisami. TK podkreślił, że źródłem tej godności nie jest tylko dobrostan, lecz samo istnienie osoby ludzkiej. „By można było chronić godność jako przedmiot ochrony konstytucyjnej, musi istnieć podmiot, któremu ową cechę można przypisać, czyli człowiek jako jednostka biologiczna" – podkreślono. TK uznał istnienie dyrektywy interpretacyjnej, wedle której wszelkie możliwe wątpliwości co do ochrony życia ludzkiego powinny być rozstrzygane na rzecz tej ochrony (in dubio pro vita humana). Natomiast fakt, iż ochrona życia zapewniona jest każdemu bez wyjątku człowiekowi, oznacza także, iż niedopuszczalne byłoby różnicowanie wartości ludzkiego życia w zależności od na przykład pozycji społecznej albo wieku konkretnej osoby.

W uzasadnieniu TK przypomniał, iż już w 1997 roku Trybunał podkreślił rolę art. 2 Konstytucji, w którym wyartykułowana została zasada demokratycznego państwa prawnego. Wynika z niej, że od momentu powstania życie ludzkie staje się wartością chronioną konstytucyjnie. Dotyczy to również fazy prenatalnej. W orzeczeniach napisano także o obowiązku ochrony macierzyństwa i rodziny. „Ochrona macierzyństwa nie może oznaczać wyłącznie ochrony interesów kobiety ciężarnej i matki. [...] Podstawowa, prokreacyjna funkcja rodziny zakładać musi, iż życie poczętego dziecka musi korzystać z ochrony, którą konstytucja przewiduje dla rodziny, stając się tym samym wartością konstytucyjną" – czytamy. Na gruncie tej sprawy Trybunał również stwierdził, że obowiązek ochrony życia ludzkiego znajduje oparcie w art. 2 Konstytucji. „Niedopuszczalne jest twierdzenie, że z uwagi na jakieś cechy jedna jednostka jest mniej warta od innej jako człowiek. Twierdzenie to odnosi się nie tylko do fazy postnatalnej, ale dotyczy także fazy prenatalnej życia człowieka. Bez względu na fakt narodzin cecha danej istoty, którą jest bycie człowiekiem, nie ulega zmianom" – podkreślił Trybunał. „Podstawą tego stwierdzenia jest spostrzeżenie, że rozwój człowieka i jego osobowości jest procesem stopniowalnym, który rozciąga się na okres przed, jak i po urodzeniu. [...] Ochrona ta dotyczy każdej żyjącej istoty ludzkiej, zaś okres jej życia i stopień rozwoju nie ma w tym zakresie znaczenia" – czytamy dalej w uzasadnieniu.

Prawo międzynarodowe, RPD i KC

Trybunał podkreślił również zobowiązania płynące z prawa międzynarodowego, a konkretnie z Międzynarodowego Paktu Praw Obywatelskich i Politycznych, zgodnie z którym każda istota

eprasa.pl eda53d7007

ludzka ma przyrodzone prawo do życia. W ocenie TK przez „istotę ludzką" należy rozumieć człowieka zarówno w fazie przed urodzeniem, jak i po nim. Dalej TK zwrócił uwagę na Ustawę o Rzeczniku Praw Dziecka. W jej rozumieniu dzieckiem jest „każda istota ludzka od poczęcia do osiągnięcia pełnoletności". „Ustanowienie przez ustawodawcę przepisu o takim brzmieniu jest tym bardziej doniosłe, albowiem Rzecznik Praw Dziecka jest konstytucyjnym organem, stojącym na straży praw dziecka określonych w Konstytucji, Konwencji o prawach dziecka i innych przepisach prawa, z poszanowaniem odpowiedzialności, praw i obowiązków rodziców" – napisano w uzasadnieniu. Z punktu widzenia Trybunału istotny jest również fakt, iż ustawodawca chroni także majątkowe i niemajątkowe interesy dziecka poczętego, na co wskazują na przykład niektóre przepisy Kodeksu cywilnego. Dziecko po urodzeniu może bowiem żądać naprawienia szkód doznanych przed urodzeniem.

Zasada proporcjonalności

Trybunał podkreślił, że zgodnie z art. 31 ust. 3 Konstytucji „ograniczenia w zakresie korzystania z konstytucyjnych wolności i praw mogą być ustanawiane tylko w ustawie i tylko wtedy, gdy są konieczne w demokratycznym państwie dla jego bezpieczeństwa lub porządku publicznego, bądź dla ochrony środowiska, zdrowia i moralności publicznej, albo wolności i praw innych osób. Ograniczenia te nie mogą naruszać istoty wolności i praw". To sformułowanie stanowi podstawę zasady proporcjonalności, która jest klauzulą limitacyjną.

„Zasada ta składa się z trzech elementów, które tworzą tzw. test proporcjonalności. Pierwszym elementem jest zasada przydatności, zgodnie z którą ograniczenie praw konstytucyjnych jest dopuszczalne tylko przy użyciu takich środków prawnych, które umożliwiają zrealizowanie celu usprawiedliwiającego ograniczenie. Drugim elementem jest zasada konieczności, zgodnie z którą jeśli istnieje kilka możliwych sposobów ograniczenia danego prawa konstytucyjnego ze względu na konstytucyjnie usprawiedliwiony cel, to należy wybrać środek jak najmniej uciążliwy. Trzecim elementem jest zasada proporcjonalności sensu stricto. Polega ona na ważeniu dwóch lub więcej kolidujących ze sobą zasad oraz wskazaniu, która z nich w danych okolicznościach faktycznych i prawnych ma pierwszeństwo" – wyjaśniono w uzasadnieniu.

TK podzielił pogląd części doktryny, zgodnie z którym „ani bowiem dbałość o jakość przekazywanego kodu genetycznego (przesłanki eugeniczne sensu stricto), ani wzgląd na ewentualny dyskomfort życia chorego dziecka, nie może usprawiedliwiać decyzji o podjęciu działań zmierzających do spowodowania jego śmierci".

Życie matki

Trybunał podkreślił jednocześnie, że przesłanka eugeniczna może wiązać się także z zagrożeniem dla życia lub zdrowia matki, jednak omawiany przepis nie odnosi się do takiej sytuacji. Takie zagrożenia zostały bowiem wskazane jako odrębna przesłanka dopuszczalności przerwania ciąży w art. 4a ust. 1 pkt 1. Chodzi o sytuację, kiedy ciąża stanowi zagrożenie dla życia lub zdrowia matki. Jeżeli dochodzi do sytuacji, kiedy jednocześnie zaistniałyby okoliczności określone w przesłance eugenicznej oraz w przepisie dotyczącym zagrożenia dla kobiety ciężarnej, należy zastosować przepis odnoszący się do zagrożenia dla życia lub zdrowia matki. Może pojawić się więc możliwość prawnie dopuszczalnej aborcji ze względu na ewentualny stan zdrowia dziecka nienarodzonego, który może zagrażać kobiecie. Takie sytuacje będą zapewne przedmiotem rozważań zarówno lekarzy, jak i sądów oraz ustawodawcy.

Ochrona macierzyństwa

„W przepisie tym zabrakło odniesienia do mierzalnych kryteriów naruszenia dobra matki uzasadniających przerwanie ciąży, czyli takiej sytuacji, w której nie można byłoby od niej prawnie wymagać poświęcenia danego dobra prawnego" – napisano w uzasadnieniu. Trybunał podkreślił również, że Konstytucja przyznaje matce przed urodzeniem i po urodzeniu dziecka podmiotowe prawo do szczególnej pomocy władz publicznych w zakresie określonym przez ustawę, co wiąże się z zasadą ochrony macierzyństwa. Na ustawodawcy ciąży obowiązek unormowania tej pomocy.

„Zasadne byłoby zatem przeanalizowanie przez ustawodawcę tego, czy obowiązujące rozwiązania prawne w tym zakresie są wystarczające [...]. Ustawodawca nie może przenosić ciężaru związanego z wychowaniem dziecka ciężko i nieodwracalnie upośledzonego albo nieuleczalnie chorego jedynie na matkę, ponieważ w głównej mierze to na władzy publicznej oraz na całym społeczeństwie ciąży obowiązek dbania o osoby znajdujące się w najtrudniejszych sytuacjach" – wskazano w uzasadnieniu. ■

eprasa.pl eda53d7007



Grzegorz Wszołek

Byli za kompromisem lub przeciw aborcji. Dziś wspierają strajk kobiet

Donald Tusk, Roman Giertych, Szymon Hołownia, Marek Migalski, Marek Borowski, Stefan Niesiołowski, Hanna Gronkiewicz-Waltz – wielu polityków zmieniło zdanie na temat dopuszczalności aborcji na kanwie lewicowych strajków. Czy decydowała o tym „wewnętrzna przemiana"? A może jednak chęć podłączenia się pod gorący temat i próba wylansowania się w kontrze do rządzącej prawicy?

Po przełomowym wyroku Trybunału Konstytucyjnego zniknęła z polskiego prawa przesłanka zezwalająca na aborcję w przypadkach nieodwracalnych wad płodu lub ciężkich chorób. Po trzymiesięcznym przestoju opublikowano uzasadnienie orzeczenia z października 2020 roku wraz ze zdaniami odrębnymi oraz zamieszczono je w „Dzienniku Ustaw". Na początku protesty w miastach były liczne, choć głównie w tych największych, liberalnych metropoliach. Frekwencję lewicowemu Ogólnopolskiemu Strajkowi Kobiet podbijali ci, którzy choć nie zgadzają się na aborcję na życzenie, to jednak nie akceptują zerwania z kompromisem funkcjonującym od blisko 30 lat. Skala protestów w pierwszych tygodniach od wydania wyroku Trybunału robiła wrażenie, toteż najważniejsi polityczni gracze ze strony opozycyjnej „podpięli" się pod uliczną rewolucję. Ale już po kilku miesiącach widać, że coraz bardziej im ciąży brak znaczącego przełomu – ukazania rzekomej siły i skupiającego ogromne poparcie planu aktywistów pod przewodem Marty Lempart. Warto jednak przypomnieć, jak z prawicowych radykałów w przypadku Giertycha i Hołowni czy ze zwolenników kompromisu politycy przeistoczyli się w ludzi basujących wulgarnym, a przy tym lewicowym treściom.

▶ W 2007 Giertych nie chciał budować IV RP bez ochrony życia

Ograniczenie wykonywanych zabiegów usuwania ciąży nie tylko w Polsce, lecz także w całej Europie? Na taki pomysł wpadł ówczesny minister edukacji w 2007 roku, gdy rządziło PiS w egzotycznej i niestabilnej koalicji z Ligą Polskich Rodzin oraz Samoobroną. Roman Giertych kilka lat temu zmienił front – z narodowca, zafascynowanego poglądami Romana Dmowskiego i swojego dziadka Jędrzeja Giertycha, stał się osobistym mecenasem prominentnych polityków PO z byłym premierem Donaldem Tuskiem na czele. Reprezentował ich podczas posiedzeń komisji śledczej i procesów sądowych, choćby w aferze podsłuchowej czy postępowaniu dotyczącym katastrofy smoleńskiej. Giertychowi ewidentnie nie jest po drodze z Lempart, ale też nie zamierza psuć medialnego efektu sojuszu wspólnej sprawy, dlatego ogranicza się tylko do przytyków pod adresem Trybunału Konstytucyjnego.

„Przegraliśmy bitwę, ale wygramy wojnę. Nie można zbudować IV RP bez ochrony życia, nie można zbudować IV RP bez oparcia się o cywilizację życia. Nie można zbudować cywilizacji życia bez ochrony tego życia od poczęcia do naturalnej śmierci" – grzmiał lider LPR w 2007 roku, gdy w Sejmie – również głosami polityków PiS – przepadł projekt zaostrzający prawo aborcyjne. Jeszcze w 2016 roku Giertych wydawał się zwolennikiem orzeczenia TK, które zapadło cztery lata później. „Jakiś krok w kierunku ograniczenia liczby legalnych aborcji w Polsce jednak by się przydał. Chociaż z tego powodu, że w czasie ostatnich 10 lat liczba legalnych aborcji w Polsce gwałtownie wzrosła" – oceniał. W koncepcji Giertycha „w przypadku ciąży z gwałtu lub ciężkiego uszkodzenia płodu (minister zdrowia mógłby tutaj określić zawężająco tę ostatnią kwestię), aborcja nie podlegałaby sankcjom prawa karnego, ale też nie byłaby wykonywana w szpitalach legalnie i na koszt społeczeństwa". Czy Lempart i Suchanow zorganizowały protest pod domem autora tych słów? Mecenas przymierzany jest w niektórych kręgach opozycji na przyszłego superprokuratora od rozliczeń rządów PiS, jeśli tylko uda się jej przejąć władzę. Sam Giertych mówił niedawno, że rozważa powrót do polityki w kolejnych wyborach do Senatu.

Niezbyt postępowa była przed laty również żona mecenasa, Barbara Giertych. „Skoro CBŚ ściga łapówkarzy, dlaczego nie ma ścigać morderców nienarodzonych dzieci? Choćby przez stosowanie policyjnej prowokacji" – mówiła w 2007 roku na łamach „Wprost".

▶ W 2013 Tusk obawiał się nadużywania aborcji w Polsce

Donald Tusk od miesięcy nie ukrywa, że dopinguje Ogólnopolski Strajk Kobiet w dążeniu do odwrócenia wyroku Trybunału Konstytucyjnego. Przyjął na audiencji w Brukseli Martę Lempart, przekazał fragment korespondencji ze swoją córką Katarzyną – również obecną na protestach w sprawie aborcji. Sęk w tym, że jako premier z siedmioletnim stażem nie zrobił nic, by zliberalizować prawo aborcyjne i pełnić rolę wiarygodnego kibica.

W 2013 roku Tusk rozważał doprecyzowanie pojęcia „ciężkie uszkodzenie płodu", by w efekcie ograniczyć skalę przeprowadzonych aborcji. „Dziś obowiązuje zbyt ogólne sformułowanie: »ciężkie uszkodzenie płodu«. W związku z tym polegamy na stuprocentowym zaufaniu do lekarzy. Uważam, że skoro tak wielu ludzi w Polsce nie ma tego pełnego zaufania i ma obawy, że ta formuła jest zbyt ogólna i skłania do nadużyć, to należy może bardziej precyzyjnie nazwać, jaki typ uszkodzenia płodu skłania do aborcji. To byłby w jakimś sensie postęp i czulibyśmy się pewniej, że aborcja w Polsce nie jest nadużywana" – proponował lider Platformy. Rozważania Tuska zbiegły się w czasie z odrzuceniem obywatelskiego projektu w sprawie ochrony nienarodzonych dzieci z wadami letalnymi. „Trzeba z szacunkiem przyjmować słowa niepokoju lub argumenty uważających, że to prawo jest

fot. Filip Błażejowski/Gazeta Polska

eprasa.pl eda53d7007

nadużywane" – mówił. Prawda jest oczywista: do czasu objęcia władzy przez PiS Tusk należał do zwolenników kompromisu aborcyjnego, zatem polityk z tamtego okresu nie miałby o czym rozmawiać z Martą Lempart czy Klementyną Suchanow.

▶ Hołownia 2013: „Chciałbym, żeby aborcja była zakazana"

Szymonowi Hołowni też nie po drodze z radykalnymi hasłami liderek strajku, a jednak zdecydował się udzielić poparcia aktywistom. „Za kogo uważa się dziś pan Kaczyński, żeby mieć czelność nakazywać cokolwiek kobiecie, która dowiedziała się właśnie, że jej dziecko nie ma czaszki?" – pytał demagogicznie po wydanym wyroku zaostrzającym prawo aborcyjne. W odpowiedzi, na twitterowym profilu strajku kobiet doradzono liderowi Polski 2050 zgranym jak stara płyta słowem: „wyp....". Lewicowcy mogą doczytać, co Hołownia jeszcze w 2013 roku mówił tygodnikowi „Do Rzeczy" o swoim stosunku do aborcji: „Chciałbym, żeby aborcja była zakazana. Jeszcze bardziej chciałbym jednak, by nie musiała być zakazywana, bo ludzie sami z siebie wiedzieliby, że to straszne zło. Jeśli jednak chcesz ze mną gadać o tym, jak bić się o prawo, będę pytał o to, jak ustanowić takie prawo w kraju, w którym znaczna część naszych współobywateli myśli w tych kwestiach niestety inaczej niż my" – deklarował. Hołownia doskonale wie, że prezentując taki pogląd w 2021 roku, nie przyciągnąłby ani części elektoratu PO, ani posłów tej partii do własnego ugrupowania. Czy w tym tkwi sekret zmiany poglądów celebryty z „Mam talent"?

▶ Migalski 2012, czyli zwolennicy zabijania dzieci mają problemy z moralnością i logicznym myśleniem

Do łez potrafiła mnie rozbawić niekonsekwencja Marka Migalskiego, zważywszy na jego wpisy z przeszłości na blogu. Gdy „latający ornitolog" robił karierę w europarlamencie, do którego dostał się z poparciem Jarosława Kaczyńskiego i PiS, aborcję nazywał złem i zabójstwem, zaś stosunek do spraw światopoglądowych wprost wynosił z nauki Kościoła katolickiego i wiary. Nie minęła nawet dekada, a Migalski notorycznie kpi z katolików: w jednym z internetowych wpisów zalecał im zanoszenie modlitw do Boga zamiast szczepień na koronawirusa. Niedoszły senator Koalicji Obywatelskiej poparł też strajk kobiet i doradzał publicznie, co zrobić w celu osiągnięcia wyższej frekwencji. Tymczasem osiem lat temu pisał tak: „Jak to jest, że ludzie, którzy uważają się za humanistów, Europejczyków i chrześcijan, mogą być za mordowaniem niewinnych dzieci, a jednocześnie być przeciwko uśmiercaniu seryjnych morderców?" – pytał Migalski na blogu w Salon24.pl. Ówczesny europoseł i uciekinier z PiS przedstawił się jako zwolennik kary śmierci. „[...] Uważam osoby, które są zwolennikami zabijania dzieci, a jednocześnie są obrońcami prawa do życia dla brutalnych morderców, za ludzi mających problemy nie tylko z moralnością, ale również z logicznym myśleniem" – recenzował jak profeta poczynania liderek protestów i wszystkich na ulicach. „Państwo mówicie, że prawo do aborcji jest prawem człowieka. A co z prawem tego dziecka, które jest zabijane?" – dyskutował w Parlamencie Europejskim, gdy ważyły się losy niezobowiązującej rezolucji w sprawie dostępu do powszechnej aborcji w krajach wspólnoty. Ciekawe, dlaczego nie wypowie tego głośno w realiach 2021 roku?

▶ Borowski 1997: „Płód jest naturalnie istotą ludzką"

O zaskakującej metamorfozie świadczy też przykład Marka Borowskiego. To właśnie prominentny polityk SLD był współautorem treści art. 38 w konstytucji, z którego wynika, że „Rzeczpospolita Polska zapewnia każdemu człowiekowi prawną ochronę życia", co stanowiło zresztą główną oś rozważań sędziów Trybunału Konstytucyjnego w uzasadnieniu wyroku. W trakcie wystąpień sejmowych Borowski mówił językiem działaczy pro-life. „Czy dziecko przed urodzeniem jest człowiekiem? To odpowiadam, że jest człowiekiem, człowiekiem staje się w łonie matki. Teraz jest kwestia momentu, w którym staje się człowiek. Na ten temat są różne teorie. [...] Płód jest naturalnie istotą ludzką" – argumentował. Ale dziś solidaryzuje się ze zwolennikami aborcji na życzenie, płodu nie nazywa człowiekiem, obrońców życia nienarodzonego zaś określa mianem „barbarzyńców". Ten konkretny artykuł ustawy zasadniczej pozostaje niechcianym „potworkiem", do którego nikt się nie przyznaje z przyczyn politycznych kalkulacji.

Widać jak na dłoni, że niegdysiejsze poglądy stają się skamieliną, a przypominanie o nich wywołuje zdziwienie u jednych, a irytację o „czepialstwo" u drugich. Politycznym patronom nie chodzi tak naprawdę o rozwiązanie prawne dotyczące aborcji, „skrócenie cierpień kobiet", jak często słyszymy, lecz o wywołanie trzęsienia ziemi. Nie ma wątpliwości, że każdy wyrok Trybunału Konstytucyjnego ograniczający prawo do usuwania ciąży wywołałby protesty. Ciężko jednak wyobrazić sobie zjednoczenie rewolucjonistów z tymi, którzy jeszcze do niedawna nie odbiegali poglądami od tych głoszonych przez Ordo Iuris. ■

eprasa.pl eda53d7007



Małgorzata Matuszak

Czym jest... tęcza

Jedno z najpiękniejszych zjawisk optycznych i meteorologicznych w przyrodzie: tęcza... Ten kolorowy łuk, łączący – jak się wydaje – niebo z ziemią, fascynował ludzi od dawien dawna. Tęcza jest obecna w legendach i mitach wielu kultur, w wielu widziano w niej właśnie most łączący rzeczywistości niebiańską i ziemską. W mitologii greckiej na przykład utożsamiana była z drogą, jaką pokonywała bogini Iris, wysyłana z posłaniem bogów do śmiertelników; w skandynawskiej była zaś pierwowzorem Bifrostu, mostu łączącego Ásgard i Midgard, świat bogów i świat ludzi.

Pomimo że tęcza ma nieskończenie wiele barw – występuje w niej bowiem niemal ciągłe widmo kolorów, które płynnie przechodzą jedne w drugie – wyszczególnia się w niej ich zwykle siedem. Widziany przez człowieka łuk zaczyna się od czerwonego, przechodzi przez pomarańczowy i żółty, przenika w zielony, potem w niebieski, ciemnieje do indygo i kończy się fioletem. Tęcza nie zawsze jednak była postrzegana jako siedmiobarwna. W starożytności najczęściej wyróżniano w tęczy trzy kolory. Według Arystotelesa, który prawdopodobnie pierwszy próbował racjonalnie wyjaśnić jej zjawisko, wyróżnić w niej można: czerwony, zielony i fioletowy. Tradycję tę przejął św. Bazyli Wielki, który na przykładzie tęczy wyjaśniał tajemnicę Trójcy Świętej, czyli wielość w jedności. W traktacie „De natura rerum" Izydora z Sewilli czytamy natomiast, że tęcza posiada cztery kolory, cztery bowiem istnieją żywioły, czyli pierwiastki, z których, według ówczesnej wiedzy, zbudowany jest świat: „Od nieba bierze kolor ognisty, od wody purpurowy, od powietrza biały, a od ziemi czarny". Dopiero w XVIII wieku Izaak Newton odkrył, że białe światło jest mieszaniną światła o różnych barwach. Początkowo doliczył się w tęczy sześciu kolorów, uznając jednak, także poprzez analogię do siedmiotonowej skali muzycznej, że liczba mistyczna i doskonała liczba siedem lepiej oddaje niezwykłość tego zjawiska, wyodrębnił w niej jeszcze jeden kolor – indygo.

Tęcza w Biblii jest symbolem przymierza i pojednania. Po potopie mówi Bóg do Noego: „A ten jest znak przymierza, który Ja zawieram z wami [...]. Łuk mój kładę na obłoki, aby był znakiem przymierza między mną i ziemią" (Rdz 9, 13). Słowo „keszet", użyte w oryginalnym tekście, oznacza „łuk", który był jedną z głównych broni używanych w biblijnych czasach. Trzymanie go w powietrzu oznaczało zawieszenie broni. Tęcza („keszet") w postaci łuku („keszet") związana jest z siedmioma regułami, które Bóg zawarł w przymierzu z Noem, czyli wszystkimi ludźmi. Wymagają one, by (1) nie mordować ludzi, (2) nie kraść, (3) nie czcić fałszywych bogów, (4) nie popełniać czynów niemoralnych seksualnie (zwłaszcza kazirodztwa i zoofilii), (5) nie spożywać mięsa wyciętego z żywego zwierzęcia i (7) tak zorganizować system sądownictwa, aby orzekać, wymierzać sprawiedliwość i dbać o przestrzeganie powyższych przykazań. W Księdze Apokalipsy tęcza otacza zaś Boży tron: „A tęcza dokoła tronu – z wyglądu do szmaragdu podobna" (Ap 4, 2-3) – pisze św. Jan.

> Tradycja chrześcijańska odnosiła symbol tęczy przede wszystkim do osoby Jezusa Chrystusa, który dokonał silniejszego niż Noe pojednania ludzkości z Bogiem.

Poprzez całe Pismo Święte symbolika łuku na niebie jest jednakowa: oznacza wielorakie w przejawach miłosierdzie Boże. Tradycja chrześcijańska odnosiła symbol tęczy przede wszystkim do osoby Jezusa Chrystusa, który dokonał silniejszego niż Noe pojednania ludzkości z Bogiem. Niekiedy interpretowano ją również jako symbol Matki Boskiej Pośredniczki Łask. Symbolizowała ona także, odkąd zaczęto uważać tęczę za siedmiobarwną, siedem sakramentów i siedem darów Ducha Świętego.

Współcześnie tęczę kojarzymy z symbolem społeczności LGBT. Niestety utożsamiają one często swoją tęczę z biblijnym znakiem przymierza Boga i człowieka, z symbolem nadziei, wybaczenia i miłosierdzia. Tęczowa flaga, wykorzystywana jako bojowy znak walki środowisk LGBT, niesie jednak apologię ich postulatów, a także wyznawanego systemu norm i wartości, które odmienne są od tych symbolizowanych przez łuk Boży. ■

eprasa.pl eda53d7007

Wskazanie naszego kraju na mapie politycznej Europy jest proste, ale nie wyczerpuje złożoności sprawy. Jesteśmy w Europie Środkowej czy Wschodniej? Nad Bałtykiem czy pomiędzy dwoma morzami? Jesteśmy pokojem przechodnim między Niemcami a Rosją czy zwornikiem Trójmorza? Młodszą Europą czy peryferiami Zachodu? A może przedmurzem cywilizacji? Głębsze określenie położenia Polski trwa od stuleci i ma dla nas kluczowe znaczenie.



eprasa.pl eda53d2607

Jakub Augustyn Maciejewski



Gdzie leży POLSKA?

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl eda5...07

Problem z położeniem Polski widać w skrajnych sytuacjach – bo oto w 1619 roku Rzeczpospolita liczy milion (!) kilometrów kwadratowych, a 180 lat później nie ma jej wcale. Za Stanisława Augusta Poniatowskiego buduje się kanał łączący Wisłę i Dniepr, Bałtyk i Morze Czarne, a sto lat później w dokumentach Polacy jako miejsce pochodzenia mają wpisany „Przywiślański kraj". Najtrwalsza granica Polski (300 lat bez zmian i korekt) dziś przebiega przez środek państwa – rozdziela województwo wielkopolskie i łódzkie od lubuskiego i dolnośląskiego. A nie tylko w kształcie granic tkwią ramy zagadnienia – bo jeśli jesteśmy w Europie Środkowej, to według języka dyplomacji, Niemcy są naszym patronem, jeśli we Wschodniej – to Rosja. A może to my, jak chciał Piłsudski, jak pokazali to Jagiellonowie, jesteśmy patronami i większymi opiekunami sąsiednich krajów?

Polska jako pokój przechodni

Do dramatycznego wniosku w kwestii położenia Polski doszedł wybitny geograf Wacław Nałkowski, późniejszy ojciec pisarki Zofii Nałkowskiej. W swojej pracy z 1912 roku „Terytorium Polski historycznej jako indywidualność geograficzna" stwierdził, że lokalizacja ziem Rzeczpospolitej skazuje nas na wieczną niestabilność i rządy z zewnątrz. „Cechę główną dla Polski znalazłem mianowicie w przejściowości, głównie zachodnio-wschodniej, przejściowości zarówno komunikacyjnej, jak i klasyfikacyjnej, czyli cechowej" – pisał badacz. Nałkowski porównał specyfikę naszego położenia do Dżungarii, czyli pogranicza chińsko-muzułmańskiego, o które przez wieki ścierały się oba ośrodki cywilizacyjne. „Polska jest krajem, który stanowi otwarte wrota z Europy Zachodniej do wschodniej, jest krajem wędrówek, przemarszów" – pisał ponad sto lat temu wybitny geograf. Nałkowski opisał naszą przestrzeń geograficzną skrupulatnie i nią właśnie wyjaśnił zniknięcie Rzeczpospolitej w XVIII wieku, a do której można wracać przy komentowaniu wydarzeń późniejszych – I i II wojny światowej. Hydrologia, klimat, nizinność, układ rzek – wszystko to, jak pisał geograf, przejściowe, pomiędzy jednym a drugim morzem, pomiędzy Azją a Europą; wskazywał konkretne izotermy, drogi komunikacyjne, a potem nakładał na to warstwę kulturalną, ekonomiczną, a nawet religijną, i pokazywał: patrzcie, to jest przejściowość, taka, w której nie da się zaznać historycznego spokoju.

40 lat po tym, jak koncepcja Nałkowskiego wywołała spór badaczy, podobną tezę wysunął wybitny literat i publicysta Andrzej Bobkowski. II wojnę światową spędzał on w okupowanej Francji i stamtąd śledził dramatyczne wykrwawianie się narodu polskiego. Nie można się więc dziwić jego pesymistycznej nucie. „Czym jest nasze życie?" – pytał w „Szkicach Piórkiem". „Nawijaniem na kawałek tekturki krótkich kawałków nitki bez możności powiązania ich ze sobą. Gdzie mam szukać metryki urodzenia mojego dziadka? Gdzie odnaleźć ślad babki? Do czego przyczepić cofającą się wstecz myśl? Do niczego – do opowiadań, prawie do legend tego kraju, który wynajął sobie w Europie pokój przechodni i przez dziesięć wieków usiłuje urządzić się w nim z wszelkimi wygodami i ze złudzeniem pokoju z osobnym wejściem, wyczerpując całą swoją energię w kłótniach i walkach z przechodzącymi".

Dwa wybitne umysły – naukowy i literacki – dwa różne pokolenia (Nałkowski urodzony w 1851 roku, Bobkowski – w 1913 roku), piszący w różnych kontekstach politycznych i kompletnie innym piórem, a pisali to samo. Powiewała w tym nuta fatalizmu czy determinizmu, że oto Polacy są skazani na to szarpanie się z sąsiadami i nie mogą zaznać spokoju. Kilka lat po śmierci Nałkowskiego Polska odzyskała niepodległość w granicach zupełnie innych, niż ktokolwiek planował, niż ktokolwiek opisywał, zaś trzy lata po cytowanych słowach Bobkowskiego Stalin zrekonstruował Polskę wysuniętą na Zachód tak daleko, jak było to za pierwszych Piastów. Gdzie ta Polska leży, że można ją odnaleźć w tak różnych konfiguracjach?

Polska jako pomost

To zaskakujące, że do zupełnie innych wniosków dochodzili intelektualiści z tego samego przecież kraju. Geograf Eugeniusz Romer (1871–1954), będąc o pokolenie młodszym od Nałkowskiego, podjął się polemiki ze starszym profesorem. Choć opisywał ten sam obszar, te same rzeki, klimat i niziny co Nałkowski, doszedł do zupełnie innych konkluzji. Owszem, stwierdzał, że granice państw z tego terenu są zmienne, ale nie to przesądza o przestrzeni. „Polska pierwotna, położona przy bramie [Morawskiej] wiodącej do drogi zamkniętej, przesunęła swój środek ciężkości ku wschodowi, ku międzymorzu, ku osi, wiążącej bezpośrednio północ z południem". Czyli może trudno wskazać brzegi tego ośrodka kulturowego, jakim były państwa Piastów czy Jagiellonów, za to – zdaniem Romera – było jasne, że tworzą zwartą i spójną część kontynentu, wręcz stworzoną do funkcjonowania jako zintegrowany mechanizm. Romer nie przejmował się tym, że Wisła czy Dniepr są fatalnymi granicami, bo właśnie wskazał te rzeki jako idealne osie, wokół których rozwija się organizm państwowy: kiedyś Polska i Ruś, a potem – na dwóch tych osiach – cała Rzeczpospolita. Romer z fascynacją odkrywał, że granice Rzeczypospolitej sięgały tak daleko jak dorzecza obu rzek – Wisła roztaczała palce na Wielkopolskę, Mazowsze, Pomo-

eprasa.pl eda53d7007

rze, sięgała do Małopolski, a Dniepr niczym drzewo z szerokimi konarami sięgał aż po Smoleńsk i Wilno, płynąc przez Kijów, aż do Morza Czarnego. Geograf wierzył, że dawne Królestwo Polskie i Wielkie Księstwo Litewskie to naturalny pomost, którego kierunek prowadzi handlem, kulturą, transportem, od Bałtyku do Morza Czarnego i z powrotem. Z tą myślą Romer jechał zresztą w 1919 roku na konferencję pokojową w Paryżu, mając w walizach setki map i atlasów, które zachodnim politykom miały udowadniać prawo Rzeczpospolitej do tych ziem. Romer w swojej pracy „Ziemia i państwo. Kilka zagadnień geopolitycznych" stwierdzał, że to nie droga wschód –zachód jest widoczna na naszych terenach, lecz trakty północ–południe. „[S]ystem pasów skierowanych od zachodu na wschód, ulegając wpływom klimatu, rozczłonkowuje się na pasy, skierowane południkowo – od południa ku północy; przyczyna tego rozczłonkowania leży w potęgującym się z wolna ku wschodowi kontynentalizmie klimatu". Geograf używał słowa „pomostowość" i jako naturalny kierunek rozwoju państwa widział właśnie łączenie północy i południa tych terenów. „Nie ulega wątpliwości, że rolę pomostową, a raczej przyrodzone kwalifikacje pomostowe Polski wzrosły w miarę jej terytorialnego rozpostarcia się po i poza Dźwinę i Dniepr" – przekonywał Romer. Słowem: naturalne granice dobrze prosperującej wspólnoty politycznej na tym obszarze musiały opierać się o dwa morza, mając w środku, niczym kręgosłup dla organizmu, oś Dniepru i Wisły.

„Polska jest krajem, który stanowi otwarte wrota z Europy Zachodniej do wschodniej, jest krajem wędrówek, przemarszów" – pisał ponad sto lat temu wybitny geograf Wacław Nałkowski.

Do identycznych wniosków w kwestii położenia Polski doszedł już nie geograf, lecz historyk, Oskar Halecki (1891–1973), jeden z najczęściej cytowanych za granicą polskich historyków. Patrząc na mapę tej części Europy, Halecki widział, że „obszar ten sam jest pozbawiony od zachodu i wschodu wybitnych granic naturalnych, któreby zamykały lub chociaż utrudniały dostęp do jego wnętrza". „Na wewnątrz jest jednak silnie spojony przez warunki hydrograficzne, które tutaj, jak wszędzie indziej, wytykały najdawniejsze drogi osiedlenia, główne szlaki historycznego wnętrza". Zatem pomost, spoiwo, organizm, który łączy morza i odpycha Niemcy i Rosję, stanowi stabilny element geopolityczny. Nie przejściowy pokój, lecz trwały pomost. Zatem – gdzie leży Polska?

Trzy Europy do wyboru

Okazuje się, że nawet ustalenie, w której części kontynentu leży Polska, jest problematyczne. W XIX wieku wykształciło się słownictwo, które jest naznaczone politycznymi wpływami. W tamtym okresie Europa dzieliła się bowiem na trzy części: Zachodnią (strefa francuskich wpływów), Środkową (wpływy niemieckie) i Wschodnią (wiadomo – Rosja). Jak tutaj uplasować Polskę, by nie zapisać jej od razu pod opiekę któregoś z mocarstw? Ten problem konsekwentnie rozwiązywał wyżej wspomniany Oskar Halecki, który uzupełnił podział kontynentu o dodatkową część: Europę Środkowowschodnią (właśnie tak pisaną, a nie, jak dzisiaj, z myślnikiem: Środkowo-Wschodnią). Historyk mediewista stwierdził, że na peryferiach kultury germańskiej wyrosły inne ośrodki państwowe – na wschodzie Państwo Piastów i Przemyślidów, a na Zachodzie Lotaryngia, Burgundia, później Belgia i Holandia. A jednak te ostatnie nie stworzyły niezależnego bloku politycznego, zaś pomiędzy Morzem Czarnym a Bałtyckim wyrosła konkretna siła. Feliks Koneczny tłumaczył nawet, że nie wolno do znudzenia powtarzać o tym biednym polskim losie położenia pomiędzy Niemcami i Rosją, bo przecież były czasy – jak w XVI wieku – gdy to Niemcy musiały się martwić, że leżą pomiędzy Francją a Polską. Jak widać, samo wskazanie palcem miejsca Polski na mapie nie wystarcza – bo pozostawienie szczegółów bez doprecyzowania skazuje nas po prostu na podległość.

Pomost, ale w którą stronę

Koncepcję Eugeniusza Romera widać na mapie Królestwa Polskiego z czasów Kazimierza Jagiellończyka. Przecież ówczesna Polska to wręcz modelowy wzór równo ułożonego pomostu – od Gdańska do Kilii i Białogrodu, od Pomorza po mołdawskie lenno z twierdzami nad Morzem Czarnym, po drodze z takimi średniowiecznymi węzłami komunikacyjnymi jak Kraków czy – jeszcze bardziej – Lwów. Otwarcie się na Wielkie Księstwo Litewskie oznaczało rozbudowanie pomostu i odepchnięcie moskiewskiej dziczy od Europy. I gdy wydawałoby się, że do tamtej wielkości można tylko wzdychać, można jej się przyglądać i ją

eprasa.pl eda53d7007

podziwiać, to jednak w wielu nurtach intelektualnych ta wielkość przerażała, budziła namiętną krytykę. Galicyjscy historycy z Krakowa i Lwowa, a potem także Feliks Koneczny, z politowaniem patrzyli na tę kulturową ekspansję na wschód i w tym właśnie upatrywali źródła upadku Rzeczypospolitej. Widzieli oni Polskę jako małe europejskie państwo, część wspólnoty Zachodu, które zdobyło się na misję cywilizacyjną ponad swoje siły. I przegrało.

To zagadnienie w dyskusjach o położeniu Polski wciąż powraca. II Rzeczpospolita odrzuciła tę wizję i znowu zerknęła na wschód, stając się wzorcem polityki wobec bolszewików – z Bitwą Warszawską, z Korpusem Ochrony Pogranicza, z tworzeniem azylu dla ciemiężonych przez Związek Sowiecki narodów. Piłsudski kreślił dalej – jak rozciąć rosyjskie imperium według szwów narodowościowych, z Polską jako liderem tego procesu. Wbrew pozorom narodowcy Romana Dmowskiego nie chcieli Polski przylepionej jedynie do Zachodu – nie widzieli sensu w tej misji westernizowania wschodniej Europy – ale po 1945 roku rząd w Warszawie zdominowali sowieccy agenci, którzy koncepcję poszerzania wpływów na wschód nie tylko odrzucili, lecz także próbowali na zawsze wymazać z listy aspiracji polskich. Pozostaje więc rozstrzygać nie tylko „gdzie leży Polska", lecz także: „gdzie leżą aspiracje polskie?".

Polska mała czy wielka

Dylematy krakowskiej szkoły historycznej czy sporu Nałkowski–Romer dotarły do XXI wieku. Elity Unii Wolności i postkomuniści z SLD za horyzont polskiej polityki uznali wstąpienie do Unii Europejskiej. Tak jakby bogactwo zwrotów polskiej historii – a to sięganie przez unię personalną Władysława Warneńczyka po Morze Adriatyckie (!), a to przez zdobywanie Smoleńska lub stopniowe polonizowanie Śląska przez katolików, wreszcie rozbiory, powstania, Piłsudskiego i Dmowskiego – jakby to wszystko tylko czekało na włączenie pod struktury Brukseli, której będzie można oddać decyzje i zarządzanie krajem.

Ta pewna małość, niewiara i kompleksy, większe niż u historyków z Galicji, którzy po traumie powstania styczniowego woleli rozwijać się w ciepełku autonomii podarowanej przez Franciszka Józefa, elity III RP bały się jakiejkolwiek dyskusji o potencjalnej wielkości.

Było to jednym z powodów histerii wywołanej przez politykę braci Kaczyńskich. Przecież pomoc Gruzji w czasie wojny 2008 roku, plany budowy rurociągu Sarmatia, wreszcie koncepcja Trójmorza – to koszmar Polaków wątpiących, to strach Tusków, którzy „nie mają ochoty dźwigać" husarskich skrzydeł, które im się śnią po nocach. Bo pisanie dziś o Polsce wielkiej nie jest nawiązaniem do programu Romana Dmowskiego, programu polegającego na polonizacji dorzecza Niemna czy Zbrucza, lecz jest ambitnym zamiarem budowania więzi z krajami dawnych unii jagiellońskich. Polska polityka zagraniczna stała się linią rozpiętą między wizją Lecha Kaczyńskiego, w której Polska jest najsilniejszym narodem spośród krajów wspólnego losu Europy Środkowo-Wschodniej, a koncepcją Donalda Tuska, w której mniejszy, młodszy, potulny sąsiad Niemiec będzie budował mosty (nieudolnie zresztą) i na tym skończy swoje marzenia o sile i rozwoju.

Tak samo dziś wyśmiewane przez „Gazetę Wyborczą" Trójmorze, jak i dylematy Kazimierza Wielkiego, czy aby nie zwrócić się na wschód, ku Litwinom, wynikają z tej samej geografii, z tej samej idei „pokoju przechodniego" lub „pomostu pomiędzy dwoma morzami". Ten sam dylemat wciąż stoi przed nami.

Wieczne pytanie

Nie ma takich problemów Francja, Hiszpania czy Wielka Brytania. Być może Paryżowi trzeba było się zastanawiać, czy Lotaryngia będzie w jego posiadaniu, ale granice Francji nie skakały po mapie Europy tak jak granice Rzeczpospolitej. Kraje na zachód od Polski miewały swoje dylematy polityki międzynarodowej, ale nigdy tak rozbieżne jak u nas – tworzyć mocarstwo? A może nie istnieć wcale? Sięgać po Smoleńsk czy martwić się o Wrocław, zabiegać o Szczecin czy modlić się o Lwów, inwestować w ambasadę w Kijowie czy bardziej w Berlinie?

Wiek XXI przyniósł Europie pewność – okaże się, czy słuszną – że granice państwowe nie będą się zmieniać. A jednak samo ich pokazanie na mapie kontynentu nie wyczerpuje odpowiedzi na pytanie: „gdzie leży Polska?". To ciekawe, że Eugeniusz Romer, geograf przecież, a nie historyk, nawet ze swoją koncepcją pomostowości uznał, że samo położenie na mapie to za mało, by stwierdzić, jaką funkcję pełni dany organizm państwowy. Bo kreśląc geograficzną wizję Międzymorza, zauważył jeszcze jedną rzecz. „Stwierdzić co prawda należy, że i roli pomostowej nie odegrała Polska w swej historii należycie" – pisał w 1939 roku, tuż przed wybuchem II wojny światowej. Miał na myśli I Rzeczpospolitą, która właśnie przegrała walkę o swoje miejsce w Europie Środkowowschodniej. Romer uważał, że z szans i możliwości położenia w dorzeczach Wisły, Niemna, Dźwiny i Dniepru trzeba należycie skorzystać, że jest to szansa, która dobrze przepracowana, przyniesie sprawną wspólnotę polityczną na tym obszarze. Kilka miesięcy po publikacji tych słów Polska znów zniknęła z mapy Europy, czyniąc to pytanie jeszcze bardziej palącym. Bo odpowiedź na zagadnienie „gdzie leży Polska?" musi być zawarta w silnym państwie, a nie tylko teoretycznych dysputach. ■

eprasa.pl eda53d7007



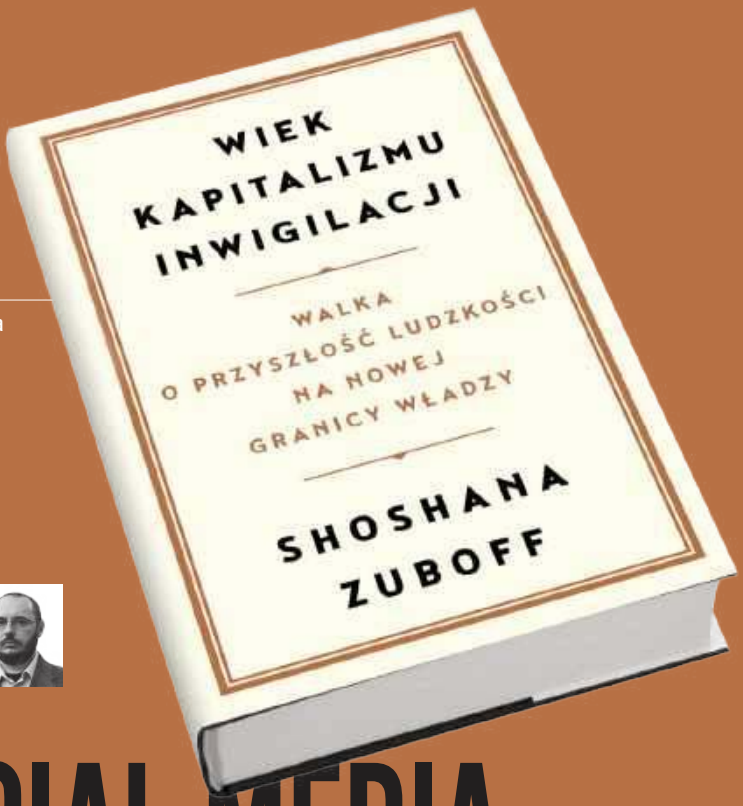
Praktyczny poradnik finansowy

– czyli jak zadbać o swoje pieniądze?

dowiesz się w **Gazecie Polskiej Codziennie** i na **gpcodziennie.pl**

NBP Narodowy Bank Polski

Projekt realizowany z Narodowym Bankiem Polskim w ramach programu edukacji ekonomicznej



Shoshana Zuboff „Wiek kapitalizmu inwigilacji. Walka o przyszłość ludzkości na nowej granicy władzy", Wydawnictwo Zysk i S-ka, Poznań 2020

Krzysztof Wołodźko

JAK SOCIAL MEDIA NISZCZĄ DEMOKRACJĘ

Przeniesienie znacznej części naszych międzyludzkich aktywności do internetu nie tylko stwarza znakomite szanse zarobku dla cyfrowych potęg, które dziś funkcjonują już na prawach globalnego oligopolu. Pozwala też kreować i wdrażać nowe modele szerzej rozumianej polityczności. Dziś algorytmy znają nas tak dobrze, że coraz efektywniej przewidują i warunkują zachowania miliardów użytkowników sieci. Nasze reakcje na dowolne treści, relacje społeczne i wszelkie interakcje, które są w stanie przechwycić cyfrowi pośrednicy, są zasobem do wykorzystania w gospodarce i polityce.

eprasa.pl eda53d7007

Coraz lepiej uświadamiamy sobie, że niewiele zostało z wolnościowej i egalitarnej obietnicy internetu jako źródła rzetelnej informacji i opinii omijającej medialny mainstream. Głęboko niepokojące zjawiska, jak fake newsy / deepfake, możemy nazwać cyfrowymi chorobami cywilizacyjnymi, zaciemniającymi znacznie bardziej niż staroświecka propaganda i cenzura rozumienie otaczającej nas rzeczywistości. Tamte bazowały na odgórnie narzuconej opresji autorytarnych i totalitarnych państw – te nowe wplatają się w informacje, mniemania i odczucia, które aplikujemy sobie codziennie, czerpiąc przyjemność ze scrollowania monitora smartfonu – tak właśnie kształtuje się zbiorowe emocje i opinie choćby z pomocą TikToka.

Blokada konta Donalda Trumpa na Twitterze i znaczna dowolność polityki zarządzania treściami na Facebooku mówią nam coraz więcej o możliwościach i ambicjach najpotężniejszych cyfrowych platform, które weszły do metapolitycznej gry niejako tylnymi drzwiami, ustanawiając się w roli arbitrów elegancji globalnej i lokalnej polityki, kultury i obyczajowości, rozgrywając emocje tłumów na swoją korzyść i decydując o dopuszczalnym spektrum opinii.

Cyfrowi hegemoni i społeczeństwo roju

Lakoniczny termin „standardy naszej społeczności" stał się nowym prawem, przed którym uginają się nie tylko pojedynczy użytkownicy, lokalne społeczności i całe społeczeństwa, lecz także prawodawcy, czerpiący przecież legitymację dla swej władzy z demokratycznych wyborów. Ale rzecz nie w pojedynczych wydarzeniach czy ugruntowanych już negatywnych cyfrowych zjawiskach. To tylko znaki głębszych przeobrażeń rzeczywistości. Zawodzą dotychczasowe drogowskazy, bo stare pojęcia nie opisują jeszcze w pełni metapolitycznych konsekwencji kształtowania się nowego globalnego porządku.

„Wiek kapitalizmu inwigilacji. Walka o przyszłość ludzkości na nowej granicy władzy" Shoshany Zuboff, emerytowanej profesor Harvard Business School, jest jedną z najgłośniejszych ostatnio książek podejmujących próbę opisania zachodzących w świecie – za sprawą cyfrowych gigantów – głębokich zmian. Interesujące, że w Polsce lektura znalazła się nieco na marginesie zainteresowania opinii publicznej. Być może dlatego, że nie zdążył jej jeszcze przeczytać Jarosław Kaczyński.

A mówiąc zupełnie serio: nasza prawica podejrzewa na ogół, że krytyka kapitalizmu uprawomocnia lewicowe koncepcje metapolityczne, więc woli odwrócić głowę w inną stronę. Z kolei środowiskom lewicowo-liberalnym książka Zuboff psuje dobre samopoczucie z innego powodu. Skutecznie zabija złośliwą satysfakcję z szykan, jakie spotykają wszystkich, którzy nie godzą się na nową, coraz bardziej restrykcyjną polityczną poprawność, która stała się znakiem rozpoznawczym cyfrowych platform opinii.

Autorka „Wieku kapitalizmu inwigilacji" nie pozostawia żadnych złudzeń – właściciele cyfrowych potęg mało sobie robią z tych, którzy dziś im przyklaskują. W bliższej już niż dalszej przyszłości liberałowie i lewica albo zmuszeni będą przyznać, że w gruncie rzeczy są zwolennikami społeczeństwa nadzoru i coraz pełniejszej inwigilacji, albo mocno za późno uświadomią sobie, że ciesząc się z klęsk prawicy, przeoczyli również własną porażkę. Mówiąc publicystycznym skrótem: o ile w „Kapitale XXI wieku" Thomas Piketty pokazał, jak wzrost nierówności i przejmowanie większości bogactwa przez coraz węższą elitę niszczy demokratyczny porządek Zachodu, o tyle Shoshana Zuboff pokazuje, jak cyfrowi hegemoni przejmując choćby globalną wiedzę, informacje, opinie, zamieniają stopniowo całe narody w społeczeństwa roju.

Social media to perswazja

Mały błąd na początku wielki jest na końcu – miał stwierdzić święty Tomasz z Akwinu. Podobna reguła da się zastosować do zasad rządzących kapitalizmem inwigilacji: małe ustępstwo na początku znaczne jest na końcu. Zuboff wychodzi od spostrzeżenia, że największy sukces Google'a opiera się na tym, że nieledwie dwie dekady temu zaczęliśmy stopniowo, ale coraz szybciej, rezygnować z prawa do prywatności w sieci. W zamian za tzw. darmowe usługi, początkowo kojarzone z ofertą przeglądarek internetowych i poczty elektronicznej, pozwoliliśmy właścicielom prywatnych biznesów zaglądać coraz głębiej do naszego życia. Dla nich i dla nas tajemnica korespondencji szybko przestała być tym, czym jawiła się jeszcze w ostatnich dekadach XX wieku.

Chwilę później okazało się, że cyfrowa gospodarka jest w stanie połączyć dwie pozorne sprzeczności: narastającą masowość produkcji ujednoliconych dóbr i indywidualizm egzystencji przeobrażający się w hiperkonsumpcyjny narcyzm. Zaczęło się od Apple'a i iPhona – nowe formy dystrybucji plików muzycznych, dostosowane do klienta, przyniosły w kolejnych dekadach sukces platform streamingowych, audio i wideo. Wszyscy oglądają mniej więcej to samo na swoich zindywidualizowanych profilach użytkowników. A nowa popkultura, co świetnie pokazuje przykład Netfliksa, nie tylko bawi, lecz także

eprasa.pl eda53d7007

uczy życia w nowym, wspaniałym świecie. Większość przekazu streamingowych potęg jest nie tylko zgodna z lewicowo-liberalnym światopoglądem – coraz częściej jawnie odwołuje się do niego i promuje jako kanon określający nie tylko normy społeczne, lecz także wskazuje jako właściwe ramy człowieczeństwa. Social media to perswazja – polityczna siła dominujących tam kodów kulturowych ujawnia się po przekroczeniu społecznej masy krytycznej.

Skąd to wszystko? Przełomem było odkrycie nadwyżki behawioralnej czy – ściślej – „nadzorowanie, rozszerzanie, konstruowanie i zawłaszczanie nadwyżek behawioralnych, w tym danych, których użytkownicy świadomie decydują się nie udostępniać". Od 2003 roku Google zaczął korzystać z mnóstwa danych, które wcześniej traktowano jako „cyfrowy odpad" po sieciowej aktywności jednostek. Śmieci okazały się paliwem do potężnego finansowego wzrostu dla posthippisowskich wspólnot-biznesów z Doliny Krzemowej. Na tyle potężnego wzrostu, że dziś giganci BIG TECH osiągają zyski wyższe niż właściciele przemysłu czy branż wydobywczych. Początkowo z pomocą nowego patentu badano odwiedzane strony internetowe, przeglądane pliki, informacje o wcześniej wyświetlanych reklamach, po których dokonano zakupu online. Z czasem rosły moce obliczeniowe, zasób danych i tempo pracy kolejnych algorytmów, nastawionych na przewidywanie ludzkich zachowań.

Przeniesienie znacznej części naszych międzyludzkich aktywności do internetu nie tylko stwarza znakomite szanse zarobku dla cyfrowych potęg, które dziś funkcjonują już na prawach globalnego oligopolu. Pozwala też kreować i wdrażać nowe modele szerzej rozumianej polityczności. Dziś algorytmy znają nas tak dobrze, że coraz efektywniej przewidują i warunkują zachowania miliardów użytkowników sieci. Nasze reakcje na dowolne treści, relacje społeczne i wszelkie interakcje, które są w stanie przechwycić cyfrowi pośrednicy, są zasobem do wykorzystania w gospodarce i polityce.

W przypadku tej ostatniej ma to znaczenie niebagatelne – przestajemy być traktowani jako obywatele podejmujący podmiotowe decyzje dotyczące dobra własnego i dobra republiki, zmieniamy się w stado naganiane do podejmowania decyzji zgodnych z oczekiwaniami nadzorców kapitalizmu inwigilacji. To nowy instrumentalizm: nasze zachowania mają być korzystne dla tych, którzy „potrzebują dużo lajków". Wszystko to z pomocą narzędzi, które oceniamy na podstawie „przyjaznego interfejsu", bez realnej wiedzy o tym, jak wiedzę społeczną, ekonomiczną, polityczną, kulturową, technologiczną spożytkowują właściciele kapitalizmu inwigilacji i ci, którzy zamawiają u nich usługi.

Na rozstaju dróg

„Wiek kapitalizmu inwigilacji" to również esej polityczny, próba pokazania, jak cyfrowi giganci zmieniają nasze rozumienie prawa i polityczności. Zaczyna się od liczonych w dziesiątki tysięcy znaków umów on-line, które z różnych przyczyn aprobujemy jednym kliknięciem, choć samo w sobie narusza to klasyczne rozumienie świadomie zawartej umowy. Kończy zaś na fenomenie odgórnego zamachu stanu, z którym już mamy do czynienia. Polega on na postępującej utracie kontroli nad władzą i wiedzą przez całe społeczeństwa i ich politycznych reprezentantów. Cyfrowi giganci coraz częściej umykają jurysdykcji poszczególnych państw, realnie wpływając na kształtowanie się opinii publicznej w tych krajach. I dobrze żyją z pieniędzy, jakie wydają u nich coraz chętniej i coraz więcej politycy, większy i mniejszy biznes, administracja publiczna, III sektor, a także tradycyjne media, które nierzadko cierpią na syndrom sztokholmski względem sieciowych potęg.

Ten nowy rodzaj totalitarnej próby przebudowy społeczeństw (Zuboff nie waha się sięgnąć po takie porównania) nie dzieje się przypadkiem. I nie dzieje się bez woli samych zainteresowanych. Przeobrażenie kapitalizmu rynkowego, lepiej lub gorzej współpracującego z liberalną demokracją, w kapitalizm nadzoru i inwigilacji, któremu nie tylko ekonomicznie bardziej opłacają się społeczeństwo roju i bezsilne, fasadowe państwa, dokonuje się za przyzwoleniem uczestników gry. Cyfryzacja jest nie tylko fetyszem współczesności, jest realnym dobrem. Gdy mowa o walce z terroryzmem, o dostępie do edukacji, o prawie do informowania i bycia (dobrze) poinformowanym; gdy mowa o korzystaniu z rozlicznych udogodnień w ramach rynku usług, nowych formach bankowości i finansów, uczestnictwie w kulturze itd., itp. – wszędzie tam chcemy cyfrowych usług i wymagamy od polityków i biznesu, by byli w stanie nam je zapewnić. Pandemia jeszcze to zjawisko nasiliła.

Zuboff nie demonizuje technologii cyfrowych czy nawet kapitalizmu sieci – zwraca uwagę, że istotny jest cywilizacyjny kontekst. Jak pisze: „Różnica między kapitalizmem inwigilacyjnym na Zachodzie a wschodzącym chińskim systemem kredytu społecznego opiera się na wzorcach wzajemnego uwikłania i zaangażowania władzy instrumentalnej i państwowej". Chiny oprą się na wysoko zautomatyzowanym modelu społecznym, by wzmocnić jego ekonomiczną i metapolityczną efektywność. Cyfrowa inwigilacja i punktacja zdecydują o miejscu ponad 2 miliardów jednostek w tamtejszym systemie,

eprasa.pl eda53d7007

ponieważ taki model kulturowo-polityczny jest głęboko wpisany w chińską tradycję.

W przypadku Zachodu sprawa się komplikuje, bo w mechanizmy rynkowe i polityczne, kulturowe i społeczne wpisana jest większa różnorodność, oparta na innym rozumieniu osoby ludzkiej, etyki i moralności. Ale nie ma powodów do przesadnego optymizmu. „Stoimy na rozstaju dróg" – pisze Zuboff. I nie wiadomo, którą wybierzemy.

Nowa utopia Zuckerberga

Jednym ze zdecydowanie negatywnych bohaterów jej opowieści o społeczeństwie roju jest Mark Zuckerberg, dyrektor generalny Facebooka. Profesor Harvardu wskazuje na jego „totalistyczne ambicje". Użytkownik jego sieciowego imperium ma być doskonale czytelny i rozpoznawalny dla algorytmów firmy: to Facebook powie ci, do jakiej knajpy pójść w mieście, w którym jesteś pierwszy raz, to Facebook powie ci, z kim w tej knajpie znajdziesz wspólny język, a barman będzie wiedział, czego lubisz się napić.

Za trywialnymi z pozoru sprawami, za cyfrowymi ułatwieniami, które schlebiają mnóstwu naszych psychicznych potrzeb, stoi szerszy plan. Zuboff na kartach książki analizuje przemówienia szefa Facebooka. Zuckerberg postrzega swoje przedsięwzięcie jako nową utopię do zrealizowania: „on i jego firma mogą zapewnić przyszłość »która sprawdza się dla każdego« i zaspokaja »osobiste, emocjonalne i duchowe potrzeby«, »celu i nadziei«, »moralnego uzasadnienia« oraz »komfortu, że nie jesteśmy sami«". Dlatego „w imię postępu" Zuckerberg chce nowej infrastruktury społecznościowej, budowania globalnej społeczności, oczywiście w oparciu o swoje dominium: „Facebook miałby kroczyć na czele, konstruować środki do realizacji i nadzorować cele".

Przeciętnie wykształcony mieszkaniec Europy Środkowej w tym momencie robi się ostrożny. Ktoś może nam jednak zarzucić zbytnią lękliwość albo uprzedzenia względem zawsze sympatycznie uśmiechniętego wizjonera z Ameryki. Oddajmy więc znów głos Zuboff: „Utopia stosowana jest już w natarciu na Facebooku, Google i Microsofcie, ponieważ granica wydobywania nadwyżek behawioralnych przesuwa się, ingerując w sfery życia tradycyjnie rozumiane jako domeny społeczne, wypracowywane przez zestawienia instytucji obywatelskich i publicznego przywództwa".

Tyle że w realnym świecie utopia wyradza się w dystopię, społeczna inżynieria oparta na naganianiu do powszechnej szczęśliwości wyradza się w masowe unieszczęśliwienie ludzi. Zdaniem Zuboff społeczny eksperyment social mediów już pokazuje negatywne skutki – dotyczą one tych, którzy żyją w ich świecie niemal od urodzenia, czyli najmłodszych pokoleń globalnej wioski: „efekty zmagań młodych ludzi już dają o sobie znać, jak wynika z wielu badań dokumentujących emocjonalne koszty ponoszone przy okazji korzystania z mediów społecznościowych".

Pozorna wspólnotowość usieciowienia powoduje realne poczucie izolacji i osamotnienia, poczucie uzależnienia od opinii innych ludzi, uczestnictwa w rzeczywistym życiu z pozycji „outsidera zaglądającego przez szybę". Naprawdę nietrudno wyobrazić sobie, jakie skutki – również dla szeroko rozumianej polityczności – wywiera kolektywna zewnątrz-sterowność, technologicznie wciąż wzmacniania i rynkowo utrwalana z każdym nowym typem smartfona i nowymi wersjami i rodzajami aplikacji. Tym bardziej że większość tych dóbr jest powszechnie chciana i używana – jako kulturowy czynnik gwarantujący mnóstwo udogodnień i usprawnień, psychospołecznych czy wręcz instytucjonalnych nagród i kar.

Nie są to teorie spiskowe ani uprzedzenia ludzi niechętnych social mediom czy staroświeckich moralistów. Facebook bazuje na psychosomatycznym uzależnieniu użytkowników od bycia w roju. „W 2017 roku współtwórca aplikacji Napster, a niegdyś Facebooka, Sean Paker, szczerze przyznał, że Facebook został zaprojektowany tak, aby konsumował jak najwięcej czasu i świadomości użytkowników. Pomysł polegał na wysyłaniu »drobnego strzału dopaminy, raz na jakiś czas« [...] w postaci lajków i komentarzy. Celem było przytrzymanie użytkowników w roju, by uganiali się za tymi strzałami, pozostawiając po sobie ślad, surowiec". I tak utopijna wizja wspólnoty ludzi szczęśliwych i spełnionych w granicach oswojonego świata zmienia się we własną karykaturę. I stwarza możliwość nieznanego wcześniej sterowania ludzkimi politycznymi decyzjami – bazując na ich czysto emocjonalnych instynktach i psychosomatycznych potrzebach.

W nadchodzących latach i dekadach ranga pytań i odpowiedzi, z którymi konfrontuje nas Shoshana Zuboff, będzie tylko rosła. Tradycyjna polityka i nowe technologie, pytania o treść człowieczeństwa i sens życia w republice, nasze prawa jako obywateli państwa i użytkowników globalnych sieci opinii, informacji i usług – nowa dekada XXI wieku boleśnie pozbawiła wielu ludzi złudzeń o końcu historii. Stare zagrożenia i nadzieje przyjmują zupełnie nowe formy, które właśnie uczymy się rozumieć. Także po to, by nie dać się zmanipulować nowym, łagodnie uśmiechniętym i wyluzowanym totalistom. ■

eprasa.pl eda53d7007

Małgorzata Matuszak



Nadzieje i pułapki ksenotransplantologii

Pomysł przeszczepiania narządów od zwierząt nie jest nowy, ludzie od dawna próbowali pozyskiwać „części zamienne" ciała z organizmów zwierząt. Trzeba jednak mieć na względzie, by to, co miało służyć człowiekowi, nie obróciło się przeciwko niemu.



...asa.pl eda53d7007

Czytając doniesienia o kolejnych osiągnięciach współczesnej nauki, możemy niejednokrotnie odnieść wrażenie, że żyjemy w rzeczywistości do tej pory zarezerwowanej, jak nam się wydawało, dla literatury i filmów z gatunku science fiction. Postęp nauki może nas wprawiać w zdumienie, niekiedy w niedowierzanie, nieraz napawać niepokojem. Niektóre działania naukowców przypominają bowiem „zabawę w Boga Stwórcę", a ich skutków nie są w stanie w pełni przewidzieć nawet ci, którzy się ich podejmują.

Hybrydy i chimery

Rozwój transplantologii sprawia, że coraz więcej chorych czeka na przeszczep i coraz bardziej odczuwalny staje się niedobór narządów do transplantacji. Problemy ze znalezieniem odpowiedniego dawcy, ryzyko odrzucenia przeszczepionych narządów już po transplantacji czy różnego typu komplikacje związane z koniecznością przyjmowania przez biorców leków immunosupresyjnych do końca życia skłaniają naukowców, by szukać nowych sposobów pomocy ludziom, dla których transplantacja jest jedynym sposobem na to, by dalej żyć.

Jednym z rozwiązań niedoboru narządów do przeszczepów, a w dłuższej perspektywie poszerzenia możliwości transplantologicznych, czyli „hodowli" narządów dla ludzi, które byłyby zgodne z naszymi organizmami, są badania eksperymentalne nad tworzeniem organizmów ludzko-zwierzęcych. Dzięki zaawansowanym technikom biotechnologii możliwe jest coraz bardziej skuteczne i coraz lepiej kontrolowane tworzenie tego typu organizmów w warunkach laboratoryjnych. Wyróżnia się wśród nich dwa podstawowe rodzaje: hybrydy i chimery. Hybrydami są organizmy złożone z komórek, których genotyp stanowi połączenie kodu genetycznego dwóch lub więcej organizmów; chimery zaś, w znaczeniu biologicznym, to organizmy zbudowane z komórek o różnym kodzie genetycznym.

Chimeryzm może mieć postać wewnątrzgatunkową lub międzygatunkową. Pierwsza wiąże się z intensywnym rozwojem medycyny transplantacyjnej, każdy wszak człowiek, do którego został wszczepiony organ pochodzący od innego człowieka, staje się właśnie taką chimerą, składa się bowiem z komórek o różnym kodzie genetycznym. Znacznie bardziej złożony i równocześnie nastręczający wiele różnego rodzaju problemów jest drugi rodzaj chimeryzmu – międzygatunkowy. Może on również stanowić, w najprostszej postaci, wynik transplantacji organu pochodzącego z organizmu innego gatunku, tak zwanej ksenotransplantacji.

Ksenotransplantacje

Pomysł przeszczepiania narządów od zwierząt nie jest nowy, ludzie od dawna próbowali pozyskiwać „części zamienne" ciała z organizmów zwierząt. Pierwszym udokumentowanym przypadkiem ksenotransplantacji, jak podaje Jarosław Z. Kuźmicz, była operacja przeprowadzona w Rosji w 1682 roku, podczas której uzupełniono czaszkę dworzanina kością czaszkową psa. Kolejne próby ksenotransplantacji podejmowano w XIX i na początku XX wieku: Charles-Edouard Brown-Séquard dokonywał na sobie doświadczeń w zakresie podskórnych iniekcji roztworu z jąder świnek morskich i psów, Siergiej Woronow zaś przeszczepiał mężczyznom fragmenty małpich jąder.

Na kolejne próby połączone z badaniami naukowymi trzeba było czekać do lat 60. XX wieku. Jako potencjalni dawcy narządów dla ludzi pierwsze brane były pod uwagę naczelne, głównie szympansy i pawiany, jako że są najbliżej spokrewnione filogenetycznie z człowiekiem, wykazując duże podobieństwo anatomiczne i fizjologiczne do człowieka. Tego typu transplantacje przeprowadzano głównie w USA, jednak bliskie pokrewieństwo zaowocowało także zwiększonym ryzykiem przenoszenia chorób. Problemem było również to, że małpy rozmnażały się wolno, a ich utrzymanie było stosunkowo trudne i kosztowne. Swój sprzeciw wyrażali też obrońcy praw zwierząt. Zaczęto więc do przeszczepów wykorzystywać świnie, których organy są również bardzo podobne do ludzkich, a ryzyko zarażenia chorobami odzwierzęcymi, z racji oddalenia filogenetycznego, o wiele mniejsze. Do powszechnego użytku ksenotransplantacja jednak nie weszła – podwyższona bariera immunologiczna prowadziła do odrzucenia przez człowieka przeszczepionych narządów zwierząt.

„Odwrócone" ksenotransplantacje

Rozwiązania tego problemu zaczęto upatrywać w badaniach nad możliwością „hodowania" w ciele zwierząt organów genetycznie ludzkich, czyli w czymś, co można nazwać „odwróconą" ksenotransplantacją. Polega ona na tym, że ludzkie komórki macierzyste, stanowiące bazę dla poszczególnych narządów, wszczepione zwierzętom na etapie rozwoju płodowego, umożliwiają wzrost ludzkich komórek w zwierzęcych embrionach. Takie chimery mogłyby się stać później podstawą „produkcji" ludzkich organów.

W ten sposób powstała na przykład mysz z sercem szczura czy też szczur z trzustką myszy. Rok 2017 był pod tym względem przełomowy: w laboratorium amerykańskiego Salk Institute for Biological Studies otrzymano embrion świni z rozwijającą się w nim ludzką wątrobą. „Wyprodukowana" ludzko-świńska chimera zawierała zaledwie 0,001 procenta komórek człowieka, chciano jednak, w kolejnych projektach, stopniowo zwiększać udział ludzkich komórek w świńskich embrionach do 1 procenta. Zarodek zo-

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl eda53d7007

stał zniszczony po 28 dniach, z powodu obowiązującego prawa wyznaczającego maksymalny etap prowadzonej hodowli. Profesor Juan Carlos Izpisua Belmonte, jeden z badaczy Instytutu Silka, zastrzegał wtedy, że jeśli nie będzie akceptacji społecznej dla tego rodzaju eksperymentów, to nie będą one kontynuowane. Dodał też: „Jednym z celów badawczych może być doprowadzenie do narodzin chimery, ale na razie nawet o tym nie myślimy".

Pomyślał ktoś inny. W 2019 roku nastąpił kolejny przełom. Interdyscyplinarny zespół naukowców z Uniwersytetu w Tokio i Stanforda w Kalifornii pod kierownictwem dr. Hiromitsu Nakauchi rozpoczął prace nad wytworzeniem zwierzęcych zarodków zawierających komórki ludzkie i zaimplantowaniem ich w macicach zwierzęcych matek zastępczych.

Badacze pragną stworzyć ludzkie trzustki, które mają się rozwinąć z ludzkich komórek macierzystych iPS, w ciałach gryzoni (myszy i szczurów) genetycznie pozbawionych możliwości wytworzenia własnych trzustek. Japonia stała się w ten sposób pierwszym krajem na świecie, który zezwolił na osiągnięcie płodom zwierząt z komórkami ludzkimi dojrzałości w macicach surogatek i na ich dalszy rozwój po narodzeniu. Natychmiast pojawiły się wątpliwości natury etycznej. Krytycy zwracają bowiem uwagę, że komórki iPS mogą się przekształcić w dowolne inne typy komórek i tkanek, w obrębie mózgu zwierzęcia prawdopodobnie zaczną się więc pojawiać ludzkie komórki nerwowe. Naukowcy z Tokio zapowiedzieli jednak, że będą monitorować chimery przez okres 2 lat i niezwłocznie przerwą eksperyment, jeśli okaże się, że ich mózgi zawierają więcej niż 30 proc. komórek ludzkich.

Wielkie nadzieje

„Takie badania mają ogromny potencjał, aby pomóc wielu osobom cierpiącym na wiele różnych chorób lub wymagającym wymiany różnych rodzajów tkanek lub narządów" – mówi dr Ronald Parchem, neurolog z Baylor College of Medicine w Houston. Profesor Belmonte wymieniał całą listę korzyści, które mogą wynikać z tego typu praktyk. Jeśli bowiem dawców organów jest o wiele mniej niż potrzebujących, a nie potrafimy dziś tworzyć organów do przeszczepów w laboratorium, to organy hodowane na zamówienie byłyby dla potrzebujących ogromną nadzieją. Nadzieją tym większą, że wytwarzane w ten sposób narządy posiadałyby DNA identyczne z DNA biorcy, byłyby bowiem zbudowane z jego komórek macierzystych. Organizm by ich nie odrzucał, a osoba po przeszczepieniu żyłaby z nim tak samo jak ze swoim narządem.

Czyż nie pięknie by było, gdyby dało się zastąpić dowolne, zużyte czy niesprawne tkanki bądź narządy nowymi, w pełni sprawnymi? To wizja raczej wciąż futurystyczna, wiele jednak rzeczy, które wydawały się nam w przeszłości niemożliwe, dziś stałoby się namacalną rzeczywistością. Dlaczego nie miałoby być tak i w tym przypadku? Dokąd jednak nas te działania zaprowadzą? Musimy wziąć pod uwagę również to, że wiele eksperymentów, które przeprowadza się we współczesnych laboratoriach, skrywa niejedną tajemnicę, a świat dowiaduje się o nich (i często nie o wszystkich) dopiero wtedy, gdy naukowcy podzielą się wynikami swych doświadczeń z resztą społeczeństwa. Nie możemy zapominać też o tym, że uczeni, podobnie jak inne grupy zawodowe, starają się dowieść swoich zdolności, swej kreatywności i pierwszeństwa w dokonywaniu przełomowych odkryć. I że współzawodnictwo jest motorem napędowym w pracy uczonego. Koncerny farmaceutyczne zainwestowały w ksenotransplantologię olbrzymie pieniądze. One także, niestety, oddziałują na wyobraźnię naukowców.

Uzasadnione obawy

Jak powiedział rosyjski bioetyk Pavel Tishchenko, „wykorzystanie biotechnologii do osiągnięcia szczęścia to nadal niewystarczające uzasadnienie ich dopuszczalności". Biotechnologie stwarzają bowiem zagrożenia różnego rodzaju, o charakterze socjologicznym, związane z nadużyciami na przykład ze strony władz lub wielkich koncernów, i o charakterze biologicznym, związane z nieprzewidzianymi skutkami ubocznymi, które mogą prowadzić do nieodwracalnych skutków dla całego naszego gatunku. Nie wiemy przecież, jak dalece tego typu działania ingerować mogą w geny i tkanki, jakie powodować zmiany. Pojawiają się pytania dotyczące jakości takich organów, o ich czystość gatunkową, o transmisję możliwych czynników zakaźnych, jak na przykład chorób odzwierzęcych. Eksperymenty te rodzą poważne obiekcje etyczne dotyczące zarówno problemu animalizacji istot ludzkich, jak i humanizacji organizmów zwierzęcych. Zaczyna się w nich rozmywać granica między tym, co ludzkie, i tym, co zwierzęce. Czy zwierzę posiadające ludzkie komórki mózgowe wciąż będzie „tylko zwierzęciem"? Czy nie naruszymy w tym momencie praw zwierząt do bycia tym, czym są z natury? Czy możemy pominąć kwestię ich czystości genetycznej i ochrony gatunków?

Rozstrzygnięcia prawne są w tym względzie niezbędne, nie zastąpią jednak namysłu etycznego nad różnego rodzaju eksperymentami. I szukania odpowiedzi na pytanie, które sformułował niemiecki etyk Hans Jonas: czy wszystko, co jest możliwe dla człowieka, jest jednocześnie godziwe i czy jest godne człowieka? ■

eprasa.pl eda53d7007

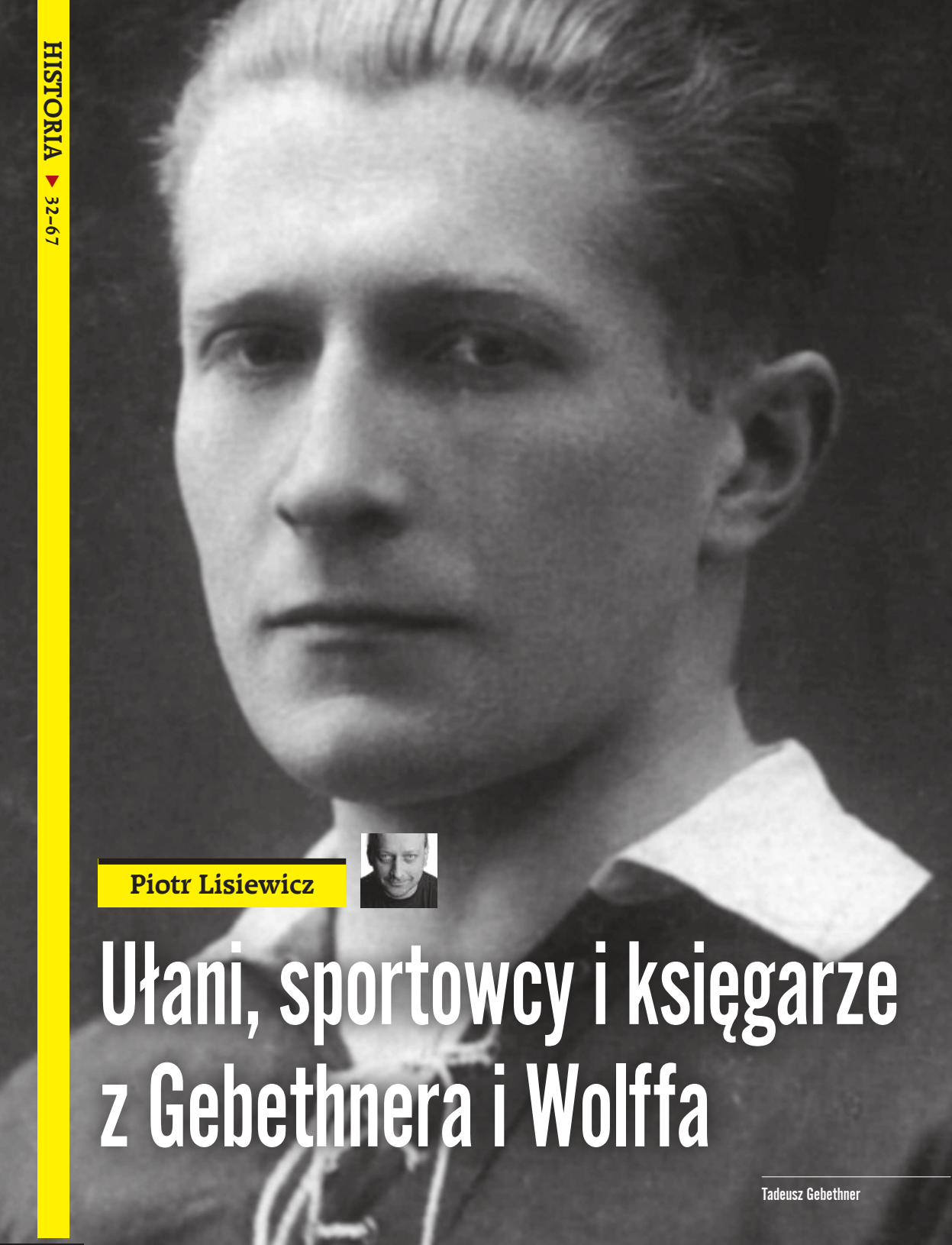
KGHM
POLSKA MIEDŹ

Jesteśmy liderem w produkcji miedzi i srebra.
Umożliwiamy rozwój nowoczesnego świata.

KGHM Polska Miedź S.A. | ul. M.Skłodowskiej-Curie 48 | 59-301 Lubin | www.kghm.com



eprasa.pl eda53d7007



Piotr Lisiewicz

Ułani, sportowcy i księgarze z Gebethnera i Wolffa

Tadeusz Gebethner

eprasa.pl eda53d7007

– Kto napisał „Balladynę”? – pyta nauczyciel ucznia liceum. – Gebethner i Wolff! – odpowiada uczeń. Ta anegdota z lat 30. pokazywała znaczenie domu wydawniczego Gebethnera i Wolffa w przedwojennej Polsce. A później wydawca Marii Konopnickiej, Elizy Orzeszkowej, Henryka Sienkiewicza i Władysława Reymonta zlikwidowany został przez komunistów. Ale historia wydawnictwa splata się z historią Polonii Warszawa. Jej kapitan, piłkarz Tadeusz Gebethner, powstaniec warszawski, za ukrywanie żydowskiej rodziny został Sprawiedliwym wśród Narodów Świata. A jego brat, mistrz lekkoatletyczny, a także autor tekstów piosenek, Wacław Gebethner, za walkę z bolszewikami odznaczony był Virtuti Militari.

fot. Wikipedia

W krwawej szarży pod Zasławiem
Pułk zasłużył się Warszawie.
Krwawo podły wróg odczuje,
Gdy Zasławczyk nań szarżuje.
Tępi chamów jak cholera
Pułk ułanów od Hallera.

– tak brzmiała żurawiejka o 5. Pułku Ułanów Zasławskich, z którym cały szlak bojowy w czasie wojny polsko-bolszewickiej przeszedł Tadeusz Gebethner. Jego brat Wacław służył zaś w 24. Pułku Ułanów im. Hetmana Wielkiego Koronnego Stanisława Żółkiewskiego, równie pięknie opisanym w żurawiejce:

Piją wina pełne dzbanki,
kochają ich Lublinianki.
Gubi lance, gówno warty,
to jest pułk dwudziesty czwarty.

Wydawcy Sienkiewicza i Chopina

Historię braci Gebethnerów, łączących księgarską pasję ze sportowymi sukcesami i zasługami dla Ojczyzny, przypomnieć postanowiły Magdalena Stokłosa i Aleksandra Wójcik, autorki książkowej serii „Sportowcy dla Niepodległej”. Ojciec braci, Jan Robert Gebethner, był współwłaścicielem wydawnictwa „Gebethner & Wolff”. Matka Maria, z domu Herse, była współwłaścicielką znanego warszawskiego domu mody.

Ich dziadek, Gustaw Adolf Gebethner, założył w 1857 roku wraz z Augustem Robertem Wolffem księgarnię oraz wydawnictwo „Gebethner i Wolff” z filiami na terenie całego kraju, a także w Paryżu i Nowym Jorku. Wydawało ono klasykę literatury polskiej – utwory Elizy Orzeszkowej, Marii Konopnickiej, Henryka Sienkiewicza, Władysława Reymonta. A także dzieła muzyczne, m.in. Fryderyka Chopina i Stanisława Moniuszki.

A później również twórczość Wacława Berenta, Piotra Choynowskiego, Jarosława Iwaszkiewicza, Kornela Makuszyńskiego, Zofii Nałkowskiej, Jana Parandowskiego. Jego nakładem ukazywały się też czasopisma – „Kurier Warszawski”, „Tygodnik Ilustrowany”, „Kurier Codzienny” i wreszcie „Przegląd Sportowy”, którego redaktorami naczelnymi byli literaci – Kazimierz Wierzyński i Ferdynand Goetel.

Prezes Polonii Warszawa, lat 17

Obaj chłopcy urodzeni w bogatej rodzinie mogli więc być spokojni o swój byt, jednak, jak piszą Stokłosa i Wójcik, „od małego jakby uparli się, by udowodnić, że dokonają wielkich rzeczy nie tylko z racji dobrego urodzenia, ale przede wszyst-

eprasa.pl eca53d7007

kim dzięki talentowi i ciężkiej pracy". Obaj ukończyli dobre warszawskie szkoły. Tadeusz zdał maturę w 1916 roku, uczęszczając do Męskiej Szkoły Realnej Konopczyńskiego.

Jednak co najmniej tyle samo uwagi co nauce poświęcali sportowi. Prawdopodobnie pasję przekazał im najstarszy z rodzeństwa, Jan. Miała ona stać się początkiem tradycji klubu sportowego Polonia Warszawa, który dziś chlubi się rokiem założenia 1911.

Warszawskie Koła Sportowe skupiały większość ówczesnych szkolnych zespołów piłkarskich. W ich zarządzie były tereny warszawskiej Agrykoli, jedno z niewielu miejsc, gdzie wówczas można było uprawiać sport. „Chłopcy zorganizowali drużyny w ramach Warszawskiego Koła Sportowego. I choć za debiutancki mecz »pierwszej Polonii« uważa się spotkanie z Koroną na Agrykoli – 19 listopada 1911 r., to do sformalizowania działalności klubu doszło dopiero niemal cztery lata później" – piszą autorki „Sportowców dla Niepodległej". W 1911 roku istniejące w ramach WKS dwie drużyny gimnazjalne – Stella (Szkoła Konopczyńskiego) i Merkury (Szkoła Zgromadzenia Kupców) – postanowiły połączyć siły. Stało się to za sprawą Wacława Denhoffa-Czarnockiego, który wymyślił nazwę Polonia. W czasach zaboru rosyjskiego nadanie takiej nazwy drużynie było niewątpliwie aktem patriotyzmu i odwagi.

Wspomniane sformalizowanie działalności klubu odbyło się w ten sposób, że w warszawskim domu Gebethnerów zebrała się grupa zawodników, którzy na prezesa wybrali... 17-letniego Tadka. W 1917 roku pierwszym oficjalnym klubowym adresem stał się lokal przy ul. Zgody, ofiarowany przez matkę obu chłopców Marię Gebethnerową, przez prasę tytułowaną „przezacna matka duchowa klubu".

W piśmie „Stadjon" z 1925 roku nr 37 czytamy: „Możemy sobie wyobrazić dolę takiego klubu, (...) gdy o zrozumieniu sportu nie było jeszcze mowy, kraj był pod okupacją, a ciężkie czasy wojny dawały się we znaki. Jednak młody klub pracuje intensywnie i zwalcza przeszkody". Już od 1913 roku jego piłkarze występowali w charakterystycznych czarnych koszulach. Przydomek „Czarne Koszule" przysługuje sportowcom z Polonii do dziś.

▶ Z kwalifikacji na olimpiadę – na wojnę z bolszewikiem

Jak piszą Stokłosa i Wójcik, pierwsze sukcesy Wacław odniósł na zawodach lekkoatletycznych z okazji I Zjazdu Polskich Zrzeszeń Sportowych i Gimnastycznych we wrześniu 1918 roku – na kilka tygodni przed odzyskaniem niepodległości przez Polskę. Zaś w roku 1920 przygotowywał się do mistrzostw kraju zaplanowanych na lipiec we Lwowie. 14 lipca Armia Czerwona wkroczyła do Wilna, a kilka dni później do Grodna. Ale mimo trwającej wojny polscy sportowcy, jak pisała „Gazeta Warszawska", „na wyraźne żądanie dowódcy okręgu generalnego lwowskiego" mieli rywalizować o tytuł mistrza kraju.

Dlaczego? Władze liczyły na to, że sukcesy sportowców przyczynią się do rozsławienia wskrzeszonego po 123 latach państwa polskiego. Najlepsi na zawodach we Lwowie mieli być pewni wyjazdu na igrzyska olimpijskie do Antwerpii. „Wacław Gebethner należał do faworytów i nie zawiódł nadziei. W biegu 4 × 100 m wspólnie z kolegami z Polonii zdobył złoto. Do Antwerpii jednak nie pojechał" – piszą autorki „Sportowców dla Niepodległej".

Zamiast tego Wacław został przydzielony do 214. (24. według innej numeracji) Pułku Ułanów, którego miejsce koncentracji wyznaczono we Lwowie, gdzie brał udział we wspomnianych mistrzostwach. Dowodził plutonem w 4. szwadronie. Pułk walczył na Zamojszczyźnie, Wołyniu i środkowej Litwie. Jak piszą autorki, 21-letni porucznik Wacław Gebethner uczestniczył m.in. w bitwie pod Zaglinkami 12 września 1920 roku. Jak meldowano: „Chwalebnie wykazał silną wolę dowódcy w wykonaniu powierzonego mu zadania". W książce Stanisława Broczyńskiego „Zarys historji wojennej 24-go Pułku Ułanów" czytamy: „Oto, jako dowódca plutonu 4-go szwadronu, otrzymał samodzielne zadanie zajęcia jedynego mostu na grobli i uniemożliwienia przejścia tą drogą nieprzyjacielowi. Wykonywując otrzymane zadanie, został nagle zaskoczony z boku przez przeważającego nieprzyjaciela, jednakowoż zajętego stanowiska nie oddał, broniąc go do ostatnich sił". Mimo że Wacław podczas boju odniósł ciężką ranę nogi, „osobiście kierował plutonem do końca". Tym czynem bojowym zasłużył sobie na odznaczenie Krzyżem Srebrnym Orderu Virtuti Militari.

▶ „Porucznik jazdy, miły ten szaławiła"

Wspomnienia ułańskich czasów wrócą w napisanym wiele lat później przez Wacława Gebethnera foxtrocie „Porucznik jazdy", śpiewanym przez Chór Juranda:

Porucznik jazdy, miły ten szaławiła,
Co dzisiaj jest tu, a jutro tam,
Dziś razem z dziewczyną, jutro sam

eprasa.pl eda53d7007

Tak jak to stara piosnka o nim mówiła
Że nic go nie zmieni już
I zawsze będzie ten sam.
Na koniu to rycerz i pan,
W salonie wytworny jak paź,
Lecz serca nie daje,
Choć lubi je brać

Miłości nigdy nie traktuje na serio,
Wciąż szuka dziewczyny,
Której jeszcze serce by skraść.

Ach, poruczniku, spotkasz się z dziewczyną,
Na której widok oczy zajdą mgłą.
I wtedy powiesz, z dość niemądrą miną:
Przepadło już, bo kocham ją, pardon.

W 1920 roku starszy z braci Tadeusz miał za sobą już niemal dwa lata służby wojskowej. Do Polskich Sił Zbrojnych trafił bowiem w październiku 1918 roku i odbył kurs wyszkolenia kawalerii. W trakcie wojny polsko-bolszewickiej służył w 5. Pułku Ułanów Zasławskich i przeszedł z nim cały szlak bojowy – aż do października 1920 roku. „Po drodze, na linii rzeki Horyń, niespełna 23-letni ułan Tadeusz odznaczył się w boju podczas zdobywania ważnego węzła kolejowego Sarny" – odnotowują Stokłosa i Wójcik.

Polonia Warszawa walczy o polskość Śląska

Po zwycięskiej wojnie piłkarze Polonii Warszawa, na czele z Tadeuszem, prezesem i kapitanem w jednej osobie, wyjechali na Górny Śląsk, aby wziąć udział w propagandzie na rzecz Polski przed plebiscytem mającym zdecydować o przynależności tego terenu. Drużyna Polonii rozegrała wiele meczów z tamtejszymi piłkarzami. Sam Tadeusz był tam instruktorem w klubie Czuwaj Łabędy.

W odpowiedzi na noworoczny apel Polskiego Komisariatu Plebiscytowego, 4 stycznia 1920 roku utworzony został kolejny znany do dziś klub o nazwie Polonia, czyli Polonia Bytom, której kibice zwykli śpiewać „Polonia Bytomska królową całego Śląska". Tadeusz pomagał w założeniu bytomskiej Polonii, według niektórych źródeł był także jej honorowym prezesem. W jej zorganizowaniu brali udział członkowie tamtejszego Towarzystwa Sportowego „Sokół", a szczególną aktywnością wyróżniali się dr Maksymilian Wilimowski, Alojzy Budniok i Edmund Grabianowski, który został prezesem klubu. Powstały też sekcje piłkarska oraz zapaśnicza.

Niestety, w wyniku podziału Górnego Śląska Bytom wpadł w niemieckie ręce i w 1922 roku przedwojenna bytomska Polonia zakończyła działalność. Większość jej działaczy trafiła później do Miechowickiego Klubu Sportowego.

„Szybkość, temperament i pyszne walory fizyczne"

Za to warszawska Polonia święciła teraz sukcesy – w 1921 roku poprowadzona przez Tadeusza, grywającego na pozycji pomocnika i napastnika, wywalczyła tytuł wicemistrza Polski. „Jakkolwiek drużynę Polonii nazwać można raczej zespołem zdolnych dyletantów, która siłę swą opiera nie na technice i zespołowym rozumieniu gry, lecz na szybkości, temperamencie i pysznych walorach fizycznych, to jednak przyznać należy, że jest ona przeciwnikiem groźnym dla każdego bez wyjątku klubu krajowego czy nawet zagranicznego" – pisał „Przegląd Sportowy". Jak wyliczają statystycy, w latach 1915–1925 Tadeusz rozegrał w Polonii łącznie 137 oficjalnych meczów w barwach swojego macierzystego klubu, będąc przez większość czasu jego kapitanem. Sport łączył ze studiami na Wyższej Szkole Handlowej. Z kolei grający także w piłkę młodszy z braci, Wacław, rozegrał 77 spotkań i strzelił 21 bramek. Mimo ran odniesionych na wojnie, dalej uprawiał też lekkoatletykę. I to z ogromnymi sukcesami. Jak piszą autorki „Sportowców dla Niepodległej", po roku od swojego najważniejszego sukcesu wrócił do Lwowa po kolejne laury, dla odmiany w skoku w dal i trójskoku. Zdobył dwa srebrne medale. W 1920 roku został mistrzem Polski w biegu rozstawnym 4 x 100 metrów. Drużyna Polonii Warszawa pobiła wówczas rekord kraju. Rok później zdobył srebrne medale krajowego czempionatu w skoku w dal i trójskoku. Był dwukrotnym rekordzistą Polski w sztafecie 4 x 100 metrów. Jego rekordy życiowe wynosiły: bieg na 200 metrów – 24,0 (21 września 1918, Warszawa); skok w dal – 6,18 (31 lipca 1921, Warszawa); trójskok – 11,47 (31 lipca 1921, Warszawa).

„Młodzieńczość, co nad poziomy wylata"

Jak podkreślają Stokłosa i Wójcik, „Gebethnerowie nigdy nie chcieli być klubowymi figurami, działaczami przywiązanymi do stołka". Jak pisał „Przegląd Sportowy", grali „dla ukochania piłki nożnej, dla chęci wyładowania nadmiaru drzemiącej w nich energji, dla dogodzenia namiętnościom, dlatego że grać lubią, czy przywykli, nawet dla poklasku – ale żaden z nich nie wstępował z pewnością na boisko z myślą, że mecz przyniesie mu teraz, czy później, jakoweś zyski materialne".

eprasa.pl eda53d7007

Jak oceniał dziennikarz „Przeglądu Sportowego", klub ten „psychicznie nie pozbawił się owej młodzieńczości, co »nad poziomy wylata«, i idealnego zapału, który wątłemi rękami kilkunastu młodzieńców w r. 1915 potrafił stworzyć klub, będący dziś jedną z najpotężniejszych tego rodzaju organizacji w Polsce".

Według dzisiejszych zwyczajów bracia, mimo dużych sukcesów, dość wcześnie zakończyli sportowe kariery, bo Tadeusz przestał grać w piłkę w wieku 28 lat, choć później występował w oldboyach.

„Gdzieś ulecą w dal dziecinne nasze sny"

W drugiej połowie lat 20. i w latach 30. stali się filarami wydawniczego giganta, czyli firmy Gebethner i Wolff. Tadeusz był w jej zarządzie, odpowiadał za hurt, a Wacław został redaktorem popularnego „Tygodnika Ilustrowanego". Obydwaj pełnili też ważne funkcje w centrali Związku Księgarzy Polskich. Tadeusz w latach 1929–1934 zasiadał w Zarządzie Głównego Związku Księgarzy Polskich.

To Gebethnerowie od 1925 roku wydawali „Przegląd Sportowy". Autorki „Sportowców dla Niepodległości" piszą: „Byli duszami towarzystwa, obracali się w kręgach warszawskich literatów i elit artystycznych. Tadeusz razem z żoną, słynącą z wielkiej urody Alicją, często gościli w popularnym Yacht-Clubie; Wacław współpracował z artystami jako autor tekstów piosenek".

Wśród ich znajomych byli Władysław Reymont, sąsiad z kamienicy Gebethnerów, dla którego Tadeusz sprowadzał z Francji wino, Jan Lechoń, rówieśnik z klasy u Konopczyńskiego, Zofia Nałkowska, Juliusz Żuławski, Kornel Makuszyński, Mira Zimińska-Sygietyńska. „Pracując nad swoją pierwszą powieścią w 1934 i 1935 roku, uważam za naturalny taki tryb życia, że od wczesnego popołudnia zaczynam raczyć się mrożoną wódką i śledziem w oliwie ze starszymi od siebie przyjaciółmi w Barze Europejskim, potem jem obficie zakrapianą kolację z Januszem Domaniewskim w Cristalu na rogu Brackiej czy też w Warszawiance na Nowym Świecie, lub z Tadeuszem Gebethnerem i jego piękną żoną Alą w Yacht-Clubie, potem zaglądam do Adrii, aż wreszcie z Józefem Hieronimem Retingerem odwiedzam Kakadu przy placu Dąbrowskiego" – pisał Juliusz Żuławski.

W 1936 roku Wacław napisał piosenkę „Zjawią się wspomnienia", nazywaną „Smutnym walcem" z muzyką Franza von Vecseya, która pojawiła się w filmie „Pieśń jej matki" z 1936 roku:

Kiedyś musi przyjść
Ten smutny dzień,
Gdy to, co dziś łączy nas,
Los rozerwie, a może czas.

Kiedyś między nas
Zapadnie cień,
Gdy napiszesz krótki list,
Że odchodzisz i więcej nie.

Za dzień, za dwa lub trzy
Już gdzieś ulecą w dal
Dziecinne nasze sny.

Ucieczka z Rakiszek

Smutne czasy faktycznie miały przyjść... Przez całą II Rzeczpospolitą obaj bracia nie zrywali kontaktu z wojskiem. Tadeusz został awansowany na podporucznika ze starszeństwem z dniem 1 lipca 1925 roku w korpusie oficerów rezerwy kawalerii. Miał przydział do 5. Pułku Ułanów Zasławskich.

Wacław awansował do stopnia porucznika ze starszeństwem z 2 stycznia 1932 roku w korpusie oficerów rezerwy kawalerii. Posiadał przydział do 24. Pułku Ułanów w Kraśniku.

We wrześniu 1939 roku stare przydziały okazały się aktualne i obaj bracia wzięli udział w wojnie obronnej. Wacław walczył w szeregach 24. Pułku Ułanów. Po wrześniowej klęsce udało mu się przedostać do Francji, a potem do Wielkiej Brytanii, gdzie pozostawał wciąż przy 24. Pułku Ułanów.

Tadeusz służył w 102. Pułku Ułanów, który wspierał obronę Grodna przed Sowietami. Jednostka została internowana w Rakiszkach na Litwie. Ale Tadeusz zdołał zbiec z obozu, a następnie pomóc w ucieczce kolejnym oficerom.

„Czujcie się, Panie, jak u siebie w domu"

Miał zapisać niezwykle bohaterską kartę, z narażeniem życia ratując Żydów. Jak piszą Stokłosa i Wójcik, w 1940 roku Tadeusz przebywał w Wilnie, gdzie przystąpił do Związku Walki Zbrojnej. Później wrócił do Warszawy, gdzie kontynuował służbę w szeregach ZWZ–AK, pod pseudonimem „Jerzy", kierując tzw. Bazą Wileńską. Pracował w wydawnictwie, a jednocześnie działał w podziemiu.

Latem 1942 roku w jego mieszkaniu przy ul. Śniadeckich 23 zjawiły się dwie Żydówki – Ludwika Abrahamer z 12-letnią córką Aliną, które uciekły ze Skawiny przed transportem do Bełżca. Do Gebethnera skierował je znajomy pracownik krakowskiej księ-

eprasa.pl eda53d7007

garni. Tadeusz, ryzykując życie, zaprosił Ludwikę i Alinę do swojego mieszkania.

Ludwika Abrahamer wspominała po latach, że Tadeusz był zakłopotany, iż nie może zaoferować im... lepszych warunków, jak tylko pokój przechodni. „W każdym pokoju mieszkał ktoś z jego przyjaciół, któremu dał schronienie. I jeszcze jedno powiedział, czego nie zapomnę: czujcie się, Panie, jak u siebie w domu. To był człowiek nieznany nam, obcy i od razu dał nam tyle ciepła".

Po kilku tygodniach dołączył do nich mąż Ludwiki – Solomon. Jak piszą autorki „Sportowców dla Niepodległej", Tadeusz pomógł mu zdobyć fałszywe dokumenty, a kiedy mężczyzna zachorował, sprowadził chirurga, który przy świecach przeprowadził operację okulistyczną i uratował pacjentowi wzrok. Abrahamerowie spędzili u Gebethnera dwa lata.

W 1943 roku, po anonimowym donosie, Abrahamerowie zostali zatrzymani przez tzw. granatową policję, ale Gebethner zdołał ich wykupić – wpłacił olbrzymią sumę 20 tys. zł łapówki. W końcu wiosną 1944 roku Gebethner pomógł żydowskiej rodzinie przedostać się na Węgry, gdzie udało im się przeżyć wojnę.

Kilkadziesiąt lat po śmierci Tadeusza uratowana przez niego żydowska dziewczynka Alina wystąpiła o uhonorowanie go tytułem Sprawiedliwy wśród Narodów Świata. Został on przyznany 21 października 1981 roku. Ceremonia w Yad Vashem z udziałem Alicji i Ludwiki odbyła się 25 kwietnia 1983 roku. „Nigdy nie zapomnimy Tadeusza Gebethnera, tego szlachetnego człowieka, który uratował życie moje i męża. Kto jeszcze okazał tak wiele serca, tak głębokiego człowieczeństwa, tyle dobrej woli i bezinteresowności? Kto bardziej niż on zasługuje na wieczną wdzięczność i drzewko w Alei Sprawiedliwych w Jerozolimie?" – mówiła Ludwika Abrahamer.

Kilka razy ranny w Powstaniu Warszawskim

Był rok 1944, żydowscy współtowarzysze niedoli zostali uratowani, a Tadeusz szykował się do walki z Niemcami. Pod pseudonimem „Gustaw" służył w 3. batalionie pancernym. Jego przydział przed godziną „W" był według portalu 1944.pl następujący: Armia Krajowa – 3. batalion pancerny „Golski" – dowódca Obiektu nr 1 – Kraftfahrpark-Oczki, następnie dowódca Odcinka Południe.

W Powstaniu Warszawskim dowodził atakiem na Kraftfahrpark i Szpital Dzieciątka Jezus. „W czasie niesamowitej strzelaniny (Niemcy strzelali z gruzów Lardellego i z Czerwonego Szpitala) por. »Gustaw« podał mi linkę i w tym czasie dostał postrzał w rękę. Akcja ratunkowa została przerwana, a my czekaliśmy ok. 30 minut na odkopanie bramy zasypanej ziemią. W gruzach Lardellego poległ na początku ataku »Brzoza«. Ciężko ranny »Sęp« zmarł następnego dnia. Por. »Gustaw« ze strzaskaną ręką leczony był w polowym szpitalu na Śniadeckich" – wspominał ps. „Gałęzowski" z II Kompanii. Janina Kurtz-Paszkowic „Joasia" zapamiętała: „Bezpośrednim dowódcą moim był porucznik Franciszewski i »Gustaw« Gebethner, słynny księgarz warszawski... Leżał na parterze w jakimś mieszkaniu, było trochę rannych, a operowano na trzonie kuchennym".

„Odważny i nieustępliwy, został kilkakrotnie ranny. Konieczna była najpierw amputacja ręki, a następnie nogi. Po kapitulacji powstania Tadeusz trafił do stalagu Altengrabow i wkrótce zmarł" – piszą autorki „Sportowców dla Niepodległej". Stalag mieścił się w rejonie Magdeburga.

Tadeusz został pośmiertnie awansowany do stopnia rotmistrza. Jego grób znalazł się po wojnie na terenie sowieckiego poligonu, obecnie poligonu Bundeswehry. I został zrównany z ziemią... Rotmistrz Gebethner został upamiętniony w Muzeum Powstania Warszawskiego na Murze Pamięci (kolumna 190, pozycja 13). Jego symboliczny grób znajduje się na Cmentarzu Powązkowskim, kw. 205, rząd 1/6, miejsce 18. Wacław Gebethner przeżył wojnę i zmarł w 1959 roku w Komorowie.

„By przykryć wspomnień ślad"

Podczas wojny spłonął budynek siedziby wydawnictwa „Gebethner i Wolff". W czasie wojny rozprowadzało ono nielegalne książki oraz prowadziło tajne kursy dla pracowników księgarń. W czasie Powstania Warszawskiego budynek wydawnictwa został zbombardowany i spłonął ponownie.

W 1950 roku władze komunistyczne odebrały Gebethnerom licencję wydawniczą, zmuszając ich do zawieszenia działalności. Pod koniec lat 50. decyzją Biura Odbudowy Stolicy dom firmy Gebethner i Wolff został po raz trzeci wyburzony, a na jego miejscu zbudowano blok mieszkalny. Proces likwidacji oficyny ciągnął się formalnie do 1973 roku, kiedy to zakończył działalność antykwariat „Gebethner i Wolff" przy ul. Ząbkowskiej. Cóż, „smutny walc" Wacława Gebethnera zapowiadał:

Zaoszczędzić chciej
Ostatnią łzę
I spokojnie oddal się
I pozostaw łzy tylko mnie.
Zostanie jedna z róż
Które lubiłeś tak,
Osiądzie na niej kurz,
By przykryć wspomnień ślad. ■

eprasa.pl eda53d7007

Agnieszka Kowalczyk

Generał „Nil”. Niezłomny żołnierz Niepodległej

eprasa.pl eda53d7007

Jego największa świętość to honor własny i narodu. Jego absolut to Polska. Jego program to czyn dla niej, ofiara i nieustanne spalanie się. Jego styl na co dzień to wzorowe koleżeństwo i przyjaźń okazywane ludziom, z którymi wiązał go los [...]. Wychowany w atmosferze Legionów potrafił do religijnej niemal żarliwości doprowadzić filozofię czynu [...]. Trochę Skrzetuski, a trochę Kmicic, a znów w innym wymiarze Zawisza". Taki duchowy portret generała Augusta Emila Fieldorfa „Nila" skreślił jeden ze współtowarzyszy jego syberyjskiej niedoli.

Gdy w marcu 1945 roku licealista Tadeusz Bobrowski po aresztowaniu przez NKWD trafił do obozu w Rembertowie, jego uwagę przykuł „szczupły, ciemnowłosy pan o bystrym spojrzeniu". Wyróżniał się z tłumu, bo był to „człowiek niezniewolony przez strach". Nazywał się Walenty Gdanicki. Obu tych ludzi połączył wkrótce wspólny los. „Ciżba ludzka, smród, wszy – wspominał obozowe piekło Tadeusz. – Volksdeutsche obok ludzi podziemia. Organizacyjny bałagan. Paropiętrowe, przeciążone prycze walą się. Ofiary w ludziach [...]. Nieustanne zbiórki i odliczanie co dziesiątego na wykończenie. Słowem, niewesoło. Ale »kolejarz Walenty« jest pogodny i pełen wewnętrznej równowagi. Jest jakby zadowolony, że kawał się udał, że – na równi z innymi – męczą jakiegoś zwykłego kolejarza".

Kim był Walenty Gdanicki?

Pan Walenty opowiadał o sobie, że jest emerytowanym kolejarzem i że został zatrzymany za handel dolarami i tytoniem, bo omyłkowo zapukał nie do tych drzwi, co trzeba. Mówił, że całe jego życie skupia się wokół przyrządzania wybornych specjałów kulinarnych, pieczenia i wyrobu win. Tadeuszowi trudno było dać temu wiarę, bo podświadomie wyczuwał, że to aktorski kamuflaż i że ma do czynienia z człowiekiem nad wyraz inteligentnym, odważnym i szlachetnym. Nie mylił się. Miał oto przed sobą generała Augusta Emila Fieldorfa „Nila" – legendarnego człowieka Polski Podziemnej, szefa Kedywu Komendy Głównej AK, przywódcę organizacji niepodległościowej „NIE". W istocie został on przypadkowo aresztowany przez NKWD 7 marca 1945 roku w Milanówku, a powzięty w konspiracji plan odbicia go z rembertowskiego obozu spełz na niczym.

Gdy 25 marca 1945 roku z rembertowskiego obozu wyprowadzono uwięzionych na bocznicę kolejową, długo jeszcze kazano im klęczeć przy torach, wywołując nazwiska i dokładnie rewidując. W ostatniej chwili przed odjazdem, nie zważając na rosyjskie kolby, dobiegł do Fieldorfa znajomy mężczyzna (oficer Kedywu AK – mjr Stefan Bajer) i rzucił mu worek ze słoniną, czosnkiem, cebulą i lekarstwami. Poszczęściło się też Tadeuszowi, któremu na odjezdnym matka przekazała plecak z chlebem i aluminiowym rondelkiem, z którego jej syn wespół z „panem Walentym" jedli potem przydziałowe zupy. Notabene był to „jedyny przedmiot, który przebył z nimi całą epopeję uralską i wrócił do kraju".

Na Uralu

26 marca wyruszyli w nieznane. Pociąg pędził na Wschód. Warunki podróży były potworne, co kilka dni 45 ludzi ściśniętych w wagonie dostawało solone ryby

fot. Arch.

eprasa.pl eca53d7007

i wiadro wody, czyli mniej niż szklankę na jednego więźnia. Głód i pragnienie doskwierały więc wszystkim, podobnie jak wszechobecne wszy. Tadeusz zachorował na czerwonkę i nie wiadomo, co by się stało, gdyby nie Fieldorf, który oddał mu cały swój zapas tanalbiny. Transportu nie przeżyło wielu – zwłoki kilkuset nieboszczyków układano warstwami w ostatnim wagonie, wreszcie pochowano przy torach w okolicy wsi Soświa.

Pierwszym obozem, do którego trafili, brnąc przez śniegi pod eskortą uzbrojonych w bagnety konwojentów, był Kaszaj I. Pracowano tam w systemie dekadowym – dziesięć dni roboczych i jeden dzień odpoczynku. Więźniowie staczali wielkie bale drzewa do rzeki. Gdy śnieg topniał, musieli pokonywać sięgające do kolan lodowate strumienie. Wielkie zaspy i nierówności terenu sprawiały, że praca przekraczała ludzkie możliwości – „dosłownie miało się wrażenie, że kręgosłup się łamie i nogi wyginają". Wszystko na tych bezkresnych, syberyjskich przestworzach obliczone było na wyniszczenie człowieka – niepewność jutra, życia i powrotu, dojmujący głód i pragnienie, trzaskające mrozy (do minus 50 stopni Celsjusza), mordercze marsze i ciągły strach. Tego, co niósł ze sobą przymusowy pobyt na tej ziemi, doświadczył Fieldorf, walcząc o przetrwanie w kolejnych obozach – Kaszaj I, Stara i Nowa Berezowka, Borowlanka, Pierwyj Post, Stupino, Wierchoturie, Rież pod Świerdłowskiem i Możga. Nic nie było go jednak w stanie złamać. Świadczy o tym najlepiej anegdota przytoczona przez Tadeusza z czasów, gdy pracował w kuchni obozowej jako „chleborez", czyli funkcyjny od krojenia przydziałowego chleba. „Na ten okres przypadały imieniny jednego ze współwięźniów – Bolesława Biegi. Pan Walenty cicho wszedłszy do baraku podał siedzącemu na pryczy solenizantowi okrągły torcik. Torcik »upiekł« własnoręcznie z okruchów zbieranych w tym celu przez kilka dni. Ciasto doprawił żółtym cukrem. Składając życzenia prosił, by pan Bolesław sam zjadł swój prezent, nic nikomu nie mówiąc. W pierwszej chwili solenizant dostosował się do prośby ofiarodawcy. Nagle rozległ się jego donośny głos: »Panie Walenty, wspaniały tort, takiego jeszcze w życiu nie jadłem«".

„Warto było walczyć, cierpieć i głodować"

Największym świętem podczas syberyjskiej niewoli był dla Fieldorfa jeden z październikowych dni 1947 roku, w którym oznajmiono mu, że... wraca do kraju. Do końca nie miał pewności, czy go nie zawrócą, czy nie podzieli losu wywiezionych do Katynia i Ostaszkowa. Wyjazd doszedł jednak do skutku i pociąg znaną już drogą pędził na Zachód, a Fieldorf, mijając masywy uralskich gór, zatapiał się we wspomnieniach i myślał o przeszłości, gdy był niegdyś wesołym krakusem, choć nie wzorowym uczniem. Nie znosił ponurej i „zatęchłej" atmosfery krakowskiej szkoły i co rusz uciekał z niej na wagary. Był za to duszą towarzystwa, a koledzy z podwórka podczas niezapomnianych, dziecięcych zabaw widzieli w nim swego wodza. Często gościł w sąsiedniej kamienicy, w mieszkaniu profesora Odona Feliksa Bujwida, znanego krakowskiego mikrobiologa i społecznika, u którego po raz pierwszy zetknął się ze skautami i tak jak oni zaczął rozczytywać się w książkach sławiących dzieje polskiego oręża. Jednocześnie wstąpił do Organizacji Ćwiczebnej Szkół Średnich, a potem jako siedemnastolatek do Związku Strzeleckiego w Krakowie i pomyślnie przeszedł kurs podoficerski. Gdy wybuchła wielka wojna, 6 sierpnia 1914 roku wyruszył wraz z oddziałami Piłsudskiego z krakowskich Oleandrów w bój o wolną Polskę. Jego szlak bitewny znaczyły: Brzegi, Czarkowa, Winiary, Budy Michałowskie, Chyżówki, Marcinkowice, Pisarzowa, Łowczówek, Nida, Konary, Ożarów, Jastków, Kamionka, Stochód, Hulewicze, Rudka Miryńska... Walczył też jako żołnierz Polskiej Organizacji Wojskowej, w oddziale lotnym ppor. Eugeniusza Wyrwińskiego „Koguta". Po latach żona Fieldorfa Janina wspominała, że w jego sercu pierwsze miejsce zajmowała Polska, a po niej Komendant Piłsudski – „on, Wódz, prowadził ich drogą, która na pewno była słuszna, choć nieraz jeszcze ciężka. Jakże boleśnie, dosłownie, krwawiły mu stopy. To nic, wszystko można znieść, bo wizja niepodległej Ojczyzny, którą im ukazywał Komendant, była tak oszałamiająco piękna, i tak mimo wszystko realna, że warto było walczyć, cierpieć i głodować".

Gdy zaś Rzeczpospolita powstała z martwych, Fieldorf jako żołnierz odrodzonego Wojska Polskiego oddał się w jej służbę – pospieszył na odsiecz walczącemu Lwowowi, wyzwalał zajęte przez bolszewików Wilno, bił się pod Żytomierzem i Kijowem, ścigał rozgromione pod Warszawą wojska sowieckie, wyzwalał Białystok, walczył o Lidę i Nowogródek. Całkowite zanurzenie w żywiole walki nie przeszkodziło mu jednak 18 października 1919 roku wziąć ślub z poznaną w wileńskim teatrze Janiną Kobylińską. Pytany potem przez żonę, czy nigdy nie bał się na polu walki, odpowiedział: „Nie – nie znam zupełnie uczucia lęku, nigdy go nie odczuwam".

Po tych zaciekłych bojach o ściany polskiego domu Fieldorf mógł wreszcie odetchnąć i zaznać szczęścia rodzinnego, gdy 5. Pułk Piechoty Legionowej, w którym dotąd służył, został skierowany do Wilna. Osiadłszy w prastarym grodzie Giedymina, małżonkowie odnaleźli upragniony spokój. Tu na świat przyszły ich córki – Krystyna i Maria. W domu Emil urządził sobie prawdziwy warsztat ślusarski, bo uwielbiał majsterkować. Z kolei swoje muzyczne talenty objawiał jako opiekun orkiestry pułkowej i wespół z jej kapelmistrzem obmyślał repertuar złożony z utworów Liszta, Schuberta i Mozarta. W wolnych chwilach oddawał się wędkarstwu, do czego zachęcała wileńska kraina rzek i jezior.

eprasa.pl eda53d7007

W 1926 roku Fieldorf objął dowództwo prestiżowego I batalionu 1. Pułku Piechoty Legionów. Był wcieleniem żołnierza doskonałego, o czym najlepiej świadczy opinia pułkownika Wacława Stachiewicza: „Bardzo ideowy, do służby wojskowej odnosi się z dużym zapałem i zamiłowaniem. Bardzo inteligentny, fachowo i taktycznie dobrze wyszkolony". W listopadzie 1935 roku został dowódcą elitarnego batalionu „Troki", a w styczniu 1938 roku – 51. Pułku Strzelców Kresowych stacjonującego w Brzeżanach. W obliczu agresji Niemiec na Polskę jego pułk wszedł w skład Grupy Operacyjnej gen. Stanisława Skwarczyńskiego. Osłaniał jej tyły, dając odpór atakom niemieckiej broni pancernej i piechoty zmotoryzowanej. Podczas ciężkich walk zdziesiątkowany oddział Fieldorfa zdołał przeniknąć niepostrzeżenie przez linie nieprzyjacielskie. On sam natomiast przedarł się do Paryża, gdzie przydzielony został do sztabu operacyjnego komendanta głównego ZWZ gen. Kazimierza Sosnkowskiego. Wkrótce potem został pierwszym emisariuszem naczelnego wodza i rządu RP wysłanym z Londynu do Warszawy. Zaopatrzony w nielegalne papiery zyskał nową tożsamość – odtąd mienił się kolejarzem Walentym Gdanickim.

Dowódca Kedywu

Jesienią 1942 roku Komendant Główny AK Stefan Rowecki „Grot" wtajemniczył generała w plan powołania do istnienia nowej organizacji bojowej – Kierownictwa Dywersji Komendy Głównej AK, która do historii przeszła pod kryptonimem Kedyw. Okazało się, że to Fieldorf ma zostać jej szefem. Wtedy też przyjął nowy pseudonim – „Nil". Podporządkowany mu został szereg konspiracyjnych organizacji: Związek Odwetu, „Wachlarz", „Osa", oddziały utworzone z Grup Szturmowych Szarych Szeregów, a potem jeszcze Komenda Główna Tajnej Armii Polskiej. Kedyw zajmował się planowaniem i przeprowadzaniem akcji sabotażowo-dywersyjnych, partyzanckich i wywiadowczo-odwetowych. „Nil" czynił wszystko, by osłabić siły hitlerowskiego okupanta. Pod jego kierownictwem oddziały Kedywu dokonały, jak wylicza Wiesław Jan Wysocki, 1175 akcji i wykolejeń pociągów, wysadziły 38 mostów, uszkodziły przeszło 19 tys. wagonów, zniszczyły 1167 cystern z benzyną, spaliły ponad 270 magazynów wojskowych i zniszczyły 4300 samochodów nieprzyjaciela. Gdy polskim podziemiem wstrząsnęła wieść o niespodziewanym aresztowaniu gen. Stefana Roweckiego „Grota" – komendanta głównego AK – i gdy jego miejsce zajął Tadeusz Komorowski „Bór", Kierownictwo Walki Podziemnej, do którego włączony został „Nil", wydało rozkaz o zintensyfikowaniu działań wymierzonych w okupanta. W wyniku podjętych wysiłków, jak podkreśla biograf „Nila", „wielu prominentnych funkcjonariuszy gestapo i SS oraz administracji okupacyjnej odczuło siłę i brawurową wręcz sprawność armii podziemnej". Co więcej, śmierć ponieśli najwięksi oprawcy i prześladowcy Polaków, m.in.: szef SS, policji i gestapo Franz Kutschera, komendant Pawiaka Franz-Bürckl, funkcjonariusze SS – Ewald Lange z alei Szucha i August Kretschmann z obozu przy ul. Gęsiej...

W połowie 1943 roku na pułkownika „Nila" czekało nowe zadanie. Miał powołać do istnienia tajną organizację „Niepodległość" (kryptonim „Nie"), której celem byłaby walka o wolną Polskę na wypadek okupacji sowieckiej, by nie przeobraziła się ona w 17. republikę ZSRS. Fieldorf, mianowany we wrześniu 1944 roku generałem brygady, w październiku został zastępcą dowódcy Armii Krajowej gen. Leopolda Okulickiego „Niedźwiadka". Dalszą działalność konspiracyjną przerwało niespodziewane aresztowanie „Nila" przez NKWD i zesłanie do uralskich obozów pracy.

Po powrocie

Teraz oto, gdy powracał do ojczyzny i gdy 26 października 1947 roku jego pociąg dojechał szczęśliwie do Białej Podlaskiej, został zakwaterowany wraz z innymi w drewnianym baraku, gdzie dostali kocioł gęstej zupy z makaronem, a nawet konserwy ze znakami USA. W Punkcie Przyjęcia Państwowego Urzędu Repatrianckiego, w obawie przed ponownym zesłaniem do ZSRS, Fieldorf nie ujawnił swej prawdziwej tożsamości i podał konspiracyjne nazwisko Walenty Gdanicki. Wycieńczony i ciężko chory na zapalenie płuc dojechał do Warszawy, gdzie na gruzach stolicy szukał wieści o swojej rodzinie i współtowarzyszach broni. Spotkany niespodziewanie dawny podkomendny Stanisław Jasiński rozpoznał w nim swego dowódcę, zabrał do siebie i otoczył troskliwą opieką. Gdy stan zdrowia generała nieco się poprawił, udał się on do Krakowa na spotkanie z ojcem i bratem, a potem do Łodzi, gdzie mieszkała żona Janina z córkami. W sytuacji, gdy puszczona w ruch przez NKWD machina terroru pochłaniała kolejne ofiary z akowskiego podziemia, Fieldorf miał przed sobą trzy możliwości – powrotu do konspiracji, ucieczki na Zachód bądź ujawnienia się władzy. Przekonany o tym, że „po pobycie w Rosji każde polskie więzienie będzie dla niego sanatorium", ostatecznie, za radą gen. Gustawa Paszkiewicza (nie wiedział, że ten wysługiwał się komunistom) i gen. Stanisława Tatara, postanowił ujawnić swą prawdziwą tożsamość. W lutym 1948 roku w łódzkiej Rejonowej Komendzie Uzupełnień podał swoje prawdziwe personalia i stopień wojskowy,

eprasa.pl eda53d7007

a w czerwcu wysłał pismo do MON z prośbą o przeniesienie go w stan spoczynku.

Obława

Od tego momentu władze Polski Ludowej w głębokiej tajemnicy śledziły każdy krok generała „Nila". Rozpracowywano jego otoczenie i kontakty – w Łodzi czynił to agent „Arnold", a w warszawie „Żukowski" – zaufany przyjaciel Fieldorfa, który teraz oddawał swe usługi komunistom. W końcu 7 lutego 1948 roku Informacja Wojskowa wydała nakaz aresztowania „Nila" jako „przestępcy politycznego". Gdy 10 listopada 1950 roku opuszczał budynek Wojskowej Komendy Rejonowej, gdzie został wezwany, by przedłożyć stosowne dokumenty, zorientował się, że jest śledzony przez cywilnych funkcjonariuszy UB. To była pułapka! Wciągnięty siłą do samochodu, stawiał opór, wyrywał się, krzyczał, wołał na przechodniów, by powiadomić jego rodzinę, wyrzucił nawet ukradkiem kartkę z adresem. Przewieziono go do aresztu śledczego MBP przy Koszykowej w Warszawie. Jego sprawą zajął się cały sztab komunistycznych funkcjonariuszy MBP – dyrektor Departamentu Śledczego płk Józef Różański – „krwawy Jacek", kpt. Lutosław Stypczyński, por. Zygmunt Krasiński i ppor. Kazimierz Górski. Szczególnie haniebną rolę w sprawie „Nila" odegrała prokurator Helena Wolińska, która wydała nakaz tymczasowego aresztowania Fieldorfa za działalność antypaństwową i sformułowała zarzut „usiłowania zmiany przemocą ustroju państwa", który pociągał za sobą karę śmierci.

W tym czasie Fieldorf przetrzymywany był w więzieniu mokotowskim przy ulicy Rakowieckiej, w celi nr 11 – przerażająco ciemnej, bez stołu i stołka, tak że zmuszony był siedzieć na podłodze. Głodzono go i dręczono przesłuchaniami, lecz on konsekwentnie zaprzeczał stawianym mu zarzutom, jakoby wydawał rozkazy likwidowania działaczy lewicowych i partyzantów radzieckich. W związku z brakiem materiałów dowodowych funkcjonariusze MBP wymusili torturami obciążające generała zeznania na dwóch więzionych działaczach AK – Tadeuszu Grzmielewskim „Igorze" – członku sztabu Kedywu KG AK oraz na Władysławie Liniarskim „Mścisławie" – dowódcy Okręgu Białystok, którzy dopiero w okresie postalinowskiej odwilży zeznali, że przemocą zostali zmuszeni do zaświadczania nieprawdy.

W czasie gdy generał „Nil" został aresztowany, funkcjonariusze UB snuli perfidny plan prowokacji (operacja „Cezary"), której celem miało być ostateczne rozbicie niepodległościowego podziemia dzięki stworzeniu fikcyjnego i kontrolowanego przez służby MBP ośrodka, który podszywać się miał pod V Komendę podziemnej organizacji Wolność i Niezawisłość podległej polskiemu rządowi na uchodźstwie. I w tej to właśnie grze zamierzano wykorzystać komendanta Kedywu – generała „Nila". Według planu komunistów w styczniu 1951 roku do rozproszonych żołnierzy podziemia, jak całą rzecz odtwarza Michał Chlawicz, miała trafić odezwa podpisana przez Fieldorfa, a informująca o powstaniu tejże Komendy WiN. Wówczas, jak zakładano, żołnierze AK, dla których był on największym autorytetem, wyszliby z ukrycia i przystąpili do nowej organizacji, przekonani o jej wiarygodności i pewni, że walczyć będą o wyzwolenie ojczyzny spod sowieckiej dominacji. Kilka miesięcy później nastąpiłyby masowe aresztowania akowców, a do zachodnich mediów wpłynęłaby informacja, że Fieldorf to tajny współpracownik bezpieki i główny prowokator akcji. W ten sposób doszłoby do całkowitej kompromitacji rządu w Londynie i jego sojuszników.

Ten szatański plan nigdy jednak nie został wykonany, bo w jego realizacji przeszkodził właśnie generał „Nil", odmawiając podjęcia jakiejkolwiek współpracy. W swym postanowieniu był niezłomny. Za niegodne uznał też podpisanie swoim nazwiskiem apelu wzywającego żołnierzy AK do ujawnienia się i zaufania „władzy ludowej". Gdy powiedziano mu, że odezwa sygnowana jego nazwiskiem tak czy inaczej się ukaże, Fieldorf odparł, że przewidując tego rodzaju mistyfikację, uprzedził swoich współpracowników, by pod żadnym pozorem nie reagowali na podobne komunikaty, gdy on znajdzie się za kratami. W swych wspomnieniach więziennych Walter Zabczyk pisze, że „takiej stanowczej riposty [...] panowie z MBP się nie spodziewali. Byli zaskoczeni i zakłopotani. Krótkie milczenie. Potem porozumiewawcze spojrzenia. Następnie najwyższy stopniem przerwał ciszę i odezwał się szyderczo do więźnia: »Jeśli tak, to między nami wszystko skończone. Nie skorzystaliście z niesamowitej okazji. Za prawie że nic mogliście uratować życie. Teraz już nam nie jesteście potrzebni. Pożałujecie. Będziecie wisieć«". Decyzja generała „Nila" była równoznaczna z wyrokiem śmierci.

Akt oskarżenia przeciwko Fieldorfowi, sformułowany przez Kazimierza Górskiego, brzmiał: „W okresie od 1943 r. do 1945 r. na terenie Rzeczypospolitej Polskiej, idąc na rękę władzy hitlerowskiej państwa niemieckiego, brał udział w dokonywaniu zabójstw osób spośród ludności cywilnej, osób wojskowych oraz jeńców wojennych przez to, że jako szef »Kedywu« KG AK wydawał rozkazy, instrukcje oraz wytyczne podległym sobie oddziałom »Kedywu« rozpracowania oraz likwidowania oddziałów partyzantki radzieckiej i lewicowych podziemnych ugrupowań niepodległościowych oraz poszczególnych ich działaczy [...]". Generał „Nil" od początku zaprzeczał stawianym mu zarzutom, oświadczając, że zajęty był „wyłącznie walką z Niemcami i ludźmi współpracującymi z okupantem".

eprasa.pl eda53d7007

Mord sądowy

Rozprawę sądową przeciwko Fieldorfowi wyznaczono na 16 kwietnia 1952 roku. Przewodniczącą składu sędziowskiego została Maria Gurowska, a do zespołu orzekającego weszli ławnicy – Michał Szymański i Bolesław Malinowski. Oskarżycielem był Benjamin Wajsblech, a obrońcą – mec. Jerzy Mering, człowiek podstawiony przez MBP, który zwrócił się do Janiny Fieldorfowej ze słowami: „Pani mąż to człowiek ze stali, nie okazuje ani skruchy, ani żalu. Szkoda, że nie jest po naszej stronie, my potrzebujemy takich ludzi". Kolejnym obrońcą Fieldorfa był później mec. Mieczysław Maślanko – były więzień KL Auschwitz, który nie miał praktycznie żadnych możliwości działania.

Augusta Emila Fieldorfa „Nila" uznano za winnego zarzucanych mu czynów i skazano na karę śmierci na podstawie art. 1 pkt 1 dekretu z 31 sierpnia 1944 roku dotyczący wymiaru kary dla faszystowsko-hitlerowskich zbrodniarzy. Ponadto orzeczono utratę praw publicznych i obywatelskich praw honorowych oraz przepadek całego mienia. Sąd Najwyższy w składzie: Emil Merz, Gustaw Auscaler i Igor Andrejew zatwierdził wyrok 20 października 1952 roku podczas posiedzenia odbywającego się w trybie tajnym.

Fieldorf nie poddał się jednak stalinowskiemu aparatowi terroru. Wniósł rewizję o uchylenie wyroku, twierdząc, że zarzucanego mu przestępstwa nie popełnił, w związku z czym wnosi o uniewinnienie. Po zapadnięciu wyroku umieszczony został w celi nr 24 przeznaczonej dla skazanych na karę śmierci. Przebywało w niej około trzydziestu więźniów – obok oficerów II Rzeczypospolitej znaleźli się tam oskarżeni o ludobójstwo zbrodniarze nazistowscy, m.in. gen. SS Jakub Sporenberg i pułkownik Wehrmachtu Wenzel. W otoczeniu hitlerowców, przeciwko którym walczył w czasie okupacji, przyszło generałowi Fieldorfowi spędzić ostatnie dziesięć miesięcy życia.

Rewizja wyroku nie odniosła spodziewanego skutku. Nie pomógł nawet skierowany do prezydenta Bolesława Bieruta list zrozpaczonego ojca błagającego o łaskę dla syna. Andrzej Fieldorf pisał: „Jestem starcem, liczącym 87 lat życia, emerytowanym maszynistą kolejowym, pochodzenia czysto robotniczego. W okresie okupacji straciłem syna Jana, lotnika, który został zamordowany w obozie koncentracyjnym w Gross-Rosen. Żona moja Agnieszka zmarła w roku 1941, do czego przyczyniła się sytuacja i losy aresztowanego przez hitlerowców syna. Obecna wiadomość o grozie śmierci, która zawisła nad głową drugiego z mych dzieci, jest z kolei dla mnie ciosem już nie do zniesienia. Zwracam się tedy, ja, zgrzybiały starzec, do Dostojnego Obywatela Prezydenta z najgorętszą prośbą ojcowskiego serca, o skorzystanie z konstytucyjnego prawa łaski w stosunku do mego syna Augusta Emila (2-ga imion) Fieldorfa".

Sąd Wojewódzki dla m.st. Warszawy (w składzie: Gurowska, Szymański, Malinowski) odrzucił wniosek o ułaskawienie generała. Jego obrońca mec. Mieczysław Maślanko, 10 stycznia 1953 roku, próbując ratować szefa Kedywu przed śmiercią, wystąpił jeszcze do Rady Państwa o jego ułaskawienie. Rada nie skorzystała jednak z prawa łaski.

24 lutego 1953 roku, w więzieniu mokotowskim, o godzinie 15.00 doprowadzono Augusta Emila Fieldorfa „Nila" na miejsce kaźni, gdzie po odczytaniu wyroku został powieszony. Świadek egzekucji, prokurator Witold Gatner, tak opisał ostatnie chwile generała: „Byłem zdenerwowany, napięty. Czułem, że trzęsą mi się nogi. Skazany patrzył mi cały czas w oczy. Stał wyprostowany. Nikt go nie podtrzymywał. Po odczytaniu dokumentów zapytałem skazanego, czy ma jakieś życzenie. Na to odpowiedział: »Proszę powiadomić rodzinę«. Oświadczyłem, że rodzina będzie powiadomiona. Zapytałem ponownie, czy jeszcze ma jakieś życzenia. Odpowiedział, że nie. Wówczas powiedziałem: »Zarządzam wykonanie wyroku«. Kat i jeden ze strażników zbliżyli się [...]. Postawę skazanego określiłbym jako godną. Sprawiał wrażenie bardzo twardego człowieka. Można było wprost podziwiać opanowanie w obliczu tak dramatycznego wydarzenia". Inna zgoła relacja o śmierci Fieldorfa mówiła, że „został zmuszony do wysłuchania wyroku klęcząc, a że się opierał, to został zakatowany, połamano mu kości i powieszono już zwłoki". Prawdy nigdy nie udało się dociec. Generał Fieldorf „Nil" zabrał ją z sobą do grobu.

Jego rodzina przez długie lata walczyła o przywrócenie mu dobrego imienia, o ocalenie pamięci o nim i jego zasługach dla Polski. W lipcu 1958 roku Prokuratura Generalna umorzyła śledztwo w sprawie komendanta Kedywu z powodu braku dowodów winy, natomiast 7 marca 1989 roku został on zrehabilitowany w myśl postanowienia, że „zarzuconej mu zbrodni nie popełnił". Winnych mordu sądowego na generale nigdy nie ukarano. Dziś wiemy, że pochowany został w jednej ze zbiorowych mogił na obrzeżach cmentarza powązkowskiego (obecnie kwatera Ł Cmentarza Wojskowego – tzw. Łączka), gdzie potajemnie złożono ciała ponad 250 działaczy polskiego podziemia, zamordowanych w mokotowskim więzieniu na ulicy Rakowieckiej. ■

_____

Maria Fieldorf, Leszek Zachuta, „Generał »Nil«. August Emil Fieldorf. Fakty, dokumenty, relacje", Warszawa 2010; Wiesław Jan Wysocki, „»Nil« generał August Emil Fieldorf 1895–1953", Warszawa 2010.

eprasa.pl eda53d7007



Dariusz Jarosiński

„Tygodnik Warszawski”

Ideowa ofensywa na duszę Polaka

„Tygodnik Warszawski" był najbardziej bezkompromisowym pismem wobec komunistów, ukazującym się legalnie w Europie Środkowej i Wschodniej w okresie pojałtańskim. Jego publicyści pod wodzą ks. Zygmunta Kaczyńskiego nie nawoływali do walki zbrojnej z bolszewią, lecz polemizowali z narzucaną ideologią komunistyczną, byli wierni nauce społecznej Kościoła, bronili prawa katolików do uczestniczenia w życiu religijnym, publicznym, politycznym. Pisano wprost, że „marksizm jako amoralny i antyhumanistyczny nie nadaje się do tworzenia nowego społeczeństwa humanistycznego i nie potrafi wyobrazić sobie jego struktury".

fot. Arch.

Tygodnik Warszawski", „Tygodnik Powszechny" i tygodnik „Dziś i Jutro" – te trzy pisma kształtowały po 1945 roku różne oblicza polskiego katolicyzmu w pierwszych latach sowieckiej okupacji, formowały nastroje i poglądy polskiej inteligencji.

Rewizje, aresztowania, wyroki

Żywot „Tygodnika Warszawskiego" był krótki, bo trwał niespełna trzy lata – pierwszy numer ukazał się 11 listopada 1945 roku, a ostatni 5 września 1948 roku. Smutne jest to, że nie zakorzenił się w naszej świadomości historycznej, choć jego twórcom, współpracownikom, a w szczególności redaktorowi naczelnemu, ks. Zygmuntowi Kaczyńskiemu, należy się cześć i chwała podobnie jak Żołnierzom Wyklętym, tym, którzy uczestniczyli w polskim powstaniu antykomunistycznym.

Z pismem współpracowała nasza ówczesna katolicka elita intelektualna ocalała z wojennej pożogi, ludzie wywodzący się z obozu narodowego, Stronnictwa Pracy i konspiracyjnej organizacji Unia. Jego redaktorzy i publicyści zapłacili wysoką cenę za wierność wyznawanym zasadom, za obronę wiary katolickiej. Redakcja „Tygodnika Warszawskiego" była rozpracowywana przez Urząd Bezpieczeństwa na zlecenie płk Julii Brystygier w ramach operacji o kryptonimie „Haga", współpracownicy – w ramach operacji „Miecz", a ks. Zygmunt Kaczyński, redaktor naczelny „TW", był również figurantem w rozpracowaniu o kryptonimie „Kapitol".

31 sierpnia 1948 roku przeprowadzone zostały rewizje w lokalu redakcji w gmachu „Romy" przy ulicy Nowogrodzkiej 49 i w mieszkaniach redaktorów, nastąpiła też fala aresztowań. Szesnaście osób Wojskowy Sąd Rejonowy skazał na kary wieloletniego więzienia – od 6 do 15 lat, a trzy osoby otrzymały dożywocie. Redaktor naczelny „Tygodnika Warszawskiego", ks. Zygmunt Kaczyński, po wielu miesiącach brutalnego śledztwa, 28 sierpnia 1951 roku, w tzw. procesie kiblowym, został skazany wyrokiem Wojskowego Sądu Rejonowego na 10 lat pozbawienia wolności i utratę praw publicznych na 5 lat za działalność na szkodę państwa polskiego, dokonywaną przez usiłowanie zmiany przemocą jego demokratycznego ludowego ustroju. Ksiądz Kaczyński przebywał w więzieniu MBP przy ulicy Koszykowej i w więzieniu przy ulicy Rakowieckiej. 13 maja 1953 roku zmarł w więzieniu w niewyjaśnionych okolicznościach. Zdaniem współwięźniów został zamordowany.

W założeniu – pismo apolityczne

Do dzisiaj przetrwał jedynie „Tygodnik Powszechny", choć poza tytułem nie ma nic wspólnego z pismem sprzed kilkudziesięciu lat, na łamach którego toczone by-

eprasa.pl ec5a53d7007

ły ważkie dyskusje o kulturze, religii. W latach Peerelu była to jedna z niewielu gazet nadających się do czytania. W 1990 roku Stefan Kisielewski zerwał współpracę z „Tygodnikiem Powszechnym" trwającą od 1945 roku, bo jego felietony były skracane i cenzurowane. To był rzeczywisty koniec tego pisma w dotychczasowej formule, bowiem zaangażowało się ono po stronie jednej opcji politycznej – Unii Demokratycznej i jej politycznych klonów.

Pierwszy numer „Tygodnika Powszechnego" ukazał się 24 marca 1945 roku, kiedy jeszcze Kraków był okupowany przez Armię Czerwoną. Historia może wydać się dziwna, ale ojcem założycielem „TP" był płk Jerzy Borejsza (właściwie Beniamin Goldberg), działacz komunistyczny, który w latach 1944–1948 miał decydujący wpływ na polskie życie kulturalne. To on namówił do założenia tygodnika katolickiego m.in. Stanisława Kostkę Rostworowskiego, Aleksandra Bocheńskiego, Kazimierza Studentowicza i Stanisława Stommę. Borejsza miał przekonywać ich, że los Europy Środkowej, jak również Polski, jest przesądzony, nie da się jednak rządzić Polską jak Sowietami, że potrzebne jest pismo katolickie rozumiejące proces dziejowy. Oczywiście akceptację na wydawanie tygodnika musiał wyrazić krakowski metropolita, książę Adam kardynał Sapieha, duchowny cieszący się w Polsce wielkim autorytetem, zresztą wydawcą „TP" była Kuria Książęco-Metropolitalna Krakowska. Redakcję, której lokal mieścił się przy ulicy Franciszkańskiej 3, tworzyli na początku Konstanty Turowski, Maria Czapska, Zofia Starowieyska Morstinowa, Stefan Kisielewski (współpracujący też z „Tygodnikiem Warszawskim"), Paweł Jasienica (do aresztowania w 1948 roku), Stanisław Stomma. Później grono to się powiększyło. W pierwszym numerze „Tygodnika Powszechnego" pojawiła się informacja, że pismo będzie apolityczne.

Pierwszym redaktorem naczelnym „Tygodnika Powszechnego" został ks. Jan Piwowarczyk, przedwojenny redaktor krakowskiego „Głosu Narodu", który po kilku miesiącach, od 30. numeru, przekazał tę funkcję Jerzemu Turowiczowi, choć nadal jako zaufany kapłan księcia Adama kardynała Sapiehy odgrywał ważną rolę w redakcji. Redaktor Turowicz kierował pismem do swojej śmierci w styczniu 1999 roku. Jego następcą został ks. Adam Boniecki, a od 2011 roku – Piotr Mucharski. Twarzą „Tygodnika Powszechnego" pozostaje ks. Boniecki, redaktor senior, wspierający środowisko LGBT, któremu bliższy jest satanista depczący obraz Matki Boskiej, rwący kartki Pisma Świętego, niż św. Jan Paweł II. Od 2007 do 2012 roku głównym udziałowcem w spółce wydającej „TP" był holding ITI Mariusza Waltera i Jana Wejcherta, założycieli stacji telewizyjnej TVN.

Komunistyczne „Dziś i Jutro"

W pierwszych latach istnienia „Tygodnik Powszechny", choć lawirował, by nie wejść w zwarcie z komunistami, był niezwykle ostrożny i pokorny. Zderzył się z bolszewicką rzeczywistością w 1953 roku, kiedy odmówił zamieszczenia nekrologu po śmierci Józefa Stalina, w związku z czym pismo zostało zamknięte. W latach 1953–1956 krakowski tygodnik został przejęty przez Stowarzyszenie PAX, powstałe w 1947 roku, któremu przewodniczył Bolesław Piasecki, przedwojenny lider Ruchu Narodowo-Radykalnego „Falanga", zwerbowany w grudniu 1944 roku do współpracy z NKWD. Piasecki zobowiązał się Sowietom, za cenę uratowania życia, do rozbicia w Polsce Kościoła katolickiego, który stanowił największą przeszkodę, oprócz wówczas silnego podziemia antykomunistycznego, w zaprowadzeniu nowego, bolszewickiego systemu. Po wyjściu z więzienia, w sierpniu 1945 roku, Piasecki założył tygodnik „katolicki" „Dziś i Jutro", na łamach którego „poszukiwano wspólnych treści w socjalizmie i katolicyzmie", a po roku 1948 już niemal otwarcie, bez ogródek, głoszone były poglądy bliskie komunistom, atakowano bezpardonowo niepokornych, niezłomnych kapłanów, promowani zaś byli tzw. księża patrioci, jawnie wspierający komunistyczną władzę.

Bolesław Piasecki, dzięki wsparciu komunistycznej władzy, zbudował spore imperium – posiadał Instytut Wydawniczy PAX, kilka tytułów prasowych, oprócz tygodnika „Dziś i Jutro" m.in. „Słowo Powszechne", „Życie i Myśl", „Wrocławski Tygodnik Katolików" (pod redakcją Tadeusza Mazowieckiego), Liceum Ogólnokształcące im. św. Augustyna w Warszawie, przedsiębiorstwa gospodarcze „Inco" i „Veritas". Stowarzyszenie PAX było najsilniejszą organizacją postępowych katolików w Polsce, monopolistą w głoszeniu poglądów „katolickich".

Należy też odnotować zasługi PAX-u. Na przykład otoczył opieką wielu ludzi związanych z podziemiem niepodległościowym, m.in. dzięki interwencji Bolesława Piaseckiego odzyskał wolność, a być może i życie, Paweł Jasienica, oficer Armii Krajowej, adiutant mjr. Zygmunta Szendzielarza „Łupaszki", dowódcy 5. Brygady Wileńskiej AK. Byli żołnierze podziemia niepodległościowego otrzymywali zatrudnienie w oddziałach terenowych PAX, Instytucie Wydawniczym czy firmach „Inco" i „Veritas". W Wydawnictwie PAX mogły ukazywać się książki polskich i zagranicznych pisarzy katolickich, a także modlitewniki, brewiarze, Pismo Święte, różne publikacje poświęcone religii katolickiej.

13 maja 1956 roku ukazał się ostatni numer tygodnika „Dziś i Jutro". Stowarzyszenie PAX musiało też zwrócić przejęty w 1953 roku „Tygodnik Powszechny". 20 maja 1956 roku wyszedł pierwszy numer nowego PAX-owskiego tygodnika „Kierunki". Jego redaktorem naczelnym został Mieczysław Kurzyna, wcześniej redagujący wraz z Janem Dobraczyńskim, Włodzimierzem Wnukiem i Tadeuszem Lehr-Spławińskim zawłaszczony „Tygodnik Powszechny". PAX przechodził różne metamorfozy polityczne po 1956 roku, ale to już osobny temat.

eprasa.pl eda53d7007

Urodzony w XIX wieku

Wspomniany już ksiądz prałat Zygmunt Kaczyński powrócił do Polski z Londynu z wojennej emigracji jesienią 1945 roku. Do kraju przyjechał wraz z grupą działaczy Stronnictwa Pracy, m.in. z Karolem Popielem, gen. Izydorem Modelskim, Elżbietą Korfantową. Decyzja o powrocie do kraju nie była łatwa. Warto wspomnieć, że w 1947 roku ks. Zygmunt wyjechał do Anglii, aby pozałatwiać jakieś zaległe sprawy, ale bez wahania wrócił do kraju. Uważał, że właśnie w trudnej sytuacji, okupacji sowieckiej, jego miejsce jest w Polsce.

Ksiądz Kaczyński był nie tylko doświadczonym kapłanem, lecz także wytrawnym politykiem, człowiekiem bardzo zaangażowanym w sprawy społeczne, przez wiele lat znajdował się w centrum ważnych wydarzeń. Współpracował z wieloma znanymi politykami oraz duchownymi, m.in. z kardynałem Aleksandrem Kakowskim, prymasem Augustem Hlondem, prymasem Stefanem Wyszyńskim, biskupem Zygmuntem Choromańskim, biskupem Michałem Klepaczem. Był kapelanem Władysława Raczkiewicza, prezydenta RP na uchodźstwie.

Pochodził z drobnej szlachty ziemi łomżyńskiej, urodził się jeszcze w XIX wieku, w 1894 roku. Po ukończeniu Gimnazjum i Seminarium Duchownego w Warszawie, rozpoczął w 1914 roku za zgodą kardynała Aleksandra Kakowskiego studia z prawa kanonicznego w Akademii Duchownej w Sankt Petersburgu. W niepodległej Polsce zaangażował się w działalność społeczną, polityczną – dwukrotnie zdobywał mandat poselski, był najmłodszym posłem Sejmu Ustawodawczego. W okresie międzywojennym należał do twórców i przywódców Chrześcijańskiej Demokracji. W 1936 roku wziął udział w pracach antysanacyjnego porozumienia politycznego Front Morges, którego sygnatariuszami byli: Władysław Sikorski, Ignacy Jan Paderewski, Józef Haller, Wojciech Korfanty, Wincenty Witos. W 1937 roku współuczestniczył w zjednoczeniu ugrupowań chadeckich w Stronnictwie Pracy, na czele którego stanął Karol Popiel. W latach 1930–1939 pełnił funkcję dyrektora Katolickiej Agencji Prasowej. We wrześniu 1939 roku uczestniczył w cywilnej obronie Warszawy, w marcu 1940 roku wyjechał do Włoch, w Watykanie przekazał papieżowi Piusowi XII memoriał opisujący sytuację w Polsce. Był jedynym duchownym pełniącym funkcje ministerialne w rządzie RP na uchodźstwie. W rządzie premiera gen. Władysława Sikorskiego sprawował funkcję wiceministra informacji i dokumentacji, a w rządzie premiera Stanisława Mikołajczyka – ministra wyznań religijnych i oświecenia publicznego.

„Nie" dla kompromisów z marksistami

Jesienią 1945 roku z inicjatywy ks. prałata Zygmunta Choromańskiego, ówczesnego kanclerza Kurii Metropolitalnej w Warszawie, późniejszego biskupa, powołane zostało do życia Katolickie Towarzystwo Wydawnicze „Rodzina Polska". Najważniejszym projektem Towarzystwa był „Tygodnik Warszawski", organ Warszawskiej Kurii Metropolitalnej. Jego pierwszy numer ukazał się nie bez powodu 11 listopada 1945 roku, w Święto Niepodległości, które komuniści wymazali z kalendarza świąt państwowych. Było to symboliczne odwołanie się do tradycji II Rzeczypospolitej. Tygodnik zawierał podtytuł „Pismo katolickie poświęcone zagadnieniom życia narodowego". Pierwszym redaktorem naczelnym został ks. Zygmunt Wądołowski, a po kilku tygodniach zastąpił go ks. Zygmunt Kaczyński.

Lista autorów „Tygodnika Warszawskiego" jest imponująca i długa. Dominujący wpływ na profil ideowy pisma mieli chadecy, unioniści, działacze przedwojennych stronnictw chrześcijańsko-demokratycznych, publicyści katoliccy, uczeni i intelektualiści, po wojnie współpracujący bądź sympatyzujący ze Stronnictwem Pracy: Stanisław Bukowski, Adam Grabowski, ks. Edward Grzechnik, Artur Górski, Konrad Górski, Stefan Kisielewski, ks. Zygmunt Kozubski, Tadeusz Kudliński, Kazimierz Kumaniecki, Zofia Starowieyska-Morstinowa, Irena Pannekowa, Kazimierz Studentowicz, Czesław Strzeszewski, Konstanty Turowski, ks. Stefan Wyszyński. Drugą grupę autorów stanowili działacze i sympatycy obozu narodowego: Olgierd Budrewicz, Wiesław Chrzanowski, Marian Grzegorczyk, Feliks Koneczny, Stanisław Kozicki, Andrzej Kozanecki, Jan Władysław Grabski, Stanisław Grabski, Stanisław Kasznica, Władysław Konopczyński, Leszek Prorok, Tadeusz Przeciszewski. Z „Tygodnikiem Warszawskim" współpracowali też: Juliusz Kleiner, Hanna Malewska, Adam Vetulani, Władysław Tatarkiewicz, Paweł Jasienica, Wacław Borowy, Stanisław Pigoń, Antoni Gołubiew, Jan Parandowski, Karol Irzykowski.

Należy zwrócić uwagę, że w obliczu zagrożenia bolszewizmem, „bezbożnym komunizmem", istniała bardzo dobra współpraca chadeków i narodowców, którzy wcześniej, przed wojną, byli do siebie nastawieni wrogo. Niewątpliwie bliska obu środowiskom była katolicka nauka społeczna. Zarówno jedni, jak i drudzy uważali, że jednym z najbardziej istotnych elementów tworzących świadomość narodową Polaków była religia katolicka.

„Tygodnik Warszawski" od początku opowiadał się za koncepcją „maksymalistyczną", domagał się politycznej reprezentacji katolików, utworzenia partii chadeckiej, prowadził otwartą polemikę z władzą, był przeciwny poszukiwaniu kompromisów z marksistami. Pismo nie ograniczało się, tak jak „Tygodnik Powszechny", do spraw religii i kultury. Zajmowało się też sprawami politycznymi, a to było dla komunistów trudne do przyjęcia. W opinii „Tygodnika Warszawskiego" zaangażowanie katoli-

eprasa.pl eda53d7007

ków w nową rzeczywistość powinno być oparte na nauce społecznej Kościoła. Redakcja popularyzowała zasady życia społecznego sformułowane w papieskich encyklikach. Społeczną nauką Kościoła w sposób szczególny zajmowali się Jerzy Braun, harcerz, poeta, filozof, autor znanej pieśni „Płonie ognisko i szumią knieje", ostatni Delegat Rządu na Kraj, i ks. Stefan Wyszyński, późniejszy biskup lubelski i prymas Polski. Postawa „Tygodnika Warszawskiego" była zbieżna z polityką Episkopatu, czego dawał wielokrotnie wyraz prymas Polski August Hlond, również na łamach „TW".

1 stycznia 1946 roku ks. Kaczyński został proboszczem parafii Wszystkich Świętych przy pl. Grzybowskim w Warszawie.

Gromy i burze ulewne

Stosunek środowiska „Tygodnika Warszawskiego" do redakcji „Tygodnika Powszechnego" początkowo był pozytywny, choć pisma prezentowały zgoła odmienne nurty katolicyzmu. Tygodnik krakowski po objęciu redakcji przez Jerzego Turowicza optował za tzw. personalistycznym katolicyzmem, czerpiącym z dorobku francuskiej myśli katolickiej. Tygodnik warszawski odwoływał się do dominującego nurtu w okresie międzywojennym, prezentował katolicyzm społeczny, charakteryzujący się silnym związkiem z hierarchią kościelną, Maryjnością, dążeniem do oddziaływania na szerokie masy katolickie, ludowe, podkreślaniem związków Kościoła z narodem.

Relacje między obu środowiskami znacznie się pogorszyły po opublikowaniu przez Stanisława Stommę w „Znaku" artykułu pt. „Maksymalne i minimalne tendencje społeczne katolików w Polsce". Główne tezy artykułu Stommy były następujące: Kościół w obecnych czasach nie ma interesu posiadania własnego stronnictwa politycznego, bo nawet gdyby na całym świecie zwyciężył komunizm, to Kościół i tak ocaleje. Kościół nie powinien wiązać się z żadnym systemem społecznym, ponieważ w każdym ustroju musi prowadzić swoją misję duszpasterską. Publicyści „Tygodnika Warszawskiego" zarzucili Stommie, że nie potrafi rozróżnić roli instytucjonalnego Kościoła od zadań katolików świeckich. Argumentowali również, że niewłaściwe jest mówienie o partii Kościoła katolickiego, bo takie nakreślenie rzeczywistości prowadzi do prostego wniosku, do którego doszli również marksiści, że stronnictwo chrześcijańsko-demokratyczne jest faktycznie jedynie partią klerykalną, kierowaną przez duchownych, co jest oczywistą, niebezpieczną nieprawdą. („O katolikach głupich i katolikach mądrych", „Tygodnik Warszawski" 1947, nr 21).

Warto też przytoczyć fragment artykułu redakcyjnego „Tygodnika Warszawskiego" z 19 października 1947 roku pt. „Nasza generalna linia", pokazujący różnice dzielące oba tygodniki: „Utarł się nawet zwyczaj – na łamach niektórych pism – prawienia komplementów »Tygodnikowi Powszechnemu« za jego poziom, umiarkowanie i wykwint intelektualny, a ubolewanie nad »Tygodnikiem Warszawskim«, który się »stacza«, jest coraz bardziej »reakcyjny« etc. »Tygodnik Powszechny« odegrał w życiu katolickiej Polski powojennej rolę decydującą, pionierską, bo wywalczył zrozumienie dla niespożytych wartości katolicyzmu w kulturze duchowej ludzkości i szacunek dla jego zbroi intelektualnej. »Tygodnik Warszawski« zmierzał do zrealizowania innego typu pisma, wypełniającego dotkliwą lukę, organu o charakterze syntetycznym. Nie ograniczył się przeto do zagadnień typu społeczno-kulturalnego i literacko-krytycznego, poświęcając wiele uwagi chrześcijańskiej doktrynie społeczno-ekonomicznej i moralno-politycznej. Zajmując stanowisko wobec aktualnych problemów i konfliktów życia publicznego, był on – siłą rzeczy – bardziej »maksymalistyczny« i ściągał na siebie wiele gromów i burz ulewnych z tej czy innej strony. Gdy »Tygodnik Powszechny« wytyczył i obwarował pozycje katolicyzmu w powojennej świadomości kulturalnej, »Tygodnik Warszawski« mógł już zająć postawę bardziej zaczepną, przechodząc do ideowej ofensywy na duszę Polaka współczesnego. »Tygodnik Warszawski« pragnął uwydatnić polski, narodowy wkład do ogólnoludzkiej kultury chrześcijańskiej, która nie jest bynajmniej kosmopolityczna, lecz hołduje odwiecznej zasadzie jedności w wielości".

Ostateczna rozprawa

Los „Tygodnika Warszawskiego" i jego redaktorów niemal od początku był przesądzony. Ksiądz Zygmunt Kaczyński należał do najbardziej znienawidzonych przez bezpiekę kapłanów – nie dość, że prowadził „wywrotowe", „reakcyjne" pismo, skierowane przeciwko władzy „ludowej", to jeszcze dążył do założenia partii katolickiej. Postawa redaktorów „TW" była nie do przyjęcia przez bolszewię. Luna Brystygier, naczelnik Departamentu V Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, czekała tylko na odpowiedni moment do ataku i osaczała konsekwentnie środowisko ks. Kaczyńskiego. Po sfałszowanych wyborach w styczniu 1947 roku nasiliły się ingerencje cenzury, z niektórych artykułów pozostawały jedynie strzępy. Członków redakcji „Tygodnika Warszawskiego" objęto agenturalnym rozpracowaniem o kryptonimie „Haga", a osoby współpracujące z pismem rozpracowaniem o kryptonimie „Miecz".

Pierwszym aresztowanym członkiem zespołu „Tygodnika Warszawskiego" był ks. Edward Grzechnik, zatrzymany 30 maja 1947 roku w ramach sprawy dotyczącej środowiska Stronnictwa Narodowego. 15 marca 1948 roku została aresztowana Hanna Iłowiecka, re-

eprasa.pl eda53d7007

daktorka „Kolumny Młodych" w tygodniku, matka Marcina Przeciszewskiego, prezesa Katolickiej Agencji Informacyjnej. W latach 1948–1952 odbywała karę więzienia. W listopadzie 1948 roku Urząd Bezpieczeństwa aresztował Tadeusza Przeciszewskiego, redakcyjnego kolegę „Kolumny Młodych", przyszłego męża Iłowieckiej.

Bezpośrednim pretekstem do zlikwidowania „Tygodnika Warszawskiego" była nieudana próba ucieczki do Szwecji Kazimierza Studentowicza, członka Unii w czasie wojny, działacza Stronnictwa Pracy, publicysty tygodnika, który próbował zorganizować stały kanał przerzutowy z kraju. „Krwawa Luna" obawiała się, że członkowie redakcji i jej współpracownicy wymkną się z kraju, zdecydowała zatem o ich aresztowaniu. Kazimierz Studentowicz został zatrzymany w lipcu 1948 roku. 31 sierpnia 1948 roku przeprowadzono rewizję w lokalu redakcji „Tygodnika Warszawskiego" w gmachu „Romy" przy ul. Nowogrodzkiej 49. W tym samym dniu rewizje wykonano również w mieszkaniach redaktorów tygodnika – ks. Z. Kaczyńskiego, J. Kwasiborskiego, A. Madeja, A. Antczaka, A. Grabowskiego i J. Brauna. Brauna akurat nie było w domu, pozostałych aresztowano. Ksiądz Kaczyński został przewieziony do gmachu MBP przy ulicy Koszykowej. Po długotrwałych przesłuchaniach 7 września o godzinie drugiej w nocy wypuszczono go z aresztu, jednak musiał co dwa–trzy dni zgłaszać się na przesłuchania w budynku UB przy ulicy Cyryla i Metodego na Pradze. 5 września 1948 roku ukazał się ostatni numer „Tygodnika Warszawskiego". 26 kwietnia 1949 roku ponownie aresztowano ks. Kaczyńskiego.

Sądy wojskowe wydały następujące wyroki na osoby wówczas aresztowane: Józef Kwasiborski, Jerzy Braun, Jan Hoppe – dożywocie, Antoni Antczak, Stanisław Bukowski, Kazimierz Studentowicz, Konstanty Turowski, Anna Braun, Cecylia Becker – 15 lat więzienia, Adam Grabowski – 14 lat więzienia, ks. Kaczyński – 10 lat więzienia, Wiesław Chrzanowski – 8 lat więzienia, Tadeusz Kudliński, Antoni Madej – 7 lat więzienia, Andrzej Kozanecki i ks. Edward Grzechnik – 6 lat więzienia. Zmarli: Antoni Antczak (31 sierpnia 1952 roku we Wronkach) i ks. Zygmunt Kaczyński (13 maja 1953 roku na Rakowieckiej).

„Ja się nie dam złamać"

Spisanych zostało kilka wspomnień współwięźniów ks. Zygmunta Kaczyńskiego. Wszyscy mówią o nim jako o człowieku odważnym, pogodnym, zawsze gotowym służyć bliźnim. Ksiądz Józef Zator-Przytocki: „W więzieniu trzymał się wspaniale [...]. Władze śledcze zorientowały się, że ks. Kaczyński nie może zupełnie w nocy spać, gdy oddziałowy często zapala światło. I dlatego oddziałowi skrupulatnie, kilkadziesiąt razy w ciągu nocy, światło w jego celi zapalali, a gdy ks. Z. Kaczyński stawał z zażaleniem do władz wyższych, tamte z oburzeniem obiecywały zawsze napiętnować tych funkcjonariuszy. [...] Ks. Z. Kaczyński trzymał się psychicznie wspaniale. Nie żałował tego, że siedzi. Był przekonany, że w dzisiejszej sytuacji jego uwięzienie może tak sprawie Kościoła, jak i polskiej więcej się przysłużyć, aniżeli na wolności". Ojciec Tomasz Rostworowski: „Miał umysł dziennikarski, to znaczy encyklopedyczną wiedzę, wszechstronną osobowość, był wścibski, wszystko chciał wiedzieć, orientował się znakomicie w sytuacji politycznej i społecznej. [...] Był bardzo pogodny, kulturalny. Ułożył własną modlitwę więzienną, którą odmawialiśmy wspólnie co wieczór. [...] Ksiądz prałat chętnie rozmawiał z więźniami, podtrzymywał na duchu, pomagał im uczyć się angielskiego. Dzielił się chętnie tym, co miał: jedzeniem i papierosami".

W niepublikowanych zapiskach ks. Stefan Wyszyński pisał na temat ks. Zygmunta Kaczyńskiego: „(18 V 1953) [...] otrzymałem wiadomość o pogrzebie ks. kanonika Zygmunta Kaczyńskiego. Zmarł w więzieniu dnia 13 maja br. Siostra otrzymała powiadomienie od władz więziennych, że zwłoki będą dostarczone do kościoła na Powązkach, gdzie może być Msza święta w obecności 6 księży i rodziny. Zwłoki dostarczono dnia 18 maja o godzinie 9.40, w pace, bez ubrania, z głową osłoniętą papierem, po widocznych śladach sekcji zwłok. Ks. Kaczyński umarł rzekomo nagle, ku niespodziance władz więziennych. Ks. prałat de Ville odprawił Mszę świętą i sam odprowadził ciało do grobu rodzinnego. Umarł w więzieniu człowiek o głośnym w Polsce i za granicą nazwisku. Śmierć ta zawstydza naszych rządców i dlatego pogrzeb urządzono po cichu. (20 V 1953) O godzinie 7.30 odprawiłem Mszę świętą w kaplicy Pana Jezusa w Archikatedrze, za duszę śp. ks. prałata Kaczyńskiego. [...] Po powrocie przyjąłem siostrę ks. Kaczyńskiego, która dzielnie walczyła nie tylko o uwolnienie brata, ale o jego duchową postawę. Jeszcze 4 maja, w czasie widzenia się z bratem, odniosła wrażenie jego tężyzny duchowej. Nagła śmierć jest tajemnicą dla nas wszystkich. Ostatnie zapewnienie księdza prałata było: »Nie lękaj się, ja się nie dam złamać. Jestem tu potrzebny dla tych, co się załamują«".

Przez wiele lat podkreślano wyjątkowość „Tygodnika Powszechnego". Pisano, że było to w czasach PRL-u jedyne pismo opozycyjne wobec komunistów. Czas najwyższy odkłamać historię. ■

Bibliografia:
Tomasz Sikorski, Marcin Kulesza (red.), „Niezłomni w epoce fałszywych proroków. Środowisko »Tygodnika Warszawskiego« (1945–1948)", Warszawa 2013; Mirosław Biełaszko, „»Tygodnik Warszawski« i jego środowisko (1945–1948)", Biuletyn IPN nr 4/2007.

eprasa.pl eda53d7007



Ewa Polak-Pałkiewicz

Sztuka siadania do stołu

Pierwsza stała się jednoosobowym ośrodkiem opieki społecznej. Codziennie wspólnie ze swoimi podopiecznymi siadała do stołu nakrytego świeżym białym obrusem. Jako cel życia postawiła sobie opiekę nad samotnymi kobietami, bliższą i dalszą rodziną. Druga była uważana za ekscentryczkę oraz osobę egzaltowaną, ale nikt, kto nie poznał jej naprawdę, nie miał pojęcia, że biło z niej ogromne ciepło, że jej wielkim i ukrytym talentem była hojność i sztuka niesienia pomocy ludziom w potrzebie. Oto portrety dwóch niezwykłych kobiet – Elżbiety z Dyakowskich i Marii Rodziewiczówny.

eprasa.pl ed853d7007



Maria Rodziewiczówna (siedzi czwarta z prawej) przed swoim domem w Hruszowie w otoczeniu nauczycieli i młodzieży z gimnazjum kupieckiego w Brześciu nad Bugiem.

fot. NAC

W dzisiejszej mentalności zupełnie nie mieści się spokojne przyjmowanie zrządzeń losu podobnych do tych, które stały się udziałem tej kresowej damy. Słychać byłoby o rozpaczy, buncie, zdruzgotanym życiu, śmiertelnie poranionym sercu. O tym, że po czymś takim nie można się już podnieść... Mawiano o niej „Podolska Niobe"; Elżbieta z Dyakowskich primo voto Piasecka, secundo voto Drabowicz-Sławeńska niosła w swoich dziejach trudne do opisania tragedie.

Na „strasznej prowincji"

„W 1880 roku wygasło jej życie osobiste. Pochowała drugiego męża i ostatnie, dziewiąte ze swoich dzieci. Żadne z nich nie przeżyło okresu niemowlęctwa. [...] wielbiona przez obu kolejnych mężów, zanim ukończyła czterdzieści pięć lat, została zupełnie sama" – pisała we wspomnieniach o niej profesor socjologii, Anna Pawełczyńska (Elżbieta Drabowicz-Sławieńska była jej cioteczną prababką).

Przyjmowała to, jako osoba wierząca w Boga, nie jako kataklizmy rujnujące marzenia o rodzinnym szczęściu, odradzające się wraz z przyjściem na świat kolejnego dziecka, lecz z realizmem osoby świadomej, że życie nie kończy się na doczesnym epizodzie. „Wychowana starannie w rodzinnych Daszkowcach, nabyła w dzieciństwie wiedzę i umiejętności, które jej pozwoliły sprostać wszystkiemu, co życie przyniesie" – mówi Anna Pawełczyńska. „A przyniosło tyle obowiązków, ciosów, że trzeba było siły dębu, aby się pod nimi nie ugiąć. Ale w rodzinnym domu zarówno ona, jak i jej siostry słyszały często: »Nie ty jesteś najważniejsza«".

Owdowiawszy, opuściła obie zasobne mężowskie siedziby. Zostawiła wygodny dom swoich rodziców w Daszkowcach. Była więcej niż zamożna. Mogła mieszkać za granicą, podróżować, bywać i korzystać z bogactwa i swobody jak wiele pań z jej sfery. Tymczasem osiadła na stałe w niewielkim, zaniedbanym mieście Podola, Latyczowie, położonym u ujścia rzeki Wołk do Bohu, na tzw. Czarnym szlaku (jednym z trzech, którymi Tatarzy najeżdżali ziemie Rzeczypospolitej). Niegdyś miasto słynęło jako siedziba Jana Potockiego herbu Pilawa, który ufundował tu kościół i klasztor dominikanów w darze za swoje nawrócenie z kalwinizmu. Złupione przez Kozaków podczas powstania chmielnickiego, wcześniej wielokrotnie napadane i niszczone przez Tatarów. Niszczyli miasto Turcy, nie oszczędzając jego świątyni z Cudownym Obrazem Matki Boskiej Latyczowskiej, który zawsze jednak zostawał ocalony. W XVIII wieku ograbili je doszczętnie Hajdamacy.

Elżbieta zakopała się na tej „strasznej prowincji". Kupiła tu dwór o dwunastu pokojach. Do historii tej wielonarodowej miejscowości przeszła nie tylko jako polska pani, reprezentująca najlepsze tradycje staroszlacheckie, lecz także jako bogaczka, która potrafiła do upadłego targować

Egzemplarz prasowy a53d7007

się o kopiejkę. Patologicznie skąpa? Chorobliwie oszczędna? Zdziwaczała z powodu nadmiaru bolesnych przeżyć? „Kiedy musiała pogodzić się ze swoim losem kobiety bezdzietnej i dwukrotnej wdowy, na parę dni tylko zamknęła się w kobiecym żalu. A gdy z niego wyszła, miała jasny umysł i jasne oczy".

Wśród „szansonistek"

„Dla wszystkich w Latyczowie »Grande Dame« i Jaśnie Wielmożna, tylko dla biednych Mości Dobrodziejka" – pisze autorka jej biografii. Wspaniały powóz i wypielęgnowane konie, staroświecki ubiór Elżbiety stały się symbolem odchodzącego świata polskich ziemian, ludzi nietuzinkowych, oryginałów, ale z wielkim gestem i wyobraźnią serca.

Tymczasem Elżbieta realizowała w podolskim miasteczku osobliwy plan. Założyła prywatny nieformalny dom dziennej opieki. Był nim jej latyczowski dwór, w którym obiady gotowano dla kilkudziesięciu osób. Stała się jednoosobowym ośrodkiem opieki społecznej. Codziennie wspólnie ze swoimi podopiecznymi siadała do stołu nakrytego świeżym białym obrusem. Jako cel życia postawiła sobie opiekę nad samotnymi kobietami, a także nad bliższą i dalszą rodziną. Stangret Marcin w eleganckiej liberii woził dzień w dzień na obiad jej „półrezydentki", ubogie panie z miasteczka. Dzieci z rodziny Elżbiety – zwanej wśród bliskich „Binią" – nazywały je, trochę złośliwie, „szansonistkami" albo „szczebiotkami". Te, które były już zupełnie niesprawne, Marcin podwoził również do kościoła. Po latach do grona podopiecznych dołączyła jej własna służba: zasłużona kucharka, stara klucznica, która kiedyś biegała jak fryga po pokojach jako młoda pokojówka.

W kancelarii na parterze dworu Elżbieta codziennie przyjmowała interesantów – ludzi potrzebujących pomocy oraz swoich doradców. Zarządzanie dużym majątkiem i obszernym domem, który pełnił rolę nie tylko jej prywatnej rezydencji, wymagało skrupulatności, mądrości, przezorności, finansowanie działalności dobroczynnej – zręczności i zapobiegliwości. „Binia" miała trzeźwy umysł i ogromne zdolności organizacyjne. I wielką siłę charakteru. W kontaktach ze swymi podopiecznymi była dyskretna i delikatna. Szanowała prywatność każdego człowieka, który do niej przychodził po wsparcie. Potrafiła mądrze doradzać. Umiała milczeć, nigdy nie wyciągała spraw, które jej powierzano w zaufaniu, na światło dzienne. Ale bywała też zaskakująco twarda, „tylko na tyle, by nie dać się złamać z bojaźni ani ugiąć przed siłą".

Żywo interesowała się życiem swoich siostrzeńców i bratanków, kilkunastoosobowej grupy młodych ludzi z dworów gęsto rozproszonych po całej okolicy. Chętnie ją odwiedzali, bo było w niej coś mężnego i godnego. Nie skąpiła dla nich czasu. Chciała poznać ich charaktery, zrozumieć ich trudności, umieć im pomóc. Stała się powiernicą wielu z nich w trudnym okresie wczesnej młodości. Ufano jej. Ceniono jej stateczną mądrość, rozsądek i poczucie humoru. Latyczowski dwór, siedziba samotnej wdowy, gdzie przemieszkiwały także na prawach rezydentek ubogie dalsze krewne i przyjaciółki, nie był miejscem smutnym i zapyziałym.

Łyżka soku z malin i kieliszek żubrówki

Gospodyni była chciwie ciekawa świata. Prenumerowała fachowe czasopisma z dziedziny rolnictwa, by móc zaskoczyć kompetentnym sądem przyszłych dziedziców, swoich młodych kuzynów, dawać im niezdawkowe rady. Poszerzała swoją wiedzę w najrozmaitszych „męskich" dziedzinach. Zamawiała książki, których lektura miała uchronić przed rusyfikacją jej przyjaciół, podopiecznych i krewnych. Były dostępne dla wszystkich mieszkańców Latyczowa, którzy chcieli po nie sięgnąć. „Specjalnej dyskrecji wymagała opieka i pomoc rodzinom, które cierpiały w wyniku carskich represji za udział kogoś z członków w powstaniu styczniowym lub za świeże próby polskiej konspiracji". Wspomagała hojnie tych krewniaków, którzy dostawali „wilcze bilety" od carskich władz i nie mogli się kształcić. Mimo że nie miała żyjącego potomstwa, „stała się seniorką rodu, osobą, do której mogli się zgłosić wszyscy z każdą trudnością i z każdą sprawą". Nie tylko zresztą Polacy i nie tylko katolicy. Hojnie wspomagała Kościół.

„Babunia Binia wskazywała, jak należy żyć" – podsumowuje Anna Pawełczyńska portret kresowej damy, która wobec jej matki, młodziutkiej wówczas siostrzenicy, Zofii z Ruszczyców, miała szczególnie wiele sympatii i zaufania.

Często bywał u niej weterynarz, bo była miłośniczką koni i ich wytrawną hodowczynią, bardzo o nie dbała, ale nigdy w latyczowskim dworze nie widziano lekarza. Do końca życia leczyła siebie i podopiecznych sokiem malinowym, rumiankiem, aloesem i miętą. „Systematycznie natomiast troszczyła się o własną duszę". Dyskretnie i poza godzinami przeznaczonymi na codzienne obowiązki. Nigdy nie epatowała otoczenia swoją religijnością.

Jak pisze Anna Pawełczyńska, choć nie gorszyły jej wady i przywary bliźnich, choć wyrozumiale przyjmowała wyskoki młodego pokolenia, miała pewną słabość, która powodowała, że niektórzy jej się bali. „Nieraz wybuchała krótką, gwałtowną złością... Nie tolerowała cienia chciwości, obłudy i kłamstwa". Gdy ktoś został przyłapany na tym, po prostu „wyrzucała winowajcę za drzwi". „Aby odzyskać równowagę ducha, musiała czasem sięgnąć po ukrytą w kantorku butelkę i wypić kieliszek żubrówki".

Jeździła powozem zaprzężonym w dwójkę lub czwórkę wypielęgnowanych, białych koni. Jej wyjazdy do miasteczka miały zazwyczaj jeden konkretny cel: robiła osobiście zakupy dla swoich podopiecznych. Odziana jesienią i zimą w futro do ziemi, tzw. dachy na popielicach – wewnątrz, od zewnątrz pokryte futrem wilczym, które miejscami było mocno wyliniałe i przetarte, niosąc ze sobą

eprasa.pl eda53d7007

majestat i dumę wielkiej pani, uchodziła w miasteczku za osobę nieprzytomnie bogatą, a przy tym przeraźliwie skąpą. Targowanie się przez nią z żydowskimi sklepikarzami o każdą rzecz stało się rodzajem obrzędu, cotygodniowego teatru, niepozbawionego nuty autoironii z obu stron. W targach tych i rytualnych przekomarzaniach uczestniczyła z reguły cała rodzina takiego sklepikarza, a w letnie i wiosenne dni z okazji jej przejazdu przez główną ulicę Latyczowa właściciele sklepików wynosili na zewnątrz stoły i rozkładali na nich uroczyście swe towary, by Jaśnie Pani mogła je dokładnie obejrzeć i „stargować". Przed sklepikami spożywczymi widywano ją tylko wtedy, gdy nie była zadowolona z jakości produktów. Nie wysiadała wtedy z powozu. Właściciel wybiegał do niej i kłaniając się w pas przepraszał, sumitował się, obiecywał poprawę. O taką klientkę trzeba było dbać jak o źrenicę oka; utrzymywała cały miejscowy handel na godziwym poziomie.

Trumna „bez fanaberii"

Przyszedł rok 1916. Wojna na Podolu jeszcze nie dawała się tak bardzo we znaki, zwłaszcza mieszkańcom miasteczka. „Babunia Binia" rozpoczęła bardziej gruntowne niż kiedykolwiek wielkanocne porządki. Nie tylko wietrzono i porządkowano wszystkie pomieszczenia dworu, od piwnic po strychy, lecz także reperowano każdą sztukę ubrania, obrusy, bieliznę stołową i pościel. Wszystko podlegało ścisłej segregacji, rzeczy zniszczone stangret wywoził do pobliskiej Podlatyczówki, gdzie specjalnie zatrudnione kobiety szyły z nich dywaniki, zwane szmaciakami. Książki i pisma przydatne w prowadzeniu gospodarstwa zapakowano w osobne skrzynie, miały zostać wysłane do rodzinnego majątku gospodyni, do Daszkowic.

Po naradzie z notariuszem Elżbieta zawyrokowała, że rozdzieli swoje grunty tylko pomiędzy dwójkę ze sporej gromady wnuków (dzieci siostrzenic, siostrzeńców, bratanic i bratanków), tych, którzy najlepiej rokowali, jeśli idzie o należyte utrzymanie rodzinnej ziemi i rozwój gospodarstwa. Ziemia nie mogła dostać się w ręce ludzi lekkomyślnych, płochych, leniwych czy niewystarczająco wykształconych; była zbyt wielkim skarbem, okupionym zbyt dużą ofiarą. Ale to nie znaczyło, że Elżbieta bardziej kochała tę dwójkę niż pozostałych. Przeciwnie. Wezwała następnie do siebie swoich ulubionych, Julka i Tadzia Dyakowskich, obarczając ich zadaniem nabycia odpowiedniej trumny. „Trumna miała być solidna, dębowa, bez żadnych ozdób i fanaberii. A przede wszystkim miała być tania. Kazała ją za pół ceny stargować. Prześmiewca Tadzio doradził, że najtaniej można kupić używaną. Babunia Binia nie obraziła się za głupi dowcip, a nawet wdała się w dyskusję, której treść przez wiele lat bawiła całą rodzinę". Trumnę ustawiono w stajni.

Jak gdyby nigdy nic, na świętą Zofię w latyczowskim dworze urządzono uroczysty obiad. Do stołu usiadło pięćdziesięciu podopiecznych Elżbiety, wśród których były trzy solenizantki, każdą obdarowano praktycznym upominkiem. Na wiosnę dworska szwalnia pracowała pełną parą, szyto nową odzież dla służby i ciepłe ubrania dla podopiecznych, już na przyszłą zimę.

A w lecie kolejnym dwóm wnukom powierzono specjalną misję. Zaopatrzeni w znaczną sumę pieniędzy mieli na prośbę „Bini" dokonać objazdu wszystkich cmentarzy, na których znajdowały się rodzinne groby. Aż po Kijów i Besarabię, Werbkę Wołoską i Olgopol. Wszędzie mieli odwiedzić groby rodziny i dalszych krewnych i wręczać księdzu ofiarę na mszę za dusze tych zmarłych. Mieli także należycie zadbać o groby wymagające odnowienia. „Obaj chłopcy po raz pierwszy zaniepokoili się o babunię. Była szczodra i nie kazała się targować".

Gdy zatrzymano wszystkie zegary

Boże Narodzenie obchodzono jak zwykle: przy ogromnym stole zmieścili się wszyscy – rezydentki i „półrezydentki", powinowaci, służba i podopieczni z całego miasteczka. Karnawał był skromny. Zaś w połowie Wielkiego Postu 1917 roku „Babunia Binia" „ubrana uroczyście w najlepszą czarną suknię wezwała wszystkich domowników i obwieściła, że będzie umierać".

Myślała nie tylko o sobie. „Zarządziła wszystkim, co kto ma zrobić. Kiedy poprosić księdza na spowiedź, Komunię św. i ostatnie namaszczenie, jak ustawić kwiaty i kiedy zapalić gromnicę. Pozdrowiła wszystkich w imię Boże, prosząc o przebaczenie, jeśli kogoś skrzywdziła, i o modlitwę za szykującą się do odlotu duszę. Potem wsparta o ramię Józefy i odprowadzona przez spłakane służące, poszła do sypialni, żeby położyć się do łóżka, a gdy przyjdzie czas – umrzeć".

Nie minęło kilka dni, gdy wierna Józefa Czaykowska „zamknęła jej oczy i położyła na powiekach dwie srebrne monety". Wszystkie lustra we dworze zasłonięto kirem i zatrzymano wszystkie zegary.

Modlitwy przy trumnie i pogrzeb kresowej damy zgromadziły setki ludzi. Nie tylko rodzinę i przyjaciół. Gdy rozpoczynała się msza pogrzebowa, dzwony biły we wszystkich kościołach i cerkwiach Latyczowa. Jak pisze Anna Pawełczyńska, „w tych porannych godzinach za duszę zmarłej proszono Boga we wszystkich latyczowskich przybytkach wiary, a ciżby ludzi modliły się po polsku, ukraińsku, rosyjsku i po hebrajsku, a także po gruzińsku, ormiańsku, czeczeńsku i jeszcze w innych trudnych do nazwania językach".

Wszyscy mieli nieodparte wrażenie, że jej śmierć została przez nią samą starannie wyreżyserowana. „Planując swoją śmierć, pogrzeb i stypę, bardzo chciała, by zebrana razem rodzina poczuła swoją siłę moralną, wspólnotę tradycji, wzmocniła więź wzajemnych obowiązków i sympatii. Takie były jej intencje, gdy zarządziła spęd rodzinny na dzień swojego pogrzebu". To dzięki niej chlubnie pokoń-

eprasa.pl eda53d7007

czyło szkoły dwanaścioro dzieci jej siostry Ignacji Wróblewskiej, żony miejscowego lekarza społecznika i utalentowanej pianistki, która do pensji męża dorabiała lekcjami muzyki. Dzięki niej ład panował w całej rozgałęzionej rodzinie.

Rozdzieliła swój majątek starannie pomiędzy najbardziej potrzebujących w rodzinie. Nie zapomniała o ubraniach, meblach, obrazach, srebrach i pościeli. Ponad trzydzieści imiennych legat przeznaczyła dla byłych służących, praczek, rezydentek, leśników i potrzebujących pomocy mieszkańców Latyczowa. Obdarowała nimi także pięciu latyczowskich księży, nie zapominając o matce jednego z nich i o wychowującej się bez rodziców siostrze. Wspomogła miejscowe kościoły i kaplice, ale także główną synagogę w Latyczowie, Komitet Biednych Żydów, a w Warszawie Kasę Wdów i Sierot, przytułek Schronienie Nauczycieli, szpital dziecięcy i Komitet Poszkodowanych przez Wojnę. Cały wielki majątek został pochłonięty przez potrzeby bliższych i dalszych, a nawet zupełnie nieznajomych osób, a jej dusza w spokoju przestąpiła próg wieczności.

▶ Co może zwiędła staruszka?

Czcij i zachowaj ciszę, pogodę i spokój domu tego, aby się stały w tobie.

Będziesz stale zajęty pracą wedle swoich sił, zdolności i zamiłowania.

Nie będziesz śmiecił i czynił bezładu ani zamieszania domowego porządku.

Pamiętaj, abyś nie kaził myśli ni ust mową o marności i głupstwie.

Nie będziesz opowiadał, szczególnie przy posiłku, o chorobach, kalectwach, kryminałach i smutkach.

Nie będziesz się gniewał ani podnosił głosu z wyjątkiem śpiewu i śmiechu...

Tak zaczynało się „dziesięć przykazań" domowego życia, które spisała i powiesiła w sieni swojego wielkiego dworu w Hruszowej na Polesiu jeszcze przed I wojną światową jego właścicielka, Maria Rodziewiczówna. Znana z gościnności, szeroko otwierała podwoje starego domu, lecz stawiała też gościom warunki. „Przykazania" miały obowiązywać wszystkich, którzy przebywali tu dłużej niż trzy dni. A były wśród gości tej samotnej – z wyboru – gospodyni najróżniejsze osoby: kuzynki i kuzyni, nauczyciele wiejscy, inżynierowie, którzy prowadzili po sąsiedzku prace miernicze i drogowe, dzierżawcy i ich rodziny, przyjaciele domu z dalszych i bliższych stron, jak Józef Chełmoński z córką, księża, a nawet biskupi, którzy zapraszani byli na wakacyjny wypoczynek. Maria Rodziewiczówna nie witała tylko z szerokim gestem myśliwych, ich po prostu nie znosiła.

Nie będziesz zatruwał powietrza domu tego złym i kwaśnym humorem.

Nie wnoś do domu tego szatańskiej czci pieniądza i przekleństwa spraw jego.

Zachowaj przyjacielstwo dla Bożych zwierząt, za domowników przyjętych, jak psy, ptaki, jeże i wiewiórki.

Nie okazuj trwogi, a znoś ze spokojem wszelki Boży dopust, jak głód i chłód, biedę, chorobę i najście niepożądanych ludzi. Błogosławieństwo Boga i Królowej Korony Polskiej niech strzeże fundamentów, węgłów i ścian domu tego i zdrowia i dusz jego mieszkańców – Amen.

Rodziewiczówna była uważana za ekscentryczkę oraz osobę egzaltowaną i trochę śmieszną, ale nikt, kto nie poznał jej naprawdę, nie miał pojęcia, że biło z niej ogromne ciepło, że jej wielkim i zupełnie ukrytym talentem była hojność i sztuka niesienia pomocy ludziom w potrzebie.

Doświadczył tego w czasie wojny historyk i działacz emigracyjny Józef Puzyna, który poznał Marię Rodziewiczówną w 1943 roku w Warszawie, dokąd przeniosła się, po wkroczeniu na ziemie polskie Sowietów, a po wojnie opublikował swoje wspomnienia. Pisarka miała już wtedy 80 lat, mieszkała z przyjaciółką i daleką krewną, Jadwigą Skirmunttówną, była schorowana i zniedołężniała. Jednak jej niewielkie mieszkanie na rogu Królewskiej i Marszałkowskiej, w domu Blocha, wynajmowane od drobnych przedsiębiorców, Krauzów, w każdą sobotę po południu zapełniało się licznymi postaciami skromnie ubranych, steranych latami i chorobami kobiet. Było to siedemnaste z kolei – i ostatnie przed powstaniem – schronienie pisarki i jej przyjaciółki po opuszczeniu Hruszowej. Rodziewiczówna przyjmowała tu herbatą i kawą z podwieczorkiem – zwykle treściwym i energetycznym – samotne okupacyjne wdowy, matki i osierocone córki. (Sam Józef Puzyna został serdecznie w tym domu przyjęty, bo gospodynie wiedziały, że jest wdowcem – „i bardzo sam".) Wśród tych wszystkich rozbitków płci żeńskiej kwitły w najlepsze pogawędki, dawano sobie wzajemnie rady, dzielono się najnowszymi wiadomościami z miasta.

„Babiny Rodziewiczówny rzadko siadywały dłużej niż do szóstej, spiesząc się nie wiadomo dokąd i nie wiadomo po co, gdyż wszystkie były ofiarami wojny i pozostawały bez stałego zajęcia" – relacjonuje Józef Puzyna. Jedna z nich, o wielkim w Polsce nazwisku, widziała na własne oczy, jak Niemcy po wkroczeniu do Poznańskiego rozstrzelali jej męża, nie bacząc na to, że jest szwagrem arcyksiężniczki austriackiej. Jej samej kazano się wynosić i nie pozwolono nic zabrać z domu. Druga, Podolanka, sąsiadka pierwszej i przyjaciółka, razem z nią znalazła się na bruku warszawskim, z tą jednak różnicą, że bogatszych krewnych nie miała i zarabiała robótkami kobiecymi, gdyż wiek jej nie pozwalał na cięższą pracę. Panie przeważnie były Kresowiankami, jak sama Rodziewiczówna, wyrzuconymi do miasta i przebijającymi się przez ciężkie, wojenne życie stolicy. „Żyło to wszystko, jak umiało i jak mogło, i sądzę, że tę parę godzin spędzonych raz na tydzień na kawie u Rodziewiczówny musiało stanowić dla

eprasa.pl eda53d7007

niejednej nie byle odpoczynek i wytchnienie po całotygodniowym borykaniu się z losem".

Autor nie wie, czy sama gospodyni lubiła te podwieczorki – choć była przecież towarzyska i chętnie widziała ludzi koło siebie. Jednak te spotkania były „instytucją społeczną", przez nią samą traktowaną jak najpoważniej.

Ku zdziwieniu autora wspomnień, „ten szereg istot, z których żadna nie miała zapewnionego jutra, potrafił jeszcze obmyślić pomoc dla niejednego, który się znalazł w położeniu gorszym, lub jak im się może zdawało, gorszym iż ich własne".

„Ten jej się udał"

Panie pod wodzą Rodziewiczówny wspólnie opracowały plan odnalezienia w Warszawie znajomego uciekiniera przed hordami ukraińskich banderowców, który przywędrował zza Bugu bez płaszcza, jak stał, uciekając w ostatniej chwili z własnego domu. Wywiad damski ustalił, że ten starszy ziemianin znalazł przytulisko przy placu Napoleona; został przyprowadzony do Rodziewiczówny, a gdy odmówił pomocy, twierdząc, że ma już wszystko, czego mu potrzeba, przeznaczone dla niego ze zbiórki pieniądze „zostały zaniesione do stołówki »Świętojańskiej« głodującemu profesorowi, który przyjął je z rozrzewnieniem i zamówił sobie natychmiast »obiad mięsny«. Resztę kwoty przeznaczył na oporządzenie opadającej już z niego garderoby i podzelowanie butów... Z niego Rodziewiczówna była zadowolona. Ten jej się udał".

Józef Puzyna był szczerze zdumiony rozległością stosunków i znajomości leciwej pisarki. Przychodziła do niej nieraz kierowniczka tej stołówki, by omówić sprawy jej podopiecznych. Józef Puzyna był także świadkiem odwiedzin u Rodziewiczówny nieznanej „starszej jejmości z grubym zawiniątkiem pod pachą". Okazała się nią wysiedlona z Poznańskiego gospodyni wiejska, która „wynajęła od Szustrów gospodarstwo jarzynowe, które jej się sowicie opłacało. [...] Mieli właśnie tej jesieni obfity urodzaj pomidorów, które na mieście były drogie". Postanowili sprzedawać je za pół ceny sklepikarzom, by wszyscy – sprzedawcy i klienci – „mieli się lepiej". Złapali jednak swoich odbiorców na kancie i zdecydowali, że różnicę oddadzą Rodziewiczównie, o której szła fama po mieście, że wie, co zrobić z pieniędzmi. Było tego 7 tysięcy złotych. Obie z panną Skirmunttówną nieźle się namozoliły, wedle relacji Puzyny, by podział tego niespodziewanego dobra pomiędzy potrzebujących wypadł jak najsprawiedliwiej. Z Rodziewiczówną – instytucją zapomogowo-opiekuńczą okupacyjnej Warszawy – współpracowali księżna Ludwika z Krasińskich Czartoryska, bogaty ziemianin z Hrubieszowskiego nazwiskiem Weychert oraz pani Hołyńska, która odziedziczywszy pokaźny spadek, przeznaczyła go dla biedniejszych od siebie mieszkańców stolicy. Józef Puzyna stwierdza, że przez ręce sędziwej pisarki „musiał w owym czasie przepłynąć niejeden milion, a o wszystko zabiegała sama, wszystko rozdawała sama i sama wszystkiego dopatrzyła z iście kobiecą drobiazgowością".

Warszawska kuźnia optymizmu

Ale to nie wszystko. Pisarka należała do AK-owskiej konspiracji; autor wspomnień przypuszcza, że była łączniczką, a jej „położone na uboczu i trudno dostępne mieszkanie, a w nim zwiędła staruszka, doskonale nadawały się do roli skrzynki kontaktowej". Otrzymała stopień porucznika, z czego była niezwykle dumna. „W zamian ofiarowała swój dwór w Hruszowej na podchorążówkę piechoty dla wojska polskiego, o czym wspominała z satysfakcją spełnionego obowiązku". Była znaną postacią okupacyjnej Warszawy, mimo że rzadko opuszczała swoje mieszkanie. „Samorzutnie społeczeństwo zapewniło jej przyzwoite utrzymanie", choć opuściła Hruszową bez żadnych zasobów. Jej czytelnicy i przyjaciele, znajomi i zupełnie nieznani ludzie dbali o nią tak bardzo, że z okazji kolejnych świąt Bożego Narodzenia czy Wielkanocy znoszono jej do domu tyle łakoci, że potem tygodniami częstowała nimi gości i wysyłała do biedujących znajomych.

„Stosunek jej do religii był prosty" – zauważa Józef Puzyna. „Nie było w nim żadnej przesady ani bigoterii; starała się żyć po chrześcijańsku, nie obgadywała bliźnich, pomagała każdemu w miarę możności".

Była zaprzeczeniem celebrytki. Porównywano ją często z Orzeszkową, ale łączyło ją z autorką „Nad Niemnem" jedynie to, że obie pochodziły ze sfery ziemiańskiej Polesia. Józef Puzyna poznał także osobiście Elizę Orzeszkową, był zaproszony do jej domu w Grodnie i choć przyjęła go bardzo łaskawie, był przepełniony niesmakiem, że pozowała na Królową Polski, kazała podziwiać złote pióro, które ofiarowały jej w hołdzie grodzieńskie Żydówki, i mówiła wyłącznie o sobie. „Napuszona i pozująca", silnie kontrastowała ze skromną, dowcipną i żywiołową ziemianką z Hruszowej. Czy taka osoba mogłaby napisać coś podobnego do „Strasznego Dziadunia"?

„Gdyby pan zapatrywał się na życie zanadto czarno" – mawiała do Józefa Puzyny Rodziewiczówna w latach okupacji – „proszę pamiętać, że tutaj mamy kuźnię optymizmu". Nigdy mu tego nie dawano do zrozumienia, ale i on, z uwagi na swoją samotność, stał się podopiecznym mieszkanek domu Blocha. A optymizm Rodziewiczówny rzucał się wszystkim w oczy i był zaraźliwy. Jedynym jej poważnym zmartwieniem był fakt, „że wypadki toczą się tak bardzo powoli", że być może nie doczeka dnia, gdy Niemcy zostaną pobici i będą musieli ponieść zasłużoną karę. ■

Prof. Anna Pawełczyńska, „Koniec kresowego świata", Lublin 1998
Józef Puzyna, „Moje wspomnienia o Rodziewiczównie", Częstochowa 1947

eprasa.pl eda53d7007

Piotr Lisiewicz

Polacy mogą mieć tylko jednego pana, a jest nim Niemiec; dwóch panów obok siebie nie może i nie śmie być, dlatego też należy wytępić (umbringen) wszystkich przedstawicieli polskiej inteligencji. To brzmi twardo, ale takie już jest prawo życia" – powiedział Hitler w gronie kilku najbardziej zaufanych współpracowników 2 października 1940 roku. Najwięksi polscy naukowcy, siwi profesorowie po siedemdziesiątce zamarzający na śmierć, umierający na serce z powodu wyczerpującego marszu, bici kolbami i kopani przez esesmanów, ginący w męczarniach bez pomocy lekarza – to wszystko spotkało profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego. Jeśli wydaje nam się, że o Sonderaktion Krakau wiemy wszystko na podstawie publikacji z czasów PRL, to nie jest to pełna prawda, dlatego przedrukowujemy dziś relacje, które 20 lat po tym wydarzeniu opublikowały w Londynie emigracyjne „Wiadomości", w tym rozmowę z ówczesnym rektorem UJ. Cel akcji był jasny – likwidacja nauki polskiej i zagłada polskiej inteligencji. W dziele tym Niemcy współdziałali z Rosjanami, a skutki tego odczuwamy do dziś, gdy na uczelniach rządzi „elita" stworzona w PRL. ■

Stanisław Roskosz

Zlikwidować naukę polską. Sonderaktion Krakau 6 XI 1939

Dzień 6 listopada 1939, w którym gestapo aresztowało profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego, miał być wstępem do zlikwidowania nauki polskiej i do całkowitej zagłady inteligencji polskiej. Zamach ten przygotował okupant z iście niemiecką dokładnością.

W pierwszych tygodniach władze niemieckie, a zwłaszcza kierownicy wyższych komórek, zachowywali się wobec przedstawicieli instytucji polskich bardzo uprzejmie, zapewniając ich, że Niemcy nie zamierzają mieszać się do wewnętrznego życia mieszkańców i że nie sprzeciwiają się działalności kulturalnej. Władze okupacyjne nie wtrącały się do prac polskich instytucji, które na wezwanie wznowiły swoją działalność. Utworzono nawet przy niemieckim komisarycznym burmistrzu radę przyboczną złożoną z Polaków, a z inicjatywy polskiej zorganizowano Tymczasową Komisję Szkolną pod kierownictwem rektora Uniwersytetu Jagiellońskiego prof. Tadeusza Lehra-Spławińskiego.

Namawiali do rozpoczęcia wykładów

Tymczasem z wrześniowej ucieczki coraz liczniej wracali do Krakowa profesorowie, pracownicy naukowi, a także młodzież uniwersytecka. Zgodnie z wezwaniem władz niemieckich rozpoczęto pracę w zakładach naukowych, a nawet przeprowadzono egzaminy na poszczególnych wydziałach uczelni. Władze niemieckie nie tylko zachęcały przedstawicieli uniwersytetu do podjęcia wykładów i ćwiczeń, lecz niejednokrotnie wyrażały zdziwienie, że uniwersytet nie podjął jeszcze normalnych zajęć.

W tej sytuacji senat akademicki na posiedzeniu 19 października 1939 uchwalił jednomyślnie otworzyć uniwersytet, termin wpisów wyznaczyć na czas od 23 października do 4 listopada, a rozpoczęcie wykładów – na 6 listopada. [...]

Profesor uniwersytetu wrocławskiego Koch, pełniący obowiązki oficera ordynansowego w dowództwie armii w Krakowie, zawiadomiony przez rektora Lehra-Spławińskiego o zamiarze wznowienia zajęć przez uniwersytet, uznał tę decyzję za słuszną. [...]

Natomiast 3 listopada rektor otrzymał pisemne zaproszenie z komendy policji bezpieczeństwa (Sicherheitspolizei, Einsatzkommando), podpisane nazwiskiem Müller, Obersturmbannführer. W trakcie rozmowy, przeprowadzanej w bardzo uprzejmej formie, Müller poprosił rektora o szereg informacji tyczących organizacji uczelni i jej składu osobowego, nadto zaś o zwołanie zebrania profesorów i wykładających, na którym pragnąłby osobiście przedstawić – jak się wyraził – „niemiecki punkt widzenia w sprawie nauki i szkół akademickich". Ustalono, że zebranie odbędzie się 6 listopada w sali 66-ej o 12-ej w południe.

Pochód rozpoczął rektor

Tegoż dnia na kilka minut przed 12-ą zjawił się w uczelni Müller w otoczeniu licznych SS-Mannów

eprasa.pl eda53d7007

i udał się do kancelarii rektora. Jednocześnie – jak się wkrótce okazało – gmachy uniwersyteckie otoczył kordon policji. Po bardzo szorstkim przywitaniu się z rektorem Müller wyszedł z nim szybko na drugie piętro. Tam przed salą 66-ą rektor Lehr-Spławiński przedstawił mu rektora Fryderyka Zolla, wyraźnie podkreślając, że jest to członek Akademii Prawa Niemieckiego. Müller na to nie zareagował, lecz zwrócił się do otaczających SS-Mannów ze słowami:

– Możemy zaczynać.

Wszedł na salę, a za nim SS-Manni w czapkach i z karabinami. Müller stanął na katedrze i rozpoczął w języku niemieckim swój jakże zwięzły i pełen treści wykład. Brzmiał on mniej więcej w ten sposób:

– Panie i panowie! Zwołałem was tu, aby wam powiedzieć, że uniwersytet krakowski był zawsze ogniskiem antyniemieckich nastrojów i w tym duchu nieżyczliwym wychowywał młodzież. Teraz usiłowaliście pracować w zakładach i prowadzić egzaminy nie pytając nas o pozwolenie, usiłowaliście otworzyć uniwersytet nie pytając nas o zgodę, daliście więc dowód, że nie orientujecie się zupełnie w sytuacji, w jakiej znajduje się obecnie uniwersytet i to co najmniej do końca wojny. Te wasze usiłowania są aktem złośliwym (böswillig) i wrogim (feindlich) wobec Rzeszy Niemieckiej. Uważajcie się więc za aresztowanych. Zostaniecie przewiezieni do obozów jeńców (Gefangenenlager), gdzie będziecie pouczeni, jak naprawdę wygląda wasza sytuacja. Nie należy stawiać żadnych pytań. Proszę, żeby panie wyszły. Odtransportowanie zaczyna się natychmiast. Sądzę, że pan rektor zechce rozpocząć pochód.

Bici, znieważani, aresztowani

Po wygłoszeniu powyższego „wykładu" na temat „niemieckiego punktu widzenia w sprawie nauki i szkół akademickich" Müller wyszedł z sali, a SS-Manni zaczęli wyprowadzać zebranych na dół, bijąc ich kolbami i spychając ze schodów. Wówczas to m.in. brutalnie znieważono profesorów Stanisława Estreichera i Janusza Supniewskiego, rektora Zolla uderzono kolbą, kilku zaś innych poturbowano.

W tym samym czasie profesorowie Akademii Górniczej obradowali w jednej z sal uniwersytetu. Jakkolwiek nie powzięli oni żadnej decyzji w sprawie rozpoczęcia wykładów, zostali również aresztowani. Odtąd dzielili losy z profesorami Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Aresztowano 183 osoby, wśród nich ludzi całkiem przypadkowo przebywających na terenie uniwersytetu. Po odtransportowaniu aresztowanych do więzienia przy ul. Montelupich dołączono do nich jeszcze prezydenta miasta dr. Klimeckiego, który swoją postawą w pierwszych dniach okupacji zaskarbił sobie powszechny szacunek w mieście. [...] ■

Antonina Spandowska

W Sachsenhausen

Więźniów obowiązywał codziennie trzykrotny apel, konieczność stawienia się na placu obozowym, niezależnie od stanu zdrowia. Obłożnie chorych, a nawet zmarłych musieli inni więźniowie zanosić na plac i kłaść ich obok w szeregu.

„Polacy mogą mieć tylko jednego pana, a jest nim Niemiec; dwóch panów obok siebie nie może i nie śmie być, dlatego też należy wytępić (umbringen) wszystkich przedstawicieli polskiej inteligencji. To brzmi twardo, ale takie już jest prawo życia". W taki jasny sposób wypowiedział się Hitler w gronie kilku najbardziej zaufanych współpracowników 2 października 1940. Myśl ta nie była nowa – stanowiła ona istotny czynnik planów Hitlera dotyczących Polski, i Niemcy zaczęli wprowadzać ją w czyn od pierwszych dni okupacji [...]

W mroźne noce koc pokrywał się szronem

W końcu listopada przewieziono aresztowanych do obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen. Od stacji kolejowej w Oranienburgu do obozu musieli profesorowie odbyć długi marsz wśród deszczu ze śniegiem, otoczeni podwójnym kordonem straży z bagnetami najeżonymi w ich stronę – jak niebezpieczni przestępcy. Niektórzy z nich – chorzy na serce, jak prof. Jerzy Smoleński i Leon Sternbach – doszli ledwie żywi. Zmarli niebawem. [...]

eprasa.pl eda53d7007

W obozie odebrano im pieniądze i kosztowności, kazano rozebrać się do naga i przydzielono odzież więzienną. Sam przydział odzieży – rzecz na pozór niewinna – był wymyślną szykaną. Mężczyznom dużego wzrostu zdarzało się otrzymać marynarkę tak małych rozmiarów że rękawy sięgały ledwie za łokieć. Krótkie kalesony, koszule w strzępach, małe płócienne czapeczki nie chroniące uszu – stanowiły wyposażenie więźniów na ciężką zimę, kiedy mróz spadał poniżej –30°C. (–22°F.). Prof. Kazimierz Kostanecki, b. rektor Uniwersytetu i prezes Polskiej Akademii Umiejętności, dostał za małe buty, a prof. Antoni Hoborski – dwa buty z lewej nogi. Obydwaj wkrótce zmarli od odmrożeń, z których wywiązała się gangrena nóg.

Baraki w obozie były drewniane, kryte dachem bez sufitów. W każdym baraku były dwie izby: sypialnia i świetlica, w której więźniowie jedli, oraz klozet i tzw. łazienka. Jedyny piec żelazny był w świetlicy, ale palono w nim tylko do lutego; potem zabrakło opału. Reszta baraku była lodowata. W sypialni na podłodze leżały sienniki jeden przy drugim podwójnymi rzędami. Pomiędzy każdym takim dwurzędem sienników była wąska ścieżka, która umożliwiała dojście do barłogu. Sienniki nakryte były kocami bez bielizny. Więźniowie sypiali po dwóch na jednym sienniku. Z wentylatorów kapało na koce. Niejeden koc w mroźne noce zamarzał i pokrywał się szronem. Toteż więźniowie byli zawsze przeziębieni, a jedyną posiadaną chustkę, zawsze mokrą i brudną, musieli nosić pod czapką, gdyż kieszenie u spodni przepisowo były zaszyte.

Łaskawa śmierć uwalniała od cierpień

W tych warunkach szerzyły się różne choroby. Przeziębienie nieraz kończyło się zapaleniem płuc i śmiercią (prof. Stefan Bednarski). Straszliwie cierpieli chorzy na tyfus brzuszny, zmuszeni w nocy po dwadzieścia razy, w samej tylko koszuli, wędrować przez lodowaty barak do klozetu, notorycznie przepełnionego i brudnego. Prof. Stanisław Estreicher, ciężko chory na nerki, spędzał tam większą część nocy w potwornych męczarniach, nie mogąc oddać moczu. Łaskawa śmierć uwolniła go od dalszych cierpień.

Na terenie obozu istniał szpital, a jakże, ale pomoc lekarska była jeszcze jednym rodzajem tortury. Pacjent musiał najpierw stać w ogonku kilka godzin na mrozie, co dla ciężej chorych równało się wyrokowi śmierci, aż wreszcie otrzymywał np. odwar z kory dębowej jako lekarstwo na tyfus! Za zabrudzenie pościeli chorych w szpitalu bito, przywiązywano ich pod łóżkiem na podłodze lub zlewano lodowatą wodą. Kto mógł, unikał szpitala. Prof. Feliks Rogoziński jęczał w agonii całą noc, męczony czkawką przedśmiertną. Rano jeszcze koledzy musieli powlec go na apel – zmarł tegoż dnia przed południem.

Wyżywienie obozowe składało się z trzech posiłków: rano pół litra wody gorącej, zaledwie zamąconej mąką lub kaszą, w południe litr zupy z brukwi lub marchwi z przegniłymi kartoflami, wieczorem porcja chleba, pół litra kawy niesłodzonej i 2 dkg margaryny lub kiełbasy. Zupy obiadowe „okraszone" były mięsem w ilości 1,5 kg na kocioł dla 125 osób. Nic dziwnego że na tym wikcie więźniowie tracili po 30 kg w ciągu paru miesięcy.

Świat potępia, Trzecia Rzesza milczy

Więźniów obowiązywał codziennie trzykrotny apel, konieczność stawienia się na placu obozowym, niezależnie od stanu zdrowia. Obłożnie chorych, a nawet zmarłych musieli inni więźniowie zanosić na plac i kłaść ich obok w szeregu. Apel wraz z przygotowaniami trwał przeciętnie godzinę, co przy dużym mrozie wystarczało, by przemarznąć na wylot w cienkich drelichach. Dokoła szeregów uganiali się SS-Manni, którzy bili po twarzy i kopali więźniów za najmniejsze poruszenie. Łatwo sobie wyobrazić męki chorych na tyfus, którym też nie wolno było opuścić szeregu. Za najdrobniejszy błąd, np. omyłkę w odliczaniu, karano zbiorowo cały szereg lub cały barak – np. klęczeniem przez kilka godzin na jednym kolanie z podniesionymi rękami. Za ucieczkę więźnia karano cały obóz kilkugodzinnym apelem, podczas którego wielu słabszych zamarzało na śmierć. Tak zginął prof. Tadeusz Garbowski.

W lutym 1940 zwolniono nieliczną grupę starszych profesorów i odesłano do domu. Spośród podeszłych wiekiem nadal pozostali w obozie profesorowie: Aleksander Birkenmajer, Jan Harajda, Zdzisław Jachimecki, Franciszek Leja, Józef Majcher, Jan Miodoński, Władysław Semkowicz i Stołyhwo. Niektórych zwolniono w kwietniu, resztę odesłano do obozu koncentracyjnego w Dachau.

W czasie pobytu w obozie zginęło 13 profesorów. Oprócz wymienionych poprzednio zmarli: Ignacy Chrzanowski, Antoni Meyer, Adam Różański, Michał Siedlecki i Władysław Takliński. Bezpośrednio po powrocie z obozu zmarli jeszcze Stefan Kołaczkowski, Jan Nowak, Antoni Wilk i Jan Włodek. Wielu zmarło później na skutek chorób wyniesionych z obozu.

Aresztowanie profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego odbiło się głośnym echem na całym świecie i wszędzie wywołało powszechne oburzenie. Tylko w Trzeciej Rzeszy nikt się nie zdobył na słowo potępienia tej potwornej zbrodni. ■

eprasa.pl eda53d7007

Perfidia i bestialstwo hitlerowskie

Rozmowa Zachodniej Agencji Prasowej z prof. TADEUSZEM LEHR-SPŁAWIŃSKIM, rektorem UJ w latach 1938–1946.

▶ Co prawda minęło już dwadzieścia lat od tragicznego dla narodu polskiego Września, jednak wydaje nam się konieczne przypomnienie, zwłaszcza młodemu pokoleniu, wypadków obrazujących perfidię i bestialstwo barbarzyńców hitlerowskich. [...]

W ustosunkowaniu się władz niemieckich do tej sprawy należałoby rozróżnić dwa okresy: pierwszy – trzy tygodnie od zakończenia działań wojennych i drugi – od ostatniej dekady października do owego tragicznego dnia 6 listopada. Początkowo władze wojskowe i cywilne ustosunkowały się do władz uniwersyteckich, a także i do innych instytucji polskich poprawnie, w wielu zaś wypadkach wręcz kurtuazyjnie. Charakterystycznym tego objawem był fakt, że komendant wojskowy Krakowa, gen. major von Höbert, uważał za stosowne złożyć wizytę rektorowi uniwersytetu. Miało to ten dodatni skutek, że udało mi się uzyskać wydanie zakazu zajmowania zabytkowych gmachów uniwersyteckich na kwatery dla wojska, a przecież było tego kilkanaście budynków. Na rozkaz gen. von Höberta wojsko zostało z nich usunięte. [...]

▶ To znaczy, że wypowiedzi tych władz nie wskazywały na tak tragiczne zakończenie?

Oczywiście. Dopiero po tych mniej więcej trzech tygodniach, które można by określić mianem sielanki w porównaniu z eksterminacją lat okupacyjnych, gdy władze cywilne zaczęły się mnożyć, było już gorzej [...], bodaj 3 listopada, zjawił się w rektoracie oficer gestapo z listem zapraszającym mnie do Obersturmbannführera Müllera na rozmowę w sprawach uniwersyteckich.

Rozmowa odbyła się w uprzejmej zresztą formie w siedzibie Sicherheitspolizei przy ul. Pomorskiej, w dawnym Śląskim Domu Akademickim, gdzie przyjął mnie młody i przystojny, choć o odrażająco ostrym spojrzeniu oficer gestapo, który poprosił o udzielenie mu informacji co do organizacji uniwersytetu oraz co do elementu żydowskiego wśród wykładowców i młodzieży. Na koniec zażądał, żebym zwołał zebranie profesorów, na którym chciałby przedstawić „niemiecki punkt widzenia w sprawie nauki i szkół akademickich". Choć niechętnie – musiałem się zgodzić, i termin zebrania wyznaczono na dzień 6 listopada. Rezultat tego wykładu jest znany powszechnie: aresztowanie przeszło 180 osób i zesłanie ich do obozu koncentracyjnego.

▶ Wśród członków komendy armii niemieckiej w Krakowie byli również zmobilizowani na czas wojny uczeni niemieccy, jak np. gen. Schumann czy mjr Menzel, profesorowie uczelni niemieckich, czy też wreszcie oficer ordynansowy dowództwa armii w Krakowie Koch, profesor uniwersytetu wrocławskiego. Czy ci naukowcy niemieccy nie starali się protestować przeciw zesłaniu profesorów krakowskich do obozu koncentracyjnego? Przecież stacjonując w Krakowie, na pewno byli o tym poinformowani.

O żadnym proteście któregokolwiek z wymienionych przed chwilą profesorów niemieckich nie słyszałem. Natomiast [...] wiadomo mi o dwóch nazwiskach. Otóż powiadomiony z Krakowa o naszym aresztowaniu prof. Vasmer, slawista berliński, następca prof. Brücknera, usiłował zorganizować wśród uczonych niemieckich akcję protestacyjną, lecz – jak mi wiadomo – zebrał tylko 9 podpisów, i akcja upadła. Drugim uczonym niemieckim, który złożywszy podpis na liście Vasmera, agitował za tą petycją, zresztą bez skutku, był chirurg-laryngolog prof. Sauerbruch. O innych wypadkach nie słyszałem.

▶ Czy w późniejszym okresie ktoś z naukowców niemieckich przekazał wyrazy współczucia w związku z aresztowaniem profesorów?

Trudno tu mówić o wyrazach współczucia, ale były pewne próby zadośćuczynienia w stosunku do zwolnionych z obozu profesorów. Mianowicie niektórzy Niemcy objawiali chęć nawiązania stosunków i udzielania pomocy przez wyszukiwanie czy zaoferowanie pracy. Do nich należał dyrektor Biblioteki Jagiellońskiej Abb czy też główny archiwista Generalnej Guberni Rand. Ale to były sporadyczne wypadki [...]

▶ Teraz, panie rektorze, już ostatnie, ale bardzo osobiste pytanie: co w owym czasie było dla pana najbardziej wstrząsającym przeżyciem?

Bez wahania mogę odpowiedzieć, że samo aresztowanie, zarówno dla mnie, jak chyba także dla większości zebranych, gdyż nikt nie wyobrażał sobie wówczas, do czego może się posunąć perfidia i bestialstwo hitlerowców. Drugim takim momentem było „przywitanie" w obozie, gdyż w najbardziej pesymistycznych przypuszczeniach nie wyobrażaliśmy sobie, że aż do takiego upodlenia zdolni są przedstawiciele narodu chlubiącego się swoją kulturą i cywilizacją. Wreszcie dni śmierci poszczególnych kolegów, zwłaszcza prof. Stanisława Estreichera oraz prof. Ignacego Chrzanowskiego.

Rozmowę przeprowadził Stanisław Roskosz ■

———

Wszystkie teksty przedruk za: „Wiadomości", 18.01.1960, Londyn, Rok 15, Nr 3 (720). Śródtytuły pochodzą od redakcji „NP".

eprasa.pl eda53d7007



Stefan Czerniecki
czerniecki.net

Jedyny taki BÓR W KRAJU

Ten las to równolatek Konstytucji 3 maja. Mogli go oglądać uczestnicy Sejmu Rozbiorowego. Najwyższe gałęzie tutejszych jodeł pamiętają zaś kazania Piotra Skargi. Jeśli więc chcesz poczuć się niemal tak jak myśliwi polujący na zwierzynę pod koniec XVIII wieku, jak uciekinierzy koczujący na tutejszych mokradłach, wreszcie zaś jak bohaterowie z AK, którzy właśnie tutaj założyli swój obóz, zostaw samochód pod tutejszą leśniczówką, załóż wygodne buty i wejdź w samo serce rezerwatu. Tam, gdzie zagląda naprawdę niewielu.

FOT. ROMAN KORLAGA

eprasa.pl eda53d7007



eprasa.pl eda58d7007



Sentymentalna przeszłość podlaskiej wsi często nie nadąża za coraz szybciej uciekającą jej współczesnością

Tato, tato! Patrz! Teraz będę Supermanem! Zobacz tylko!". Echo młodego piskliwego głosu niesie się przez las. Idąc przez młodnik niskopiennych świerków, wychwytuję te odgłosy, nie widzę jednak bohaterów tego spektaklu.

Polna ścieżynka, którą odbiłem od przyjemnej asfaltowej szosy prowadzącej na mieścinę Klimki Drugie, powoli zakręca. Przez schylone gałęzie iglaków porastających mało uczęszczaną drogę dostrzegam jakąś biel. Po chwili wszystko jest jasne. Jestem na miejscu. Wysoka na jakieś 15 metrów piaszczysta wydma robi wrażenie. Gęsto posiane świerki ustępują naraz wielkiej piaszczystej połaci. Wilgotna ściółka z mchem naraz ustępuje spękanym, wyschniętym na wiór płatom piachu przypominającego w tym miejscu najbardziej skrywane zakątki nigerskiego odcinka Sahary. Do tego jeszcze te rozrzucone przez wiatr suche gałęzie. Piękna mozaika czystego żywiołu. Ukrytego w lesie przed wścibskim okiem człowieka. Witajcie pod Łysą Górą.

„Tato, skoczę jeszcze raz i możemy iść, dobrze?" – po prawej, najwyższej stronie czoła wydmy widzę wreszcie bohaterów słyszanego od kilku minut dialogu. To ojciec z synem. Pierwszy stoi na wierzchołku. Z dumą patrzy na skaczącego w gigantyczną piaskownicę syna. Urwista skarpa umożliwia dzieciom zabawę, którą długo będą pamiętać. Podobnie zresztą, jak piorące ich rzeczy mamy...

Cud w cieniu gęstego lasu

Centralna część ziemi łukowskiej. Skraj leśnej otuliny. Trzy kilometry stąd przebiega granica oddzielająca Mazowsze od Lubelszczyzny. Właśnie w takim sąsiedztwie przed ...set laty ukształtowała się śródlądowa wydma Łysa Góra.

Jako że wypukłość formowana była pod koniec epoki lodowcowej (przełom plejstocenu i holocenu), materiał, który stanowił o jej budulcu, przypasował jedynie bardzo skąpej szacie roślinnej. Ta zaś z kolei nie była w stanie uchronić piaszczystego podłoża przed wywiewaniem, w ten sposób dopuszczając do systematycznego cofania się wydmy. Tak powstała wydma parabolicz-

eprasa.pl eda53d7007



Jata to raj dla ornitologów

na, o ramionach zwróconych w stronę wiejącego wiatru (ramionach porośniętych dziś roślinnością „przytrzymującą wędrówkę" czoła wydmy).

To prawdopodobnie najpiękniej rozwinięta wydma na całej Nizinie Południowopodlaskiej. Zupełnie nieznana szerszej społeczności. Schowana w cieniu gęstego lasu. Czekająca na swoich odkrywców. Zwłaszcza tych najmłodszych. Dla nich będzie najradośniejszym znaleziskiem.

▶ Ostatni (święty) powstaniec

Po skończonej zabawie synek z tatą podążają przez ocieniony świerkowymi gałęziami bór wąskim duktem leśnym. Z każdym krokiem ścieżka robi się coraz węższa. Naraz jednak się rozszerza. Jakby wszystkie drzewa chciały się jednocześnie rozstąpić, chcąc oddać szacunek temu miejscu. Ta polana nie należy już do nich.

Pośrodku leśnej przesieki widać betonowy obelisk. Wzniesiony na niewysokim kamiennym kopczyku. Jest wizerunek białego orła. Dookoła pomnika przebiega też niski murek. Zwieńczony dwoma metalowymi świecznikami. Na środku wyraźne wgłębienie w ziemi. Niczym niezakopany grób. To miejsce upamiętniające ostatniego kapelana powstania styczniowego.

– Synku, zdejmij czapkę. Pomodlimy się – zarządza ojciec.

– A kto tu leży? – pyta nieśmiało dziecko.

– Nikt.

– To za kogo będziemy się modlić?

– Za bohatera. Tutaj była jego kryjówka. Tutaj żył.

Rzeczywiście. Ksiądz Stanisław Brzóska miał w tym borze swój dom. Otoczone dziś symbolicznym murkiem miejsce na leśnej polanie to zarys wykopanej tu przed laty ziemianki, z której duchowny korzystał jak ze swojego mieszkania. Podczas pobytu w tym miejscu ksiądz mógł liczyć na pomoc leśników. Był rok 1864. Powstanie styczniowe powoli dogasało. Jednak legenda ostatniego powstańca jakby wprost odwrotnie proporcjonalnie do upadającego w narodzie ducha rosła. Nie umknęło to carskim władzom. W swoich rapor-

FOT. STEFAN CZERNIECKI, ROMAN KORŁAGA

eprasa.pl eda53d7007



W miejscu, w którym przed laty w wykopanej w leśnym runie ziemiance ukrywał się ostatni dowódca powstania styczniowego, stoi dziś symboliczny obelisk



Kilka tygodni słońca, a Łysa Góra pod Grzęzówką przypomina polską Saharę

tach informowali, że ksiądz Stanisław jest już uznawany przez okolicznych chłopów za świętego.

Miłość po podlasku

Trudno się dziwić. Wszak przed laty łukowski wikary bezceremonialnie gromił z ambony moskiewskie zakusy na wolność rodaków. W 1861 roku został za to nawet skazany na rok więzienia. Z takim bohaterem chciało się iść w bój. Szło więc wielu podlaskich mężczyzn. Pod dowództwo księdza Brzóski oddawali się kolejni chętni. Pomimo dużych strat w nierównym boju z okupantem oddział nieprzerwanie prowadził swą partyzancką działalność. Dopiero gdy powstanie de facto upadło, ksiądz nakazał swym żołnierzom powrót do domów. Wrócili wszyscy. Poza jednym.

Nazywał się Franciszek Wilczyński. Był adiunktem księdza Brzóski. Za żadne skarby nie chciał zgodzić się na opuszczenie swojego wodza. Razem z nim pragnął nadal ukrywać się w podłukowskich uroczyskach i ostępach.

Minął rok 1864, o powstaniu już nikt nie pamiętał, a ksiądz Brzóska nadal toczył swoją walkę z carskim uciskiem. Za głowę duchownego Rosjanie wyznaczyli niebagatelną nagrodę. Pomimo złudnej wizji bogactwa, nie było wśród okolicznych mieszkańców ani jednego, który zdradziłby kryjówkę bohaterskiego kapłana. Wprost przeciwnie. Co rusz jeden z chłopów wyprawiał się w gęsty bór, aby przynieść księdzu świeży miód, chleb czy kawałek mięsiwa. Razem z napitkiem. Namacalne objawy podlaskiej miłości. Zachowane do dziś.

Od czasu do czasu kryjówki duchownemu udzielał także sołtys wsi Sypytki, pan Bieliński. Wybudował nawet w swojej izbie drugie pomieszczenie, ukryte za specjalną podwójną ścianą. Wróg nie miał więc szans, aby odnaleźć ściganego. Pod jednym warunkiem. Za żadne skarby nie mógł poznać tropu.

Niestety, nastał i taki smutny czas, że wreszcie ów trop zdobył. Zamęczając torturami bezbronną kurierkę, Antoninę Konarzewską. Kobietę, która dostarczała ukrywającemu się księdzu wieści z frontu. Carscy siepacze wymyślali coraz to okrutniejsze męki, aby wymóc na kobiecie zeznania. Ta i tak długo milczała. Umęczone do granic wytrzymałości ciało wreszcie nie wytrzymało. Kobieta podała miejsce ukrywania się duchownego.

eprasa.pl eda53d7007





Leśnicy dbają o pamięć walczących tu niegdyś bohaterów

Pochwyconego kapłana wraz z jego wiernym adiunktem zawieziono na główny plac w pobliskim Sokołowie Podlaskim. To tam we wtorek 23 maja 1865 roku o godzinie jedenastej w obecności 10 tysięcy gapiów powieszono publicznie obu bohaterów. Podobno wszyscy zebrani na placu dokładnie słyszeli, co krzyczał skazany ksiądz. A miał wołać: „Żegnajcie bracia i siostry, i wy małe dziatki. Ginę za naszą ukochaną Polskę, która przez naszą krew i śmierć...” I tu resztę miały zagłuszyć narastające żołnierskie werble. Świadkowie twierdzili, że kapelan powstania powiedział wówczas, że ginie za Polskę, która w przyszłości będzie wreszcie niepodległa. Miał rację.

Las jak gotycki tum

„To za nich się pomodlimy, synku...” – stojący przed obeliskiem mężczyzna zdejmuje czapkę.

To nad wyraz wyjątkowa scena. Dziejąca się w samym środku ciemnego boru. Pod kamiennym pomnikiem. Między starymi jodłami i świerkami. W blasku powolutku zachodzącego słońca. I tych dwoje – ojciec z synem oddający hołd bohaterom.

Przepięknie o tej leśnej polanie, o tym miejscu pamięci przemawiał w styczniu 1930 roku Aleksander Janowski. „Gdy ciszy wieczór ogarnie półzmrokiem stary ostęp jodłowy, gdy przez subtelne gałązki prześwieca złocista łuna zachodu, całość wygląda jak wyniosła nawa gotyckiego tumu, wspartego na potężnych kolumnach szarego granitu, a oświetlonego pozłotą drobnych szybek z olbrzymich witrażów okiennych świątyni. W blaskach zachodzącego słońca srebrzy się biały orzeł, dla którego poświęcili życie kapłan dowódca i jego wierny adiutant, a na szczycie granitowego obelisku połyskuje złociste godło zbawienia, rozciągając błogosławiące ramiona nad tą krainą Podlasia i jego wiernym ludem”.

Walcząca puszcza

Pomnik księdza Brzóski to jednak niejedyne miejsce w tym borze, które upamiętnia naszych bohaterów. Można by rzec, że Puszcza Jata ma szczęście do prawdziwych patriotów. Musieli w niej widzieć kawałek wolnej Polski. Musieli czuć się tutaj bezpiecznie. Tu bowiem, w sercu rezerwatu, swój tajny obóz partyzancki

FOT. STEFAN CZERNIECKI (3)

eprasa.pl eda53d7007



W sąsiedztwie rezerwatu Jata znajduje się poligon Jagodne

założyli akowcy. Tutaj szkolono żołnierzy do kolejnych akcji. Stąd dowodzono zbrojnymi akcjami na pobliskie posterunki niemieckich okupantów.

Do leśnego obozu AK oraz NSZ założonego wiosną 1943 roku można było dotrzeć wyłącznie od strony wsi Żdżary. Wszystkie pozostałe ścieżki i drogi prowadzące przez las do obozu były zaminowane. Dodatkowo bliska obecność bagien i gęstego lasu stwarzały dogodne warunki do skutecznej obrony przed najeźdźcą. I rzeczywiście. Obóz nigdy nie został zdobyty. Nigdy nie stanęła tu niemiecka stopa. Hitlerowcy bali się nie tylko dzielnych Polaków. Obawiali się tej puszczy, która zdawała się walczyć wespół z obrońcami ojczyzny.

Dziś te same bagna, te same jodły, te same świerki i sosny oraz leżące w runie leśnym gałęzie chronią pamięć. Wszystkich tych, którzy tak mocno pokochali tę ziemię.

Zamiast wsi – poligon

Gęsty. Momentami wręcz mroczny. Ze smukłymi pniami wysokich świerków, sosen i jodeł. Obecność tych ostatnich jest tu chyba najbardziej fascynująca. To w końcu właśnie dla nich ustanowiono tutaj rezerwat. W tym miejscu w Polsce przebiega północna granica jej naturalnego występowania. Lekko połyskujące, jakby posrebrzane pnie ciemnych jodeł najbardziej majestatycznie jawią się podczas gry ze słonecznym światłem. Gdy promyki przesuwającego się subtelnie po nieboskłonie słońca raz po raz delikatnie uchylają grubą kołdrę leśnej pierzyny. Tej samej, której uosobieniem są gęste korony drzew, porośnięte mchem kory czy nawet kilkumetrowe sieci utkane przez pracowitego pająka. Właśnie wtedy i tylko wtedy, gdy ta pierzyna zostaje na moment uchylona, rezerwat Puszczy Jata wygląda dokładnie jak ten sprzed kilku wieków. Gdy dzielni Polanie zaganiali w pułapki licznie występującą tu (także dziś) zwierzynę. Gdy pracowici mieszkańcy wsi o nazwie Jagodne siłą własnych mięśni każdego dnia usiłowali zagarnąć puszczy cokolwiek dla siebie. Aby móc tutaj i żyć. I pracować.

Tak schowane przed hałaśliwym lasem wsie stanowiły istny rarytas. Także dla króla. Nie dziwne więc, że w XVI wieku wspomniana wieś Jagodne otrzymała status tzw. wsi królewskiej. Jeszcze w 1921 roku miało tu mieszkać 377 mieszkańców. Żyli w 56 domach. Zajmowali się głównie obróbką drewna i produkcją gontu na dachy. Dziś nie ma tu już wsi. Nie ma dzielnych mieszkańców. Część zginęła podczas wojny. Resztę władza kazała przesiedlić, aby móc wybudować w tym miejscu poligon. Poligon ostał się do dziś. Po wsi Jagodne została zaś tylko nazwa. Leśnego uroczyska.

Puszcza Białowieska w miniaturze

„Bo wie pan..." – zawiesza na moment głos pan Grzegorz, leśnik łukowskich lasów. „Dla pana coś rzeczywiście może być tutaj zjawiskowe i nadzwyczajnie piękne. Dla mnie zaś po tylu latach pracy tutaj może być już zupełnie na odwrót".

Dobrze wiem, że mówi tak przez skromność. Żeby nie afiszować się zanadto skarbem, jaki skrywa ta ziemia. Niejednokrotnie widziałem niebanalne zdjęcia uchylające wieko skrzyni skarbów, jaką stanowi wnętrze Puszczy Jata. Jedynego boru jodłowego zachowanego w takim stanie w całym naszym kraju. Tak pięknie oddającego minione wieki. Można odnieść wrażenie, że tutaj każdy trzask nadeptywanej przypadkiem gałęzi, każde zerwanie się wichury, każde wycie wilka pochodzi jakby z dawnych czasów.

Rezerwat Jata to najstarszy obok Puszczy Białowieskiej chroniony obszar w Polsce. Słynniejszą krewną z okolic Białowieży państwo polskie objęło ochroną przyrodniczą jeszcze w 1932 roku. Puszczę Jata ledwie rok później. Prawdopodobnie właśnie przez to podłukowski rezerwat nazywają często „Puszczą Białowieską w miniaturze". Dodajmy tylko, że mowa o miniaturze bardzo pomniejszonej. Dokładnie 280 razy. I dziś naj-

eprasa.pl eda53d7007

prawdopodobniej miniaturze przerastającej pięknem słynniejszy oryginał.

Zakopany traktor

– Wybierasz się do Jaty? – zaczepia mnie znajomy miejscowy fotograf zwierząt. Jego udekorowany w leśne barwy maskujące jeep właśnie zatrzymał się na zaśnieżonej po łydki drodze.

– Tak, chciałbym zobaczyć rezerwat zimą – odpowiadam, zaskoczony spotkaniem.

– Jest cudowny – odpowiada Romek. – Pamiętaj tylko, żeby jechać przez Łuków. Wszystkie pozostałe drogi lokalne są przysypane. Zakopiesz się. Dwa dni temu mój brat z bratową zakopali się, jadąc do Siedlec. Traktor miał ich wyciągać.

– I co? Wyciągnął?

– Nie. Też się zakopał.

Tak, podlaska zima od zawsze różniła się od tej w pozostałej części kraju. Zawsze miała bardziej surowe oblicze. Nie inaczej jest dziś. Wszystko jest przepięknie białe. Na drogach rzeczywiście nie widać ani centymetra asfaltu. Piaskarka i pług dawno odpuściły sobie to miejsce. Miejscowi muszą sobie radzić sami. I radzą.

– Zobacz, co mi się udało upolować – Romek wyjmuje aparat. Najwidoczniej wraca właśnie z porannych zdjęć. – Dzik mi przebiegł obok. Pędził wprost na mnie. Coś go musiało spłoszyć – po oczach Romka widzę, że ewidentnie nadal jest pod wrażeniem sfotografowanego zwierza. – Tylko, kurczę, gdy miałem mieć najlepszy kadr, akurat schował mi się za drzewo. A tak mu się pięknie biały puch spod kopyt unosił, no...

Śniegołomy, śniegowały i jodła

Następnego dnia do serca rezerwatu Jata wybieram się także ja. Jak można się było spodziewać, parking pod leśniczówką pusty. Dzisiaj będę w borze sam. Słupki rtęci pokazują w tej chwili minus 17 stopni Celsjusza. Martwię się o baterie w aparatach. Czy wytrzymają, zanim dojdę na miejsce?

Ruszam raźno. Ciszę tego miejsca mąci jedynie chrzęst wydobywający się spod moich butów, czasem podmuch wiatru. Naraz: trach! – na moich oczach odłamuje się zdrowy kawał drzewa. Najwyraźniej przywalony śnieżną otuliną nie dał rady dźwigać dłużej tego ciężaru. Przewalony konar tworzy w ten sposób tak zwany śniegołom. Gdyby upadło całe drzewo, powstałby z kolei śniegował. Dziś Jata pełna jest podobnie poprzewalanych drzew i konarów. Trudno się jednak dziwić. Policzono, że metr sześcienny mokrego śniegu potrafi ważyć nawet 800 kilogramów. Zaś topniejącego śniegu już 900 kilogramów. To de facto więcej niż metr sześcienny drewna sosnowego.



Drewniana rzeźba zaprasza do wejścia na teren rezerwatu

Dziś mamy pogodowy wyż. Słońce przepięknie podkreśla cienie wysokich świerków i jodeł. Na leśną ścieżkę naprzemiennie padają cienie kolejnych drzew. To jeszcze jeden fenomen Jaty. Z jednej strony jest jasno: wszak na zegarku nie ma jeszcze jedenastej. Z drugiej – Jata cały czas spowita jest subtelnym cieniem. Delikatnym półmrokiem. To oczywiście efekt rozłożystych koron rosnących tutaj drzew. To właśnie owa ciemność przeważyła, że miejsce to tak bardzo upodobała sobie jodła. Gatunek, który w normalnych warunkach występuje jedynie w górach. Jej obecność tutaj, na tak niskiej wysokości, sprawiła, że powstał rezerwat Jata.

***

Przed 250 laty ten bór wyglądał najprawdopodobniej właśnie tak jak teraz. Nic tu się nie zmieniło. Bo i nie miało za bardzo przez co. Do serca rezerwatu nie wchodzą dziś nawet leśnicy. Chyba że prywatnie. Nie są tu dokonywane żadne poprawki, przycinki, ingerencje. Ten fragment boru jest więc zbliżony do naturalnego. Takiego, jakim widzieli go nasi przodkowie. I chociażby dlatego tak bardzo cieszę się, że dane mi było tutaj trafić. I zaprosić na tę sentymentalną wędrówkę przez to, co dawne, także Ciebie. Ufam, że było warto. ■

FOT. STEFAN CZERNIECKI (2)

eprasa.pl eda53d7007



Marek Kalinowski

W południowych promieniach słońca

Czy da się połączyć muzykę Rodriga z Bachem? Dla pianisty Aleksandra Dębicza i gitarzysty Łukasza Kuropaczewskiego nie ma rzeczy niemożliwych. Nawet melancholię „Gnossienne" rozjaśniają promieniami hiszpańskiego słońca, a gdy niespodziewanie dołączy do nich głos Jakuba Józefa Orlińskiego, trudno o wątpliwości, że „Adele" to jedna z tych płyt, które na długo zostają w pamięci.

„Adela" to kolejna niezwykła płyta, którą najprawdopodobniej zawdzięczamy pandemii. Zatrzymanie w jednym miejscu wybitnych artystów i współpraca nad tak rozległym, oryginalnym i dopracowanym repertuarem wymagała zapewne niemało czasu i w innych warunkach mogłaby w ogóle nie dojść do skutku. Pianista Aleksander Dębicz oraz wirtuoz gitary Łukasz Kuropaczewski dokonują zaś rzeczy niemożliwych, zabierając słuchaczy w zajmującą podróż po rozlicznych muzycznych fascynacjach.



Aleksander Dębicz, Łukasz Kuropaczewski, ADELA, Warner Classic

Już samo połączenie dźwięków gitary i fortepianu wydaje się dość rzadkie i wcale nie oczywiste. A dodatkowo połączenie w jednym utworze Joaquína Rodriga z Bachem – to już prawdziwy majstersztyk! Tymczasem Łukasz Kuropaczewski i Aleksander Dębicz łączą wątki, wydawałoby się zupełnie niemożliwe do spotkania. Okazuje się, że „Concierto de Aranjuez" z koncertem fortepianowym f-moll BWV 1056 współgra doskonale, rozświetlając utwór blaskiem hiszpańskiego światła. Ścieżki gitary i pianina w cudowny sposób przenikają się, zahaczając o wspólne punkty i zmieniając role. W efekcie fortepian Dębicza przejmuje rolę gitary, a Kuropaczewski ma wyjątkową okazję do zmierzenia się z dziełem Bacha.

Jeśli pójdziemy dalej tropem gorącego Południa, zupełnie na miejscu okaże się kolejny utwór – muzyczny temat z czołówki serialu „Narcos", który przenosi nas w myślach w prześwietlone słońcem kadry Ameryki Południowej. To także kontynuacja filmowych fascynacji Aleksandra Dębicza, które już wcześniej rozwijał na płycie „Cinematic Piano".

Gdyby nie pandemia, zapewne trudno byłoby także przyciągnąć do nagrań znakomitego kontratenora Jakuba Józefa Orlińskiego. Rozchwytywany na świecie artysta rzadko gościł na występach w Polsce. Czytelnicy „Nowego Państwa" być może pamiętają jego ostatnią płytę „Faccio di'amore", o której pisaliśmy w ubiegłym roku. We wspólnym projekcie z Dębiczem i Kuropaczewskim śpiewak ma okazję ruszyć tropem kolejnych miłosnych opowieści, choć jakże różnych od jego barokowego repertuaru. Improwizacja, którą słyszymy w tytułowej „Adeli", porusza w sposób niezwykły, a niepowtarzalna barwa głosu Orlińskiego wywołuje ciarki na ciele. Artystę słyszymy jeszcze dwukrotnie na płycie, w autorskiej kompozycji Dębicza „Quarantine Song" oraz „Áqua e Vinho" Egberto Gismontiego.

Na krążku nie brakuje utworów podnoszących temperaturę, jak na samym początku w kolejnej kompozycji Dębicza „Recipe" (to podobno na cześć talentu kulinarnego gitarzysty), radosnym „Pedro", „Domingo" Domenico Scarlattiego czy w nasyconym flamenco słynnym „Asturias" Isaaca Albeniza. Repertuar wręcz idealny dla mistrzowskiej gry Łukasza Kuropaczewskiego. Jednak „Adele" przynosi przede wszystkim wiele momentów do refleksji. Gdy z głośników płyną dźwięki Gnossienne No. 1 Erika Satiego czy zupełnie już współczesne i niestety wciąż aktualne „Quarantine Song", czas staje w miejscu. Te niezwykłe chwile warto zachować na normalne czasy. ■

eprasa.pl eda53d7007

stop cafe

BUDZI APETYT NA ŻYCIE

ORLEN

NOWOŚĆ



Twoje śniadanie na ciepło!

Dostępne na wybranych stacjach ORLEN, o ofertę zapytaj sprzedawcę.

eprasa.pl eda53d7007



FOT. LESZEK SZYMAŃSKI/PAP

Trzeba wzmacniać sojusz transatlantycki

Maciej Kożuszek



Rosja próbuje wykorzystać moment, w którym Niemcy i Francja przy wsparciu kilku innych graczy chciałyby w sposób istotny poprawić stosunki z Rosją, bez oglądania się na jej agresywną politykę i łamanie praw człowieka. Taki stan rzeczy widać już nie tylko w wypowiedziach przywódców, lecz także w podejmowanych działaniach. Wszystko wbrew stanowisku państw Europy Środkowej i Wschodniej, a zwłaszcza wbrew interesowi takich państw jak Ukraina i Gruzja. W świetle takich tendencji jedność UE w sprawach zagranicznych i bezpieczeństwa staje pod znakiem zapytania. A prezydent Macron, kanclerz Merkel i Josep Borrell coraz częściej używają terminu „interes Unii", utożsamiając go z interesem największych graczy – **z Anną Fotygą**, europoseł, sekretarz generalną partii Europejskich Konserwatystów i Reformatorów, **rozmawia Maciej Kożuszek**.

eprasa.pl eda53d7007

▶ W związku ze zmianą prezydenta w Stanach Zjednoczonych wielu spodziewa się nie tylko zmian politycznych, lecz także zmiany atmosfery, mniejszej tolerancji dla tego, co lewica nazywa „prawicowym populizmem". Czy tę zmianę atmosfery widać też w instytucjach europejskich? Na czym ona polega?

W grudniu i w listopadzie ubiegłego roku, tuż po wyborze Joego Bidena, widać było sporą radość wśród europejskich polityków. Jednak już po kilku tygodniach powrócił dobrze znany w Parlamencie Europejskim dystans do Stanów Zjednoczonych. Elity unijne i niektóre stolice postulują balansowanie między USA, Rosją i Chinami, zupełnie ignorując fundamentalne różnice dzielące te państwa. Jest to bardzo niebezpieczna koncepcja dla naszego regionu. W trudnym czasie trzeba wzmacniać sojusz transatlantycki, niezależnie od rezultatu wyborów w USA czy w Kanadzie. Europa Środkowa i Wschodnia świetnie to rozumieją. I to one lepiej rozpoznają znaki czasu.

▶ Czy to nie pewien paradoks, że w UE, gdzie Trump był nieustannie krytykowany za psucie stosunków z Europą, teraz pojawiają się głosy o autonomii europejskiej, gdy w Białym Domu zasiada prezydent przynajmniej w teorii bardziej proeuropejski?

Dążenie do autonomii europejskiej jest tendencją, która zawsze była obecna i będzie obecna także w przyszłości. Jej propagatorom nie przeszkadza nawet brak jasnej definicji pojęcia „autonomia europejska". Czy ma się ono odnosić do konkurencji między europejskim a amerykańskim przemysłem obronnym, czy generalnie do konkurencji gospodarczej, czy może wręcz do usamodzielnienia się strategicznego, co jest kompletnie nierealne? Pewne sformułowania, które padały ze strony administracji Trumpa, były wykorzystywane przez zwolenników zachowania dystansu między Europą a Stanami Zjednoczonymi. Tymczasem w rzeczywistości Stany Zjednoczone stale zwiększały swoje zaangażowanie w Europie, w wymiarze militarnym i finansowym. Proces ten rozpoczął się jeszcze za administracji Obamy, a następnie został wzmocniony podczas prezydentury Donalda Trumpa. W swoim wystąpieniu na Monachijskiej Konferencji Bezpieczeństwa prezydent Joe Biden tę ofertę jeszcze wzmocnił. Czas pokaże, jak Europa odpowie na tę inicjatywę Waszyngtonu.

▶ Czy jednak Polsce nie będzie trudniej przekonać nową administrację do swoich racji?

Uważam, że w przypadku Stanów Zjednoczonych mamy do czynienia z pewnymi procesami, które będą kontynuowane, niezależnie od zmian politycznych. Najczęściej skupiamy się na sprawach bieżących, najbardziej widocznych, wizerunkowych, ideologicznych. Istotą naszego sojuszu jest jednak wymiar strategiczny, sprawy bezpieczeństwa, wspólne postrzeganie zagrożeń i szans. Nasze wzajemne relacje to wieki wspólnej historii. Niezależnie od sympatii politycznych mówimy tu o relacjach międzypaństwowych i najważniejszym dla Polski sojuszu. Dlatego nie przewiduję wielkich zmian, nawet pomimo pewnych różnic ideologicznych.

▶ A czy nie jest tak, że w tych kwestiach właśnie wizerunkowych czy ideologicznych Bruksela zyskała niezwykle mocnego sojusznika i w związku z tym będzie łatwiej stawiać Polskę pod pręgierzem?

Z takim stosunkiem do Polski w Brukseli mamy do czynienia od wielu lat, niezależnie od tego, kto zasiada w Białym Domu. Więc te głosy nadal będą się pojawiały. To jednak nie powinno zmieniać istoty naszych celów. Podczas prezydentury Donalda Trumpa dbałam o utrzymywanie kontaktów ponad podziałami politycznymi w Stanach Zjednoczonych czy Kanadzie, o której nie możemy zapominać. Wówczas nie doświadczałam większych problemów i teraz dalej uważam, że można i trzeba się komunikować, szukać wspólnych płaszczyzn współpracy, wykorzystywać te kanały, które są dostępne. Nie zapominajmy, iż także w sferze wartości Polska ma niezwykle wiele do zaoferowania. Wiarygodnie odwołując się do dziedzictwa Solidarności, możemy promować demokrację czy stawać w obronie praw człowieka. Robię to na co dzień w Parlamencie Europejskim, także z partnerami amerykańskimi. Nasz region Europy tradycyjnie był jednym z najbardziej transatlantyckich i Polska powinna dalej być w tym względzie bardzo aktywna. Utrzymywanie kontaktów zarówno po stronie republikańskiej, jak i demokratycznej to stały punkt naszej polityki. Zdolność porozumiewania się z naszym najważniejszym sojusznikiem, ponad jego i naszymi podziałami politycznymi, jest polską racją stanu.

▶ Rozmawiamy w kluczowym momencie, administracja Bidena dokonuje przeglądu polityki wobec Nord Stream 2 i ciągle możliwe jest, że na przykład ostatecznie podejmie decyzję o rezygnacji z sankcji. Czy ma Pani w związku z tym obawy?

eprasa.pl eda53d7007

Sprawa Nord Stream, a potem Nord Stream 2 była przedmiotem mojego zainteresowania oraz ostrej krytyki już od 2006 roku i przez te wszystkie lata sytuacja wielokrotnie w tym zakresie się zmieniała. Było nam łatwiej, gdy ze strony Stanów Zjednoczonych była silna presja, ale również Amerykanie potrzebują naszej aktywności. Senator Cruz wnioskując rok temu o pakiet najdalej idących dotychczas sankcji wobec wykonawców Nord Stream 2, powoływał się na zapisy rezolucji Parlamentu Europejskiego, których byłam autorką. W tym roku PE już dwukrotnie zdecydowaną większością głosów wzywał do zablokowania tego szkodliwego projektu. Nieustanna presja jest niezbędna. Czy mam obawy? Zawsze mam obawy, ale to nie zmienia mojego postępowania. Trzeba cały czas naciskać, trzeba cały czas podkreślać nasz sprzeciw. To nie jest łatwe, lecz bywa skuteczne. Dziś znam już kolejne amerykańskie decyzje w sprawie sankcji związanych z Nord Stream 2 i uważam je za zbyt słabe. Musimy jednak pamiętać, że każda amerykańska administracja rozpoczynała relacje z Rosją ostrożnie, by ostatecznie zostać jednak liderem Zachodu, prowadząc twardą politykę wobec Kremla. Tym razem również zalecam cierpliwość.

▶ A jak wyglądają nastroje polityków europejskich, z którymi przecież często Pani rozmawia? Czy dominuje przeświadczenie, że projekt NS2 za chwilę zostanie ukończony, czy wręcz przeciwnie – stoi to pod znakiem zapytania?

Niestety nawet w najlepszych dla nas momentach po stronie polityków europejskich nigdy nie było takiego przeświadczenia, że ten projekt został na dobre zatrzymany. Z doświadczenia wiem, że politycy nie są w stanie przewidzieć wszystkiego, nie zawsze kalkulacje wielkich graczy się sprawdzają. Czasem po prostu wygrywa słuszna sprawa. W Parlamencie Europejskim, gdy doprowadzamy do głosowania imiennego, otwartych zwolenników Nord Stream 2 jest mniej niż stu, głównie ze skrajnej lewicy i prawicy, a także państw, których firmy zaangażowane są w ten projekt. Zdecydowana większość, około 500 europosłów, sprzeciwia się temu projektowi. To efekt naszej mozolnej pracy, dostarczania przeróżnych argumentów. Z naszymi racjami musimy docierać jednak szerzej, do europejskich społeczeństw, klientów firm zaangażowanych w Nord Stream 2.

▶ Niemieckie media donosiły o ofercie „pakietu bezpieczeństwa", który miałby umożliwić dokończenie gazociągu. Na pakiet miałaby się składać obietnica dalszego przesyłu gazu przez Ukrainę i wprowadzenie mechanizmu, który zamykałby Nord Stream 2 w momencie, „gdy Rosja używałaby go do celów politycznych". Czy takie propozycje nie są jednak skrajnie naiwne?

Od lat politycy „rozumiejący Rosję" oszukują siebie i zmuszają nas, a także rosyjską opozycję, do akceptacji tego oszustwa. To na wiele się nie zda. Nie ma narodu, który bardziej niż my chciałby dobrych relacji z Rosją. W mojej ocenie Rosji Putina nie zależy na dobrych relacjach z Zachodem. Surowce energetyczne traktuje jako narzędzie presji, instrument ekspansywnej polityki zagranicznej. Tę kartę rozgrywa konsekwentnie i skutecznie. Ale nie jest to jedyne narzędzie Moskwy wywierania wpływu na Zachód. Wciąż wiele pozostaje do zrobienia, by ukrócić nie tylko pranie, lecz także inwestowanie brudnych pieniędzy, sprzedaż wiz czy nawet obywatelstwa. Pewne rzeczy ulegają poprawie, coraz więcej mechanizmów jest demaskowanych, ale wciąż brakuje zdecydowanych działań, konsekwencji.

▶ Co stało Pani zdaniem za tak spektakularną klęską Borrella w Moskwie? Czy może w ogóle nie powinno do niej dojść?

Spotkanie było upokarzające dla Josepa Borrella. Siergiej Ławrow jest znany z umiejętności aroganckiego rozgrywania takich sytuacji. W dyplomacji niekiedy trzeba podejmować ryzyko, ale w tym przypadku szansa powodzenia była minimalna. Niewątpliwie Kreml chciał pokazać Unii Europejskiej, że nie traktuje jej jako poważnego partnera. Oszczędzę sobie dalszych analiz.

▶ Może ta tendencja powrotu do koncepcji dogadywania się z Rosją jest pochodną myślenia o Chinach jako głównym wyzwaniu i postrzegania Rosji jako już zmarginalizowanej?

Jakiś nurt polityki Zachodu niewątpliwie kieruje się takimi przesłankami. Rozumienie wyzwań płynących ze strony Chin nie powinno powodować osłabienia reakcji na bardzo agresywną i niebezpieczną politykę Rosji. Mówię to jako ekspert grupy refleksji NATO. Nie jest już tajemnicą, że jako jedyna sprzeciwiałam się konsultacjom w Moskwie, zabiegając także, aby w przygotowanych przez nas rekomendacjach hierarchia zagrożeń nie tylko odzwierciedlała nasze interesy czy obawy, lecz także oddawała fakty.

eprasa.pl eda53d7007

Moje argumenty, a przypomnę, że byłam jedyną reprezentantką regionu, ostatecznie zostały przyjęte. Mówię to także jako polityk, osoba, która od dawna, w tym jako przewodnicząca podkomisji bezpieczeństwa i obrony PE, wyprzedzając presje USA, starała się oceniać i zrozumieć strategie polityki wewnętrznej i zagranicznej Chin. Wyniki moich obserwacji uważam za bardzo niepokojące. Przypomnę tylko o rosyjsko-chińskich ćwiczeniach na Bałtyku. Różnię się, jak sądzę, w swoim podejściu od wielu kolegów. Żyjemy w czasach, kiedy wiele zagrożeń występuje jednocześnie, i musimy tej sytuacji sprostać.

▶ Wielu przeciwstawia się zwracaniu uwagi na naruszenia praw człowieka w Chinach, nazywając to podejście jakimś zachodnim idealizmem. Jednocześnie chyba jednak nie zauważa się, że interesy z Chinami zawsze obarczone są jakimiś kosztami. Chińskie firmy i chińskie państwo chcą narzucać swoje zasady także państwom zachodnim. Zwraca się na to już powoli uwagę w USA. Czy taka sama refleksja pojawia się w Europie?

Skala naruszeń praw człowieka i innych norm prawa międzynarodowego przez Chiny jest ogromna. Lekceważenie tego faktu przez Europę może okazać się bardzo kosztowne. Sprzeciwiam się jednak stanowczo próbom stygmatyzowania z tego powodu naszego regionu. Przecież to Parlament Europejski kupił system monitorowania wyprodukowany w prowincji Sinciang, najprawdopodobniej przy pomocy przymusowej siły roboczej. Gdy w mieszkaniu, które wynajmuję w Brukseli, podnoszę dowolny sprzęt i oglądam etykietkę, widzę napisy chińskie. To są realia Europy Zachodniej, funkcjonujące od bardzo dawna. Obserwuję te zjawiska także z perspektywy absolwentki handlu zagranicznego i w działaniach Chin widzę bardzo świadomą politykę ekspansji. Często mówi się, że gospodarka jest narzędziem polityki w przypadku Rosji, ale bardzo rzadko zwraca się na to uwagę w odniesieniu do Chin. To systemowy rywal, bardzo wyrafinowany. Jeśli przynosi mu to korzyści, działa bardzo brutalnie. Przekonały się o tym niedawno Australia i Kanada, ale także państwa Afryki czy Ameryki Południowej, doświadczające presji na wycofanie uznania Tajwanu jako suwerennego państwa. Z drugiej strony Pekin potrafi również nałożyć białe rękawiczki i nosić je z pełną nonszalancją.

▶ Mówiła Pani ostatnio, że umowa o handlu UE z Chinami nie powinna być w obecnym kształcie zaakceptowana. Czy chodzi tu tylko o kwestie praw człowieka, czy też, Pani zdaniem, ta umowa nie leży po prostu w interesie Europy?

Być może bardziej kieruję się tu pewną refleksją filozoficzną niż praktyczną. Mam głębokie przeświadczenie, że najważniejsze strumienie wymiany handlowej, relacji gospodarczych powinny iść w parze z sojuszami w dziedzinie bezpieczeństwa. Dyskusje o tej wielkiej umowie inwestycyjnej próbuje się sprowadzić na poziom czysto pragmatyczny, że oto mamy przecież bardzo złą sytuację w związku z pandemią, a ta umowa przynajmniej trochę nam pomoże. Ta umowa rzeczywiście trochę tę sytuację poprawia. Choć jest to umowa inwestycyjna, która mówi niewiele o zabezpieczeniu inwestycji. Mówi o dostępie do rynku. A to może pozwolić Chinom na wyznaczanie tego, kto będzie mógł być dla nich partnerem w interesach. Podobną metodę stosował Kreml, kiedy zawierał z Unią umowy na przykład w sprawach rolnych albo sanitarnych. A ostatecznie to przedstawiciele Kremla mieli decydować, która firma jest pożądana, a która nie.

W przypadku Chin bardzo dobrym polem doświadczeń może być na przykład to, co dzieje się w Hongkongu. I nie chodzi tu tylko o sprawy bezpieczeństwa czy praw człowieka, lecz także o kwestie gospodarcze. Widzimy stopniowe przejmowanie przedsiębiorstw, a Chiny kontynentalne stosują całą gamę narzędzi, za pomocą których przejmują kontrolę nad zarządami firm – które do tej pory działały na innych zasadach – w Hongkongu, który długo był ostoją wolnego handlu, ważnym centrum finansowym.

Drugie ważne doświadczenie to przykład Australii. Tu też mamy ewidentne zaprzeczenie deklaracji Chin, że wszystkie kontakty gospodarcze mogą odbywać się z pominięciem sfery polityki. Umowa pomiędzy państwami została zawarta w 2014 roku i również dotyczyła ułatwień w handlu. Gdy podczas pandemii rząd Australii spróbował skrytykować Chiny za ich zachowanie związane z pandemią, ukrywanie faktów przed światową opinią publiczną, bardzo szybko okazało się, że Chiny mogą jednak użyć umowy gospodarczej jako narzędzia politycznego odwetu i w kluczowych dla Australii dziedzinach przywrócono wyższe cła.

Unia rozpoczęła prace nad umową z Chinami w 2013 roku. Od tego czasu w wielu obszarach zaszły fundamentalne zmiany, Komunistyczna Partia Chin wdrożyła konkretne polityki, które nie są korzystne dla wolnego świata. Pośpiech w zawarciu umowy tylko potwierdza moje obawy. Na szczęście w Parlamencie Europejskim wraz z kilkoma kolegami z różnych grup politycznych zabiegam, by nie spieszyć się z jej ratyfikacją. Należy pochylić się nad jej dalekosiężnymi skutkami i szczegółami, które przecież nie są jeszcze znane opinii publicznej. Mam tu nam myśli na przykład ułatwienia ściągania pracowników z Chin czy kwestie praw intelektualnych. ■

eprasa.pl eda53d7007

Ryszard Czarnecki

Najkrótsza historia Francji według Czarneckiego...

To nieprawda, że komunizm był pierwszym ustrojem, w którym, jak pisał jego wyznawca, sowiecki poeta Włodzimierz Majakowski: „Jednostka – zerem, jednostka – bzdurą, sama nie ruszy pięciocalowej kłody". Wszystko wtedy miało być podporządkowane rewolucji, łącznie z nauką.

Tymczasem już w czasach Wielkiej Rewolucji Francuskiej, zwanej też przez wielu antyfrancuską, Konwent skazał na śmierć członka Paryskiej Akademii Nauk, uważanego za „ojca nauk chemicznych", Antoine'a Lavoisiera. Uczony poprosił przed egzekucją, aby ją wstrzymać, ponieważ chciałby dokończyć bardzo ważny eksperyment naukowy, który może mieć świetne skutki dla całego narodu. Wówczas padły słynne słowa, których autorem był inny Antoine – Fouquier-Tinville, który stwierdził: „Republika nie potrzebuje chemików ani uczonych. Bieg sprawiedliwości nie będzie wstrzymany".

Jak widać, rewolucyjny terror nie narodził się za Lenina, Trockiego, Dzierżyńskiego i Stalina, tylko 130 lat wcześniej.

Oczywiście w tejże Francji karą śmierci szafowano również za czasów monarchii. Jednak trup słał się tam dużo mniej gęsto, a i skazańcy mieli czasem luksus wyboru, jak mogą umrzeć. Błazen króla Ludwika XII i jego syna Franciszka I – Nicolas Ferrial, czyli Le Fevrial (1479–1536), znany też jako Triboulet, obśmiał kiedyś królową, która śmiertelnie (sic!) obrażona tak długo wierciła mężowi dziurę w brzuchu, że ten w końcu skazał błazna na karę śmierci. Pozwolono mu jednak wybrać, jak ma rozstać się z ziemskim padołem. A ten oświadczył: „Po namyśle wybieram śmierć... ze starości". Franciszek I miał poczucie humoru i skazał go na banicję, tak więc życzeniu błazna stało się zadość.

Zanim jednak Triboulet stał się banitą, król Franciszek został poproszony przez hiszpańskiego władcę Karola V o pozwolenie przemarszu jego wojsk przez Francję w celu stłumienia powstania w Niderlandach. Wówczas błazen odezwał się: „Jeśli on tak zdaje się na łaskę Waszej Wysokości, to zapisuję go w mojej księdze jako największego idiotę". Na co Franciszek I zapytał: „A jeśli jednak go przepuszczę?". Wtedy Le Fevrial skłonił się i powiedział: „Wówczas w owej księdze skreślę jego imię i wstawię imię Waszej Królewskiej Mości".

Ta wędrówka po francuskich dziejach od wielkiej rewolucji antyfrancuskiej przez XV i XVI wiek zatacza koło do czasów współczesnych. Rzecz działa się w bliskim mi Strasburgu, tym samym, w którym znajduje się nieużywana z powodu pandemii siedziba Parlamentu Europejskiego. Gdy prezydent Charles de Gaulle wizytował stolicę Alzacji, słynny mer tego miasta Pierre Pflimlin powiedział: „Panie Generale, trzeba zrobić wszystko, aby nie dopuścić do zjednoczenia Niemiec. Nie przestaję o tym myśleć od 30 lat". Na co de Gaulle: „Ja to powtarzam od tysiąca lat!".

Cóż, francuski socjalista (choć za młodu radykalny prawicowiec) François Mitterrand jako prezydent Republiki jakoś nie wszedł w buty de Gaulle'a i na zjednoczenie RFN i NRD przystał.

Przed chwilą przedstawiłem refleksję na temat jednego naszego sąsiada. A teraz rzecz, która miała miejsce u drugiego (jak wiadomo, sąsiadów ma się z konieczności, a nie z wyboru). Aleksander Dumas (ojciec) podróżując po Rosji, przyjechał do jednego z miast i chciał obejrzeć największą miejscową księgarnię. Uprzedzony o tym jej właściciel kazał zapełnić regały... wyłącznie dziełami Dumasa. Gdy tylko Francuz wszedł, zapytał osłupiały: „Zaraz, zaraz, a gdzie się podziały dzieła innych autorów?". Równie przerażony co nadgorliwy właściciel księgarni zamarł, po czym po gonitwie myśli wydukał: „Wy-wy-wyprzedane".

Niedawno obchodziłem 58. urodziny i wiem, że każdego dnia jestem coraz starszy. Dlatego też często powtarzam sobie dialog między królem Ludwikiem XVIII a wielkim Talleyrandem. Książę Talleyrand, przeciwnik wojny Francji z Hiszpanią, usiłował odciągnąć od niej króla, mówiąc: „Wasza Królewska Mość, jestem już na to za stary". Na co Ludwik XVIII rzekł: „Pan nie jest za stary, bo ambicje nie starzeją się nigdy"... ■

eprasa.pl eda53d7007



Olga Doleśniak-Harczuk



Obrazy niemieckiej pamięci



eprasa.pl eda53d7007



Po niedawnym wywiadzie udzielonym przez prezydenta Niemiec, Franka-Waltera Steinmeiera, dziennikowi „Rheinische Post" (6.02.2021) wiele osób na nowo zaczęło sobie zadawać pytanie o pamięć historyczną społeczeństwa niemieckiego, a zwłaszcza jego elit. To zarazem trudne i proste pytanie. Zanim na nie odpowiemy, proponuję szybki przegląd obrazków, które w pewnym stopniu ukazują tę niemiecką pamięć. Nie jest ona ani jednoznacznie podszyta próbą wybielenia, ani specjalnie gorliwa w ukazywaniu całej prawdy historycznej, lecz bywa ciekawa, a nawet, co potwierdza jedna z instalacji artystycznych, estetycznie – w punkt.



1 2

Muzeum Pamięci „Cisi Bohaterowie" („Stille Helden") podejmuje temat Niemców, którzy w różny sposób sprzeciwili się reżimowi nazistowskiemu. Rozpiętość tematyczna sięga od zwykłych obywateli Niemiec, którzy podczas II wojny światowej ratowali Żydów (spośród 27 712 Sprawiedliwych wśród Narodów Świata – 638 to Niemcy), po próby zamachu na Hitlera, podjęte przez Georga Elsera czy Clausa Stauffenberga, a także tak spektakularne historie jak ta dotycząca Oskara Schindlera. Wystawa stała składająca się głównie z plansz i zdjęć mieści się w jednym z budynków Federalnego Ministerstwa Obrony w Berlinie. Z perspektywy polskiej tego typu wyodrębnianie wątków wojennych kojarzy się z budowaniem mitu „dobrego Niemca". Zwłaszcza gdy ma się świadomość, jak chociażby Graf Stauffenberg odnosił się do Polaków. To poczucie pogłębia mnogość publikacji towarzyszących wystawie. Okazuje się, że każda dzielnica Berlina ma chwalebną kartę oporu wobec III Rzeszy. Warto znać te książki, ponieważ to one kształtują

eprasa.pl eda53d7007

w dużej mierze wiedzę i świadomość młodego pokolenia w Niemczech. W sklepiku muzealnym większość pozycji książkowych dotyczy niemieckich bohaterów II wojny światowej, nauczyciele mogą się natomiast w tym miejscu zaopatrzyć w pomoce naukowe (gry planszowe, albumy, ćwiczenia) ułatwiające przekazanie tej narracji już kilkuletnim dzieciom.

3

Muzeum Żydowskie w Berlinie, instalacja składająca się z 10 tys. żelaznych twarzy, które przy każdym stąpnięciu wydają z siebie metaliczny chrzęst. Jedna z najbardziej sugestywnych form upamiętnienia i przypomnienia o ofiarach II wojny światowej, jakie można znaleźć dziś w Niemczech. Autorem instalacji jest Menashe Kadishman.

4

Jedna ze stacji berlińskiego metra i plakat reklamujący Muzeum Rosyjsko-Niemieckie Karlhorst. II wojna światowa jest jedną z najważniejszych dziś płaszczyzn budowania wspólnej niemiecko-rosyjskiej kultury pamięci. Jeżeli ktoś szuka wytłumaczenia z pozoru nieracjonalnych posunięć polityków niemieckich względem Rosji, odpowiedź znajdzie w narracji sięgającej niemieckich zbrodni w Sowietach.

5

Każda większa księgarnia w Niemczech ma osobne regały na publikacje dotyczące III Rzeszy. Temat II wojny światowej jest wciąż obecny w niemieckiej przestrzeni publicznej i wydawniczej. Świadomość popełnionych zbrodni jest więc jak najbardziej obecna, co jednak nie przeszkadza budowaniu własnej polityki historycznej, która w sposób selektywny podchodzi do wielu wątków historii wojennej i powojennej Niemiec.

6

Weimar, miasto Johanna Wolfganga Goethego i uroczej Biblioteki księżnej Anny Amalii, ale także miejsce z piętnem Buchenwaldu. Świadkom historii zbrodniczej machiny obozowej poświęcono we wrześniu 2019 roku wystawę na wolnym powietrzu. Autorem zdjęć byłych więźniów Buchenwaldu jest fotograf Thomas Müller. Obóz koncentracyjny w Buchenwaldzie był największym tego typu obiektem na terytorium III Rzeszy. W KZ Buchenwald w różny sposób zamordowano bądź doprowadzono do śmierci przez wyniszczenie około 56 tys. osób. Wśród nich ponad 7 tys. Polaków.


3



4


5

eprasa.pl eda53d7007


6


9


10


7


11



8

eprasa.pl eda53d7007



12



13

7

Brunszwik, Cmentarz Hochstrasse. W latach 1942–1944 miejsce ostatniego spoczynku obcokrajowców, robotnic i robotników przymusowych oraz jeńców wojennych, w tym 178 Polaków. Tablica upamiętnia 156 dzieci, w tym 149 polskich noworodków, skazanych przez Niemców na śmierć głodową.

8

Stolica Niemiec w pigułce. Z jednej strony Lenin, z drugiej pamięć o Hannie Arendt. Autorce „Eichmanna w Jerozolimie" poświęcono wystawę w Niemieckim Muzeum Historycznym, którą można było zwiedzić do października ubiegłego roku. W czasie pandemii było to dość trudne, ale wykonalne. W ramach ekspozycji pokazano m.in. makietę obozu koncentracyjnego.

9

Grudzień 2019 roku, konwencja SPD w Berlinie. W hali targów wystawiono tablice dokumentujące prześladowania socjaldemokratów przez aparat III Rzeszy. Pamięć historyczna w wydaniu partyjnym.

10

Róże powtykane w szczeliny pozostałości po Murze Berlińskim. Tak było w 30. rocznicę upadku muru. Pamięć o upadku żelaznej kurtyny przeżywa zderzenie z prorosyjską polityką kolejnych rządów federalnych. Niestety.

11

Pociągi do Życia to pomniki upamiętniające transporty dzieci do państw, w których mogły przeżyć wojenny terror. Ten monument stoi przed wejściem na stację Friedrichstrasse, autor: Frank Meisler.

12

Plac Askański nieopodal placu Poczdamskiego, naprzeciwko Ośrodka Dokumentacyjnego, poświęconego wypędzeniom i przymusowym wysiedleniom w Europie. To miejsce typowano jako lokalizację pomnika Polaków. Ostatnio jednak w debacie o pomniku pojawia się nowe miejsce, w dzielnicy Moabit. Rozmowy są w toku. Dla Polski najważniejsze jest to, by taki pomnik w końcu powstał. W mieście, w którym nawet kiełbaski z curry doczekały się swojego muzeum, brak miejsca pamięci pomordowanych przez Niemców Polaków więcej niż zgrzyta.

13

Wrzesień 2015 roku. Berlińska klinika Charité udostępniła sale szpitala dla nerwowo chorych na potrzeby ekspozycji dotyczącej przeprowadzanych w III Rzeszy eksperymentów medycznych na dzieciach uznanych za „niewarte życia". Dzieci poddawano medycznym torturom. Wiele z nich poddano też od razu eutanazji. ■

eprasa.pl eda53d7007



PGNiG gwarantem bezpieczeństwa

Naszą misją jest zapewnienie Polsce bezpieczeństwa energetycznego. Każdemu naszemu działaniu przyświeca myśl, by działać zgodnie z interesem kraju i społeczeństwa, tak by realizować ambitne cele biznesowe i jednocześnie wspierać ideę patriotyzmu narodowego.

PGNiG

eda53d7007

Hanna Shen



Tajwan – ujawnić prawdę, wyleczyć rany

Prezydent Tajwanu Tsai Ing-wen w jednym z wywiadów w 2016 roku powiedziała, że lektura „Raportu" Witolda Pileckiego i fakt, że komunistom nie udało się skazać polskiego bohatera na zapomnienie, jeszcze lepiej uświadomił jej, iż „przywracanie pamięci to ważna część procesu rozliczeń z przeszłością". Od kilku lat Tajwan powoli i nie bez problemów stara się dokonać rozliczenia ze swoją przeszłością totalitarną.



fot. RITCHIE B. TONGO/PAP/EPA

Na początku lutego bieżącego roku na kampusie najbardziej prestiżowej tajwańskiej uczelni National Taiwan University (NTU) odsłonięto pomnik poświęcony Chen Wen-chengowi. Jego ciało znaleziono na terenie tej uczelni w 1981 roku dzień po tym, jak wrócił z nocnego przesłuchania w siedzibie służby bezpieczeństwa*.

Tajwański Pyjas

Chen Wen-cheng był wschodzącą gwiazdą matematyki. Po ukończeniu studiów na NTU w Tajpej wyjechał w 1975 roku do Stanów Zjednoczonych. Tam kontynuował edukację. W 1976 roku otrzymał tytuł magistra na Wydziale Statystyki Uniwersytetu w Michigan, a dwa lata później obronił doktorat na tej samej uczelni. W 1978 roku rozpoczął pracę na Uniwersytecie Carnegie Mellon. Poza sukcesami naukowymi bardzo interesował się tym, co działo się w jego kraju, na Tajwanie. Aktywnie działał wśród tajwańskiej społeczności w USA, wspierał przybywających tam tajwańskich dysydentów i organizował zbiórkę pieniędzy na powstałe na Tajwanie pismo opozycjonistów „Formoza". Swoje poglądy Chen wyrażał otwarcie: krytykował dyktatorskie rządy Kuomintangu na Tajwanie. W maju 1981 roku Chen Wen-cheng z żoną i rocznym synkiem odwiedzili wyspę. Młody naukowiec większość czasu spędzał odwiedzając krewnych, głosząc wykłady i podróżując po Tajwanie. Myślał o powrocie do kraju na stałe, mówił: „Jak góry, to tylko te na Tajwanie; jak woda, to tylko ta na Tajwanie". Miał opuścić wyspę na początku lipca 1981 roku. Władze nie przedłużyły mu jednak pozwolenia na pobyt i kazały czekać na ostateczną decyzję. 2 lipca Chen został zabrany z domu przez agentów tajwańskiej bezpieki. Dzień później jego ciało znaleziono na terenie jego Alma Mater. Władze twierdziły, że śmierć słynnego matematyka to prawdopodobnie samobójstwo albo wypadek. Chen miał uciekać z nielegalnego, antyrządowego spotkania na uczelni i wyskoczył z piątego piętra.

Kilka miesięcy po śmierci Chena**, dzięki zabiegom rodziny i dużemu wsparciu Carnegie Mellon, uczelni, na której pracował tajwański naukowiec, na Tajwan

*Chodzi o Tajwańskie Dowództwo Garnizonu, które było odpowiedzialne za tłumienie działań postrzeganych jako promowanie demokracji i niepodległości Tajwanu. Jednostka została rozwiązana w 1992 roku.

** Na kanwie okoliczności morderstwa Chena, a także zabójstwa w Kalifornii tajwańskiego dziennikarza Henry Liu, powstał dostępny w internecie amerykański film pt. „Zdradzona Formoza" („Formosa Betrayed").

eprasa.pl eca53d7007

przybył amerykański patolog Cyril H. Wecht. Dokonał on autopsji zwłok Chena, a wyniki badań opublikował w „The American Journal of Forensic Medicine and Pathology". Artykuł nosił znamienny tytuł „Morderstwo na Tajwanie"***. Według Wechta „zarówno położenie ciała, jak i schemat obrażeń wskazują, że ciało Chena było utrzymywane w pozycji poziomej nad balustradą ewakuacji przeciwpożarowej i upuszczone na ziemię poniżej". Na ten dokument ówczesny rząd Kuomunitangu (KMT) na wyspie nie zareagował.

Aby nagłośnić tragedię, jaka spotkała Chena, jego ojciec podróżował po Stanach Zjednoczonych z wykładami na temat sytuacji na Tajwanie. Wygłosił 135 przemówień, zawsze mając ze sobą tabliczkę z napisem: „Dajcie mi prawdę. Oddajcie mi mojego syna".

Na Tajwanie KMT blokowała wszelkie informacje na temat Chena. Do 2000 roku żadna z fundacji nie mogła mieć w nazwie imienia i nazwiska tajwańskiego matematyka.

W 2001 roku Chen Bao-yue, siostra Chen Wen-Chenga, która przez ponad 25 lat domagała się wyjaśnień od rządu w sprawie zabójstwa jej brata, złożyła pozew przeciwko byłemu szefowi bezpieki Wang Ching-hsu i czterem innym urzędnikom. Miała nadzieję, że pozna prawdę o tajemniczej śmierci brata. Jednak mimo że prezydentem był wtedy przedstawiciel proniepodległościowej Demokratycznej Partii Postępu (DPP) postulującej kwestię rozliczeń z przeszłością, proces odwlekano, a w końcu nie przyniósł on żadnych nowych ustaleń.

Prawda bez odpowiedzialności

Na przełomie 2015 i 2016 roku odbyła się kampania wyborcza kandydatki DPP na prezydenta, Tsai Ing-wen. Jako jeden z głównych problemów do rozwiązania przedstawiła ona kwestię rozliczeń z totalitarną przeszłością. Wybory w 2016 roku wygrała DPP, czyli ówczesna opozycja, uzyskując po raz pierwszy od końca stanu wojennego w 1987 roku kontrolę zarówno władzy wykonawczej, jak i ustawodawczej.

W swoim przemówieniu inauguracyjnym prezydent Tsai poświęciła całą sekcję tematowi rozliczeń. Mówiła: „Aby nowy system demokratyczny się rozwijał, musimy najpierw znaleźć sposób, aby razem stawić czoła przeszłości [...]. Celem okresu rozliczeń z przeszłością jest dążenie do prawdziwego pojednania społeczeństwa, tak aby wszyscy Tajwańczycy wzięli sobie do serca błędy tamtej epoki. Zaczniemy od zbadania i uporządkowania faktów. W ciągu następnych trzech lat planujemy przygotować tajwański raport śledczy dotyczący okresu rozliczeń [...]. Ujawnimy prawdę, wyleczymy rany i określimy odpowiedzialność. Odtąd historia nie będzie już dzieliła Tajwanu".

Tsai bardzo jasno określiła cele swojej administracji w temacie rozliczeń z przeszłością. Jednak ich realizacja okazuje się nadal trudna i przebiega wolniej, niż zakładała prezydent.

W 2018 roku powołano Komisję ds. rozliczeń z przeszłością, która jest odpowiedzialna za trzy kwestie: „(1) zapewnienie publicznego dostępu do politycznych archiwów; (2) usunięcie autorytarnych symboli i ochrona miejsc, gdzie zostały popełnione niesprawiedliwe czyny; (3) zadośćuczynienie sądowe krzywd, przywracanie prawdy historycznej i promowanie pojednania społecznego".

Jedną z pierwszych spraw, jakimi zajęła się komisja, jest morderstwo Chen Wen-chenga.

Ujawniono metody i proces monitorowania rozmów i listów naukowca. Komisja stwierdziła, że nie ma solidnych dowodów na poparcie wniosku bezpieki, iż Chen chciał uciec, bo groziło mu zatrzymanie. Dochodzenie wykazało również, że miejsce zbrodni, na którym znaleziono ciało Chena, nie było miejscem jego śmierci. Jest więc wysoce prawdopodobne, że został on zamordowany gdzie indziej.

Biorąc pod uwagę wszystkie ustalenia, Komisja ds. rozliczeń z przeszłością doszła do wniosku, że Chen został prawdopodobnie zamordowany i że z tą śmiercią powiązany był aparat bezpieczeństwa.

Zhang Longqiao, kierujący Fundacją im. dr. Chen Wen-chenga, twierdzi, że dla rodziny tajwańskiego matematyka nie oznacza to końca sprawy, bo „rząd ustalił, że jest to prawdopodobnie zabójstwo, ale nadal nikt nie jest pociągnięty do odpowiedzialności".

Do tej pory komisja ogłosiła uniewinnienie około 6 tys. ofiar okresu „białego terroru". Ale określa się to jako uniewinnienie z nazwy, bo rejestry karne pokrzywdzonych pozostają. Upływ czasu sprawił, że ponowne procesy stały się niemożliwe. Ofiary zostały uniewinnione, ale żaden sprawca ich krzywd nie został wymieniony publicznie.

Wu Nai-teh z Academia Sinica, największej państwowej instytucji naukowej na Tajwanie, już w 2005 roku przewidział, że poznamy tysiące ofiar, ale „ani jednego sprawcy". Ci bezimienni oprawcy to osoby, które w okresie „białego terroru" służyły w KMT na różnych stanowiskach.

Opór Kuomintangu

1 marca w Polsce obchodzimy Narodowy Dzień Pamięci „Żołnierzy Wyklętych". Pamiętamy o boha-

***https://journals.lww.com/amjforensicmedicine/Citation/1985/06000/Murder_in_Taiwan.1.aspx

eprasa.pl eda53d7007

terach, którzy po II wojnie światowej nie złożyli broni i w czasach komunizmu walczyli o wolną Polskę. Dzień wcześniej swój dzień pamięci mają Tajwańczycy. 28 lutego wyspa upamiętnia ofiary tzw. Masakry 228. 28 lutego 1947 roku doszło do rzezi tysięcy Tajwańczyków, dokonanej przez wojska Czang Kaj-szeka. Rozpoczął się okres tzw. białego terroru, który zakończył się, gdy w 1987 roku zniesiono stan wojenny. Przez wiele lat rząd Kuomintangu na Tajwanie zakazywał jakichkolwiek wzmianek na temat tej tragedii. To m.in. przyczyniło się do zaostrzenia konfliktu między tymi, którzy określają się jako Tajwańczycy (tzw. bentu ren; ich przodkowie przybyli z Chin w XVII i XVIII wieku), a Chińczykami (tzw. waisheng ren; przybyli na Tajwan z Czang Kaj-szekiem).

Z pamięcią i prawdą o zbrodniach okresu „białego terroru" Tajwan jakoś sobie radzi. Ze sprawiedliwością mniej. W dużym stopniu wynika to z oporu KMT, partii nadal zakorzenionej w strukturze władzy i dziś drugiej co do wielkości w parlamencie.

Kuomintang cały czas podważa konstytucyjność i postanowienia utworzonego w 2016 roku Komitetu ds. Rozliczeń Nielegalnie Pozyskanego Majątku przez Partie (CIPAS).

CIPAS odpowiada za zwrot nieuczciwie zdobytego majątku przez partie polityczne i organizacje z nimi powiązane w okresie stanu wojennego na Tajwanie. Wszystkie partie powołane przed zniesieniem stanu wojennego, tj. przed 15 lipca 1987 roku, miały obowiązek zgłoszenia swoich majątków do Komisji. Jako partia dominująca w okresie stanu wojennego, Kuomintang, powszechnie nazywany przez swoich krytyków jedną z najbogatszych partii politycznych świata, i organizacje stowarzyszone z nim są głównymi celami śledztw prowadzonych przez CIPAS.

W 2018 roku Komisja opublikowała wstępne wyniki dochodzenia w sprawie finansów KMT i stwierdziła, że partia ta posiadała łącznie 18,9 mld NTD (około 2,5 mld zł). Dla porównania, majątek DPP w tamtym czasie wynosił 769 mln NTD (około 101 mln zł). Z tej sumy 15,6 mld NTD miało być w posiadaniu dwóch firm w czasach autorytarnych założonych przez KMT. Są one obecnie prawnie odrębnymi podmiotami, ale KMT miał z nimi wystarczająco bliskie powiązania, aby Komisja w raporcie określiła je jako nielegalnie zdobyte aktywa. Partii nakazano również zwrot luksusowego hotelu w Palau.

Jedna z najgłośniejszych spraw prowadzonych przez CIPAS dotyczy Narodowej Ligi Kobiet (NWL), organizacji stowarzyszonej z KMT, a założonej przez żonę Czang Kaj-szeka, Song Meiling, w 1950 roku. NWL zostało pierwotnie stworzone, aby pomagać rodzinom żołnierzy. W marcu 2019 roku CIPAS orzekł, że większość aktywów NWL, tj. 38,7 mld NTD (około 1,15 miliarda euro), ma wrócić do państwa, a sama organizacja została rozwiązana w kwietniu 2020 roku.

Kuomintang, Liga i inne podmioty, które zostały określone jako organizacje powiązane z KMT, wielokrotnie kwestionowały każdą decyzję Komisji przed Sądem Administracyjnym w Tajpej, a sama Komisja kwestionowała wyroki sądu, jeśli były one dla niej niekorzystne. Wszystkie te odwołania doprowadziły do zaciętej walki prawnej, w której decyzje CIPAS były albo utrzymane w mocy, albo unieważniane, a potem znowu przywracane. W końcu sam sąd widząc tak zaciętą wojnę, zwrócił się o arbitraż do Trybunału Konstytucyjnego, by ten orzekł o konstytucyjności Ustawy o nielegalnym pozyskaniu majątku przez partie. 20 sierpnia ubiegłego roku Trybunał orzekł, że zarówno ustawa, jak i działania CIPAS są zgodne z konstytucją.

Wiele jeszcze do zrobienia

Tajwan dopiero wkracza na drogę ku temu, by przynieść poszczególnym jednostkom i całemu narodowi sprawiedliwość historyczną. Wiele jest jeszcze do zrobienia, by zaleczyć rany z przeszłości. Cały czas brakuje ustawy lustracyjnej uniemożliwiającej sprawcom wykroczeń i zbrodni z okresu „białego terroru" służbę w administracji państwowej. Wielu uważa, że znajdująca się w centrum Tajpej w przepięknym parku Izba Pamięci Czang Kaj-szeka powinna stać się Izbą Pamięci Prezydentów i uhonorowani tu powinni być wszyscy dotychczasowi prezydenci Tajwanu****.

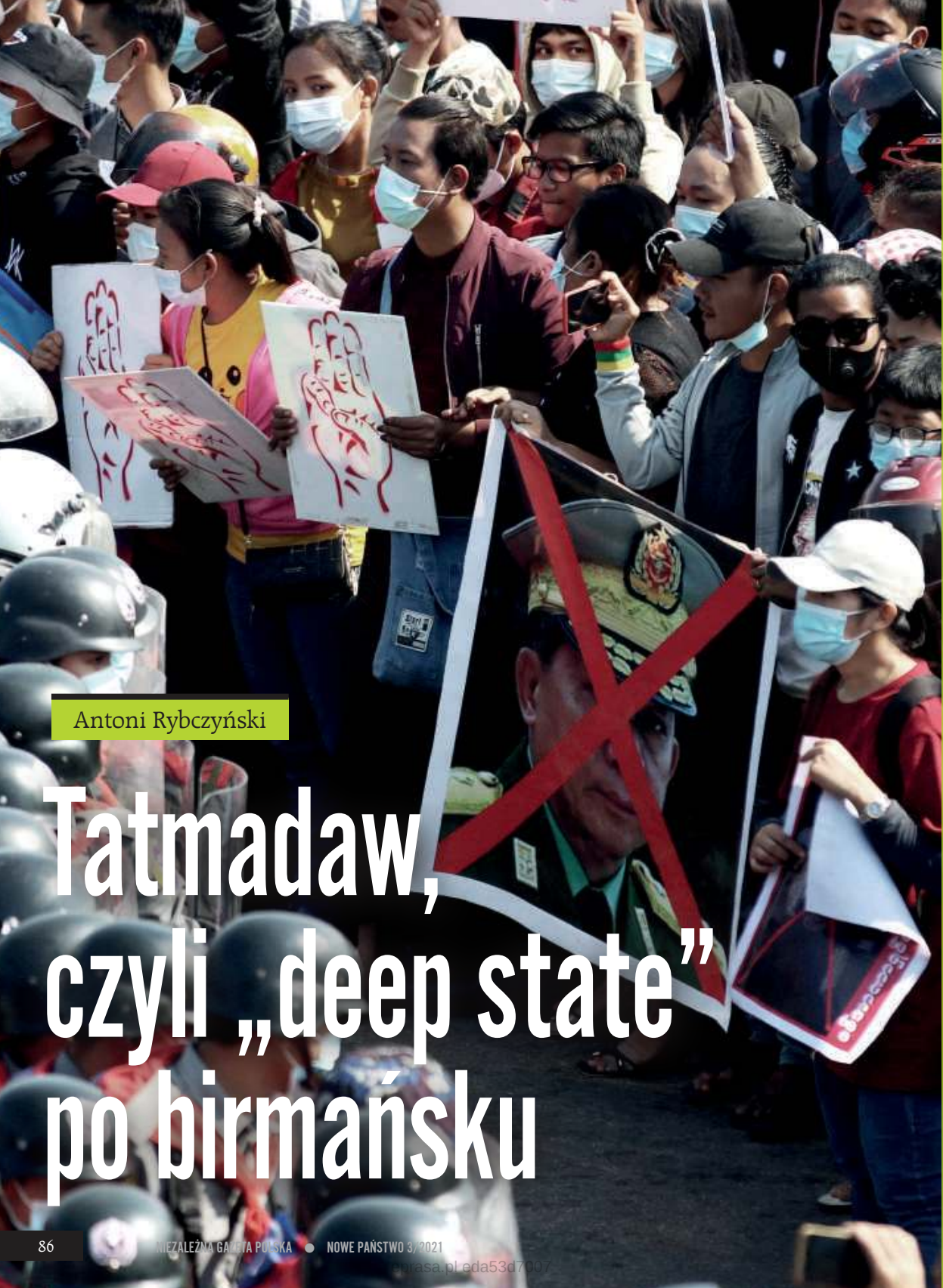
Dużo pracy musi wykonać sam Kuomintang. Przede wszystkim powinien wziąć pełną odpowiedzialność za zbrodnie popełnione podczas okresu „białego terroru". Niektórzy członkowie KMT wyrazili ubolewanie z powodu tego, co się stało, ale formalne oświadczenie o

przyjęciu odpowiedzialności i przeprosiny ze strony partii nie miały miejsca.

Dopóki KMT tego zrobi, będzie tkwić w przeszłości, wciąż krytykowany za podejście do historii. Trudno mu będzie również przyciągnąć młodsze pokolenie, które jest w przeważającej większości wyrazicielem tajwańskiej tożsamości. ■

**** Zażarta dyskusja na wyspie toczy się też wokół pomników Czang Kaj-szeka i jego syna Chiang Ching-kuo. Jest ich na Tajwanie 1239. Ze względu na rolę Czanga jako szefa rządu i KMT w okresie autorytarnym jego posągi są często niszczone lub uszkadzane, zwłaszcza przed coroczną rocznicą Masakry 228.

eprasa.pl eda53d7007



Antoni Rybczyński

Tatmadaw, czyli „deep state” po birmańsku

prasa.pl.eda53d7007

Dekady represyjnej dyktatury wojskowych, bieda wynikająca z izolacjonistycznej eksperymentalnej polityki gospodarczej, krwawe konflikty rządu z mniejszościami etnicznymi. Gdy wydawało się, że Birma (Myanmar) zaczęła wkraczać na drogę demokracji i rynkowej gospodarki, znów przypomniała o sobie Tatmadaw, czyli birmańska armia. 1 lutego 2021 roku przejęła władzę, usuwając demokratycznie wybranych cywilnego prezydenta, parlament i rząd z pokojową noblistką Aung San Suu Kyi na czele.

„Historia Myanmar to historia sił zbrojnych; historia sił zbrojnych – to historia Myanmar”

generał Min Aung Hlaing

FOT. MAUNG LONLAN/PAP/EPA

Wydarzenia z 1 lutego bieżącego roku to kolejny w historii Birmy wojskowy pucz i kolejna junta drugiej pod względem wielkości armii Azji Południowo-Wschodniej. Kolejny też raz potwierdziła się stara jak niepodległość Birmy zasada: demokracja kończy się tam, gdzie zaczyna się potęga armii.

Odwet generałów

Dziesięć lat temu wojskowi oddali władzę cywilom (o powodach będzie dalej), ale gwarantując sobie wpływ na państwo. Gdy ten hybrydowy system polityczny znalazł się w zagrożeniu, Tatmadaw brutalnie zareagowała. Otóż w listopadowych wyborach do parlamentu wojskowi ponieśli druzgocącą klęskę. Swoje rządy przedłużyła Narodowa Liga na rzecz Demokracji (NLD), ugrupowanie 75-letniej Aung San Suu Kyi, laureatki Pokojowej Nagrody Nobla, która niemal dwie dekady spędziła w areszcie domowym. NLD zdobyła aż 396 mandatów, podczas gdy powiązana z wojskiem partia USDP zaledwie 33. Armia od razu twierdziła, w czasie wyborów dochodziło do oszustw. Jednak centralna komisja wyborcza nie dopatrzyła się nieprawidłowości. Wojskowi zaczęli grozić przewrotem, ale pod koniec stycznia wycofali się z tych pogróżek. Wydawało się, że polityczna sytuacja w kraju się ustabilizowała. Była to cisza przed burzą. Tatmadaw uderzyła 1 lutego, gdy do stolicy kraju Naypyidaw zjechali na inaugurację obrad członkowie nowego parlamentu. Czołowi przedstawiciele cywilnych władz, z premier Aung San Suu Kyi i prezydentem Winem Myintem na czele, zostali aresztowani. Wojsko powołało Radę Zarządzania Państwem z przywódcą puczu, głównodowodzącym Tatmadaw, generałem Min Aung Hlaingiem na czele. Organ junty składa się z 11 członków. Rada ma pełnić najwyższą władzę w kraju podczas stanu wyjątkowego, który ma obowiązywać przez rok. Zapowiedziano nowe wybory. Tatmadaw użyła „swojej” konstytucji dla uzasadnienia puczu. Narzucona jeszcze przez poprzednią juntę ustawa zasadnicza z 2008 roku pozwala bowiem wojsku przejąć kontrolę nad państwem w każdej sytuacji, która może doprowadzić do „dezintegracji Związku Myanmar, dezintegracji narodowej solidarności, utraty suwerennej władzy”. Według generałów rzekome fałszerstwa wyborcze z listopada 2020 roku wyczerpują znamiona tej definicji.

Przywódca junty gen. Min Aung Hlaing zrobił w wojsku błyskotliwą karierę, w 2009 roku docierając do stanowiska szefa sztabu specoperacji. W tej roli dowodził wojskowymi działaniami na północnym wschodzie kraju, zmuszając do uciecz-

eprasa.pl 6ca53d7007

ki dziesiątki tysięcy członków mniejszości etnicznych ze stanu Shan. Gdy w 2011 roku wojskowa junta kończyła rządy, to Min Aung Hlaing stanął na czele armii, choć faworytów widziano w innych, starszych generałach. Ale to Min Aung Hlaing był protegowanym byłego dyktatora gen. Thana Shwe. Zastąpił go na czele armii w 2011 roku (Than Shwe z kolei dowodził armią od 1992 roku), gdy oddawano po dekadach rządów wojskowych władzę w kraju cywilom. Min Aung Hlaing jest objęty sankcjami amerykańskimi za rolę w brutalnej operacji wojskowej przeciwko ludowi Rohingya w 2017 roku. Masowe mordy, zbiorowe gwałty i podpalenia zmusiły ponad 730 tys. ludzi do ucieczki do sąsiedniego Bangladeszu.

USA, UE, Kanada i Australia potępiły pucz i wezwały generałów do uznania wyborów z listopada 2020 roku oraz oddania władzy cywilom, jednak regionalne mocarstwa zajmują wobec wydarzeń w Birmie dużo bardziej zniuansowane stanowisko. Chiny, Japonia czy Tajlandia nie spieszyły się z potępianiem puczu lub mówiły: to wewnętrzna sprawa Birmy. Na przykład Japonia podchodzi ostrożnie do wydarzeń w Birmie, bo postrzega ten kraj jako ważnego strategicznego partnera i miejsce, gdzie bezpośrednio konkuruje o wpływy z Chinami. Jeszcze mniej dziwi postawa Tajlandii, w której przecież rządzi zainstalowana przez wojsko władza, a armia birmańska utrzymuje bliskie relacje z niektórymi generałami tajskimi. Nie ma też co liczyć na potępienie puczu przez Filipiny czy Indonezję. Zachód ma małe możliwości wpływu na Birmę, bo nie utrzymuje, w przeciwieństwie do Chin, Indii, Japonii, Singapuru czy Tajlandii, bliższych relacji politycznych i gospodarczych z tym krajem. Zresztą Zachód nie będzie zbyt mocno naciskał na juntę w obawie, że Birma zareaguje zbliżeniem do Chin – na co zresztą liczy Pekin. Tymczasem tak naprawdę birmańska elita, nie tylko wojskowa, jest w dużym stopniu nacjonalistycznie nastawiona i wcale nie chce zbliżenia z Chinami, postrzegając to jako ograniczenie suwerenności państwa. Zresztą to właśnie obawy generałów przed izolacją i rosnącym uzależnieniem od Pekinu już kiedyś przyczyniły się do oddania (jak widać, nie na długo) rządów cywilom.

Między Rosją a Chinami

Birmański dyktator chwali się świetnymi relacjami z rosyjskim ministrem obrony. Zresztą Siergiej Szojgu gościł w Birmie tuż przed puczem, w dniach 21–22 stycznia 2021 roku. Z kolei Min Aung Hlaing odwiedził Moskwę w czerwcu 2020 roku. Podczas ostatniego spotkania podpisano nowy kontrakt na dostawę uzbrojenia z Rosji. Moskwa dostarczy Birmie przeciwlotnicze systemy rakietowe Pancyr-S1, bezzałogowe aparaty latające Orlan-10E oraz stacje radiolokacyjne. Obecna umowa to kolejny etap zapoczątkowanej w 2001 roku współpracy wojskowo-technicznej obu państw. Dotychczas Moskwa sprzedała Birmie 30 samolotów MiG-29, 12 szkoleniowo-bojowych Jak-130, sześć myśliwców Su-30SM, 10 śmigłowców Mi-24 i Mi-34P, osiem systemów obrony przeciwlotniczej Peczora-2M, stacje radiolokacyjne, broń pancerną i artylerię. W Birmie działa techniczne centrum obsługi techniki powietrznej i pancernej, którą dostarcza Rosja. Współpraca obu państw nie ogranicza się tylko do zakupu rosyjskiego uzbrojenia. 6 tysięcy oficerów Tatmadaw przeszło kursy na wojskowych uczelniach w Rosji. Od kilku lat regularnie oddziały z azjatyckiego kraju biorą udział zarówno w różnych międzynarodowych zawodach wojskowych w Rosji, jak i w ćwiczeniach – choćby ostatnio Kaukaz-2020. Od 2018 roku obowiązuje międzyrządowe porozumienie ułatwiające korzystanie okrętom wojennym Rosji z portów Birmy. Nie tak dawno ministerstwo obrony Rosji odznaczyło generała Hlainga medalem „Za umocnienie bojowej wspólnoty".

Wydaje się, że birmańscy generałowie szukają w Rosji pewnej przeciwwagi dla rosnących wpływów chińskich. Warto zwrócić uwagę, że na krótko przed puczem gościł w Birmie także przedstawiciel Państwa Środka. Szef MSZ Chin Wang Yi spotkał się też z Minem Aungiem Hlaingem. Chiny, które graniczą z Birmą, są największym partnerem handlowym tego kraju, ale też jego najbliższym dyplomatycznym sojusznikiem w ostatnich latach. Pekin sfinansował wiele dużych projektów infrastrukturalnych i energetycznych w całej Birmie, traktując to jako część Inicjatywy Pasa i Szlaku. Rurociągami płynie z Birmy do ChRL ropa i gaz. Pekin chce też stworzyć Ekonomiczny Ko-

W 2008 ROKU UCHWALONO NOWĄ KONSTYTUCJĘ – KTÓRA OBOWIĄZUJE DO DZISIAJ. WIELE JEJ ZAPISÓW GWARANTUJE WOJSKU DECYDUJĄCY WPŁYW NA PAŃSTWO.

eprasa.pl eda53d7007

rytarz Chiny-Myanmar w stanie Rakhine, dający chińskiej prowincji Yunnan wyjście na Ocean Indyjski. Chiny sfinansowały budowę rurociągów z Kyaukpyu na birmańskim wybrzeżu Oceanu Indyjskiego do Yunnan. Rozbudowa głębokomorskiego portu w Kyaukpyu otwiera przed Pekinem nowe możliwości dostępu do Oceanu Indyjskiego. Tatmadaw jest jednak nieufna wobec intencji Chin także dlatego, że widzi wpływ Pekinu na etniczne formacje zbrojne działające na północy Birmy.

Pamiętać należy, że Birma jest zróżnicowanym krajem, w którym państwo uznaje istnienie ponad 100 grup etnicznych. Ponad dwie trzecie populacji stanowią Birmańczycy. To oni mają uprzywilejowaną pozycję w społeczeństwie, większość w rządach i w armii. Jednocześnie wiele mniejszości poddawanych jest systemowej dyskryminacji, brak im możliwości rozwoju, nie mają nawet symbolicznej reprezentacji w rządzie. Dyskryminacja została na trwałe wpisana do prawa i politycznego systemu Birmy już od początku jej istnienia jako niepodległego bytu. Przykładem takiej polityki jest powiązanie kwestii obywatelstwa z narodowością. Prawo z 1982 roku mówi, że tylko członkowie grup etnicznych żyjących w Birmie przed 1823 rokiem, gdy po raz pierwszy Brytyjczycy zajęli część kraju, są obywatelami w pełni. To stawia poza nawiasem setki tysięcy osób mieszkających od dawna w Birmie i całe etniczne grupy, szczególnie Rohingya. Z kolei zgodnie z konstytucją z 2008 roku tylko pełnoprawni obywatele cieszą się większością praw takich jak równe możliwości, brak dyskryminacji czy wolność słowa. Tylko oni mogą głosować, kandydować i ubiegać się o stanowiska państwowe. Po uzyskaniu niepodległości władze Birmy znalazły się w konflikcie z ponad 20 etnicznymi zbrojnymi ugrupowaniami oraz dziesiątkami mniejszych milicji. Gdy Brytyjczycy się wycofali, wiele etnicznych organizacji zaczęło walkę o większą autonomię. Ta walka zaostrzyła się po przejęciu rządów przez juntę wojskową w 1962 roku. Przez dekady oznaczało to ucieczkę ponad miliona ludzi i dziesiątki tysięcy zabitych. Ostatnia kampania etniczna miała miejsce w latach 2016–2017, gdy armia i siły bezpieczeństwa uderzyły w Rohingya.

„Birmańska droga do socjalizmu"

Armia była najważniejszą instytucją w Birmie od momentu uzyskania niepodległości. Zaczęło się od tego, że generał Aung San (ojciec Aung San Suu Kyi), założyciel walczącej z brytyjskimi władzami partii komunistycznej, powołał też na początku lat 40. XX wieku Birmańską Armię Narodową z pomocą... Japończyków. Japonia wojnę przegrała, ale koniec kolonialnych rządów Wielkiej Brytanii w Birmie był tylko kwestią czasu. W 1947 roku Aung San wynegocjował z przywódcami mniejszości etnicznych tzw. umowę Panglong, otwierającą drogę do powstania zjednoczonego niepodległego państwa. Niedługo potem Aung San został wiceszefem Rady Wykonawczej Birmy, czyli przejściowego rządu. 19 lipca 1947 roku został zamordowany (wraz z kilkoma innymi członkami rządu) przez politycznych rywali. Zbudowana przez niego silna armia miała już jednak pozostać filarem niepodległego państwa. 4 stycznia 1948 roku powołano do życia Związek Birmański z prezydentem Sao Shwe Thaikiem i premierem U Nu na czele. Inaczej niż większość byłych kolonii brytyjskich, Birma odmówiła przystąpienia do Wspólnoty Narodów (Commonwealth). Stała się za to na jakiś czas liderem Ruchu Państw Niezaangażowanych, zaś Birmańczyk U Thant w 1961 roku został sekretarzem generalnym ONZ.

Jednak nowo utworzony rząd cywilny pod rządami U Nu nie zdołał utrzymać jedności kraju, stawiając jednocześnie czoło problemom wewnętrznym, rebelii, korupcji, niegospodarności i powstańcom etnicznym, którzy sięgnęli po broń. Do tego doszły intrygi mocarstw, z komunistycznymi Chinami na czele. W 1958 roku kryzys polityczny był już tak głęboki, że realna stała się groźba przejęcia rządów przez armię. W tej sytuacji premier U Nu zaprosił wojsko do utworzenia rządu tymczasowego. Na jego czele stanął gen. Ne Win. Oddał on jednak władzę już po dwóch latach. W 1960 roku odbyły się wybory, po których partia U Nu sformowała rząd cywilny. Ten jednak zdążył się wykazać jedynie nieudolnością. 2 marca 1962 roku gen. Ne Win dokonał zamachu stanu. Wojsko aresztowało członków rządu, zawiesiło konstytucję i powołało Radę Jedności Rewolucyjnej do rządzenia państwem za pomocą dekretów. Za rządów gen. Ne Wina wojsko zakazało działalności wszystkim opozycyjnym partiom i znacjonalizowało największe firmy. Wprowadziło ideologię „birmańskiej drogi do socjalizmu". Kraj został przekształcony w jednopartyjne państwo socjalistyczne, z rządzącą Birmańską Partią Programu Socjalistycznego (BSPP). Jej programem była mieszanka nacjonalizmu, buddyzmu i marksizmu. Na ćwierć wieku Birma stała się jednym z najbardziej odizolowanych od świata zewnętrznego państw.

Okres 1962–1988 nazywa się „erą Ne Wina". Jego pierwsza faza trwała do 1974 roku. Wtedy to dyktator przeforsował nową konstytucję Socjalistycznej Republiki Związku Birmańskiego, opierającą się na zasadach izolacjonizmu i socjalistycznego programu ekonomicznego, oznaczającego nacjonalizację wielkich przedsiębiorstw. Sformalizowano system jednopartyjny będący fasadą dla faktycznych rządów wojsko-

eprasa.pl eda53d7007

wych. Socjalistyczne eksperymenty i nieudolna polityka ekonomiczna szybko wpędziły Birmę w potężny kryzys. W 1988 roku powszechna korupcja, nagłe zmiany w polityce walutowej i braki żywności doprowadziły do masowych protestów, w których prym wiedli studenci. Generał Ne Win zrezygnował z przewodzenia partii rządzącej, lecz pozostał aktywny za kulisami kolejnej junty wojskowej. W sierpniu 1988 roku armia zmiażdżyła protesty, zabijając co najmniej 3 tysiące ludzi. Świat nałożył na Birmę sankcje, co tylko pogłębiło kryzys. Wtedy doszło do przewrotu wojskowego i rządy objął generał Saw Maung.

„Zdyscyplinowana demokracja"

Na czele państwa stanęła Rada Państwowego Prawa i Przywrócenia Porządku. Uchwalono nową konstytucję, która zastąpiła poprzednią „socjalistyczną" z 1974 roku. Nowe pokolenie generałów widziało, że trzeba się ekonomicznie otwierać na świat, pozyskiwać inwestycje i pożegnać utopijne socjalistyczne pomysły. Zaczęła się swego rodzaju modernizacja wojskowych rządów. Zadbano w nowej konstytucji o źródła finansowej potęgi Tatmadaw. Zgodnie z prawem wojsko zachowywało kontrolę nad sektorami ropy, gazu i wydobyciem innych minerałów. Armia stała się niezależna finansowo. Raport Amnesty International z 2020 roku ujawnia, że będący biznesowym zapleczem generałów Myanmar Economic Holdings Limited (MEHL) tylko w latach 1990–2010 zarobił na czysto 18 mld dolarów poprzez kontrolowane przez wojsko firmy. W czerwcu 1989 roku nowy wojskowy reżim zmienił nazwę kraju ze Związku Birmańskiego na Związek Myanmar, zaś stolica Rangun zmieniła nazwę na Yangon. Junta argumentowała, że nazwa Birma ma kolonialne konotacje i faworyzuje etniczną większość birmańską (w 2005 roku administracyjna stolica została przeniesiona do Naypyitaw, miasta zbudowanego w centralnej Birmie). W maju 1990 roku junta zorganizowała nawet wolne wybory. Gdy jednak wygrała je założona dwa lata wcześniej przez Aung San Suu Kyi NLD, zdobywając 392 z 492 miejsc, wojskowi po prostu odmówili uznania głosowania i nadal rządzili. Członków NLD aresztowano i wtrącono do więzienia.

Generałowie wiedzieli jednak, że w końcu trzeba będzie przeprowadzić transformację rządów i oddać je cywilom. W 2003 roku uruchomiono „mapę drogową do zdyscyplinowanej demokracji", której głównym celem było utrwalenie roli Tatmadaw w strukturze państwa. W 2007 roku doszło do tzw. szafranowej rewolucji, którą wywołały podwyżki cen paliw. Nazwa wzięła się od koloru szat noszonych przez biorących udział w demonstracjach buddyjskich mnichów. Wojsko stłumiło protesty siłą. Fatalną sytuację gospodarczą pogłębił cyklon Nargis w maju 2008 roku (130 tys. ofiar, 2 mln bez dachu nad głową). Trzeba było przyspieszyć „transformację". W 2008 roku uchwalono nową konstytucję – która obowiązuje do dzisiaj. Szereg jej zapisów gwarantuje wojsku decydujący wpływ na państwo. Po pierwsze, 25 proc. miejsc w parlamencie jest zarezerwowanych dla ugrupowań związanych z armią, niezależnie od faktycznego wyniku wyborów. Po drugie, dla zmian w konstytucji potrzeba ponad 75 proc. głosów w parlamencie. A skoro minimum 25 proc. mandatów przypada wojsku – no to wiadomo, że bez zgody armii zmian w ustawie zasadniczej nie będzie. Kluczowe teki ministrów obrony, spraw wewnętrznych i spraw zagranicznych przypadać mają Partii Związku Solidarności i Rozwoju (USDP), czyli partii lojalnej wobec armii. Dopiero mając tak zagwarantowaną pozycję w państwie, junta była gotowa oddać władzę. Kraj zamieszkany przez 54 mln ludzi, powierzchnią zbliżony do Francji, zaczął się otwierać w 2011 roku. Wojskowi przekazali wtedy bezpośrednie rządy cywilnemu rządowi – aczkolwiek wciąż zależnemu od armii i niemającemu mandatu demokratycznych wyborów.

Zaczynając w 2011 roku, prezydent Thein Sein uruchomił serię reform, w tym przyznanie amnestii więźniom politycznym (Aung San Suu Kyi wyszła na wolność), osłabienie cenzury mediów, liberalizację polityki gospodarczej w celu przyciągnięcia inwestycji zagranicznych. W 2015 roku udało się przeprowadzić pierwsze wolne wielopartyjne wybory od dekad. Opozycyjna NLD wygrała z dużą przewagą, zyskując większość w obu izbach parlamentu. Nowy parlament na prezydenta Htina Kyawa, wieloletniego towarzysza politycznego Suu Kyi. Noblistka zaś stanęła na czele rządu. Oddanie władzy cywilom w 2011 roku obudziło nadzieje na demokratyczne reformy. Minęło jednak dziesięć lat, a niewiele udało się zrobić. Z prostego powodu – wojskowi formalnie oddając rządy, zachowali kontrolę nad ważnymi elementami rządu, zaś związane z armią siły bezpieczeństwa rozpoczęły kampanię etnicznych czystek wobec ludu Rohingya, co, rzecz jasna, destabilizowało kraj i sprowadzało międzynarodową krytykę cywilnych władz, w tym noblistki Suu Kyi. W latach 2019–2020 NLD podejmowała próby poprawienia konstytucji i demilitaryzacji państwowych instytucji. Na niewiele się to zdało, choć wyniki wyborów w listopadzie 2020 roku pokazały, że NLD ma w tym poparcie zdecydowanej większości społeczeństwa. Zapewne także dlatego Tatmadaw postanowiła interweniować, pokazując Birmańczykom i światu, jak interpretuje pojęcie „zdyscyplinowana demokracja". ■

eprasa.pl eda53d7007

Z paliwem Dynamic zima Cię nie zaskoczy.
Ciesz się pewnym rozruchem silnika
i efektywną jazdą w każdych warunkach.



PrzeSKOCZ na zimowe paliwo

Dynamic



LOTOS | PZN 1919
Generalny Sponsor Polskiego Narciarstwa

eprasa.pl eda53d7007



Olga Doleśniak-Harczuk



Milszy uśmiech Bidena

Wraz z zaprzysiężeniem Joego Bidena na prezydenta Stanów Zjednoczonych pełną parą ruszyła w Niemczech giełda pomysłów na nowe otwarcie w relacjach transatlantyckich. Ale nie tylko. W Berlinie analizuje się również przyszły kierunek relacji z Rosją, a eksperci związani z prestiżowymi think tankami sugerują rządzącym konieczność pogłębienia kontaktów z Trójmorzem. To teoretycznie zadania dla przyszłego rządu. Tyle że do wyborów pozostało jeszcze siedem miesięcy, w trakcie których Berlin i tak będzie zmuszony do podjęcia pewnych kroków.

eprasa.pl eda53d7007

Po Konferencji Bezpieczeństwa w Monachium, która w tym roku wyjątkowo odbyła się w trybie zdalnym, niemieckie media pisały o miesiącu miodowym w relacjach Niemcy – Stany Zjednoczone. Gościem specjalnym wirtualnego spotkania był prezydent Joe Biden, który nieraz już uczestniczył w monachijskich konferencjach, a po raz ostatni w 2017 roku jako wiceprezydent USA za czasów Baracka Obamy. Wystąpienie Joego Bidena zostało w Niemczech przyjęte entuzjastycznie, chociaż jego twarda retoryka w odniesieniu do Rosji i Chin zrodziła pytanie, czy przypadkiem Niemcy nie oszukają się na Bidenie.

Trauma po Trumpie

Straumatyzowany czterema latami rządów Donalda Trumpa rząd federalny sporo sobie obiecuje po tzw. nowym otwarciu w relacjach transatlantyckich. Zarówno Angela Merkel, jak i Emmanuel Macron z zadowoleniem przyjęli do wiadomości wyborczą porażkę Trumpa. Nie tylko dlatego, że barwny, były gospodarz Białego Domu potrafił demonstracyjnie nie podać ręki kanclerz Merkel, wprawiając w zakłopotanie obecnych przy tym dziennikarzy, a podczas oficjalnej wizyty w Paryżu z uznaniem pochwalił formę Pierwszej Damy Francji, mówiąc: „nieźle się trzyma". Powodów do poczucia ulgi jest więcej. Joe Biden jest w Berlinie postrzegany jako szansa na odbudowanie relacji transatlantyckich, ale tym razem na zasadach niemieckich. A same Niemcy patrzą na siebie jak na kraj upoważniony z racji swojej pozycji, obszaru i potencjału gospodarczego do zajęcia miejsca łącznika między USA a Europą.

Taka teza przebija z planu na nowe otwarcie w relacjach transatlantyckich autorstwa osiemnastu niemieckich ekspertów związanych ze stowarzyszeniem Atlantik Brücke. W tej faktycznej rekomendacji dla rządu federalnego wymienia się główne, pożądane płaszczyzny współpracy Niemiec i USA. Należą do nich m.in. walka z pandemią koronawirusa, polityka klimatyczna, współpraca technologiczna, wspólny front wobec Chin, lepsza współpraca w ramach NATO, pogłębianie dobrych relacji handlowych. Autorzy ekspertyzy wspominają zaledwie raz o Nord Stream 2, odnotowując, że Niemcy nie do końca w ostatnich latach zachowywały się zgodnie z zasadami jedności wspólnoty transatlantyckiej, i tutaj pada przykład determinacji w dokończeniu budowy spornego rurociągu, ale i brak zwiększenia wydatków na obronę do wymaganych uzgodnieniami w Walii w 2014 roku 2 proc. PKB. O Rosji w dokumencie się nie wspomina. Pojawia się natomiast zaskakująca jak na niemieckie elity ocena samego Bidena, kiedy autorzy piszą, co następuje: „To irytujące, że w Niemczech od czasu amerykańskich wyborów szerzy się pogląd, jakoby różnice między odchodzącym i nowym prezydentem USA ograniczały się jedynie do stylu i tonu. Potrzeby polityki światowej, ograniczenia amerykańskiej polityki wewnętrznej i oczekiwania wobec Niemiec pozostają bez zmian. Nic już nie będzie takie jak dawniej, Joe Biden jest jak Donald Trump, tyle że ma milszy uśmiech i lepsze maniery". Autorzy tych słów jednak szybko prostują, że podobieństwo obu polityków nie jest na tyle uderzające, by miało sparaliżować niemieckie aktywności. Wręcz przeciwnie – Niemcy powinni się pospieszyć i nie tylko na wszystkich możliwych płaszczyznach współpracować z USA, lecz jeszcze przekonać ponadpartyjnie wszystkich aktorów niemieckiego życia politycznego oraz całe społeczeństwo (to będzie trudne) do scenariusza nowej przyjaźni amerykańsko-niemieckiej. Tak, by relacje transatlantyckie na dobre zrosły się z niemieckim rozumowaniem o USA jako o ważnym, a nawet niezbędnym partnerze w kwestiach bezpieczeństwa, handlu, obrony wspólnych wartości etc.

Eksperci kończą swój plan wezwaniem do natychmiastowego działania i można powiedzieć, że biorą rządzących „pod ambicję", kiedy piszą tak: „Największym wrogiem nowego początku w relacjach transatlantyckich jest brak ambicji. W Niemczech to zagrożenie [brakiem ambicji – przyp. ODH] karmi się odzwyczajeniem. Sposób obchodzenia się z prezydentem Trumpem był w pewnym sensie prosty: wystarczyło nie wchodzić w dyskusję z amerykańskim narzekactwem i nie wychodzić z własnymi inicjatywami, ponieważ każda forma współpracy z tym prezydentem spotkałaby się z potępieniem niemieckiej opinii publicznej – o ile on w ogóle zechciałby wyjść jej naprzeciw". Ciekawe, że eksperci nie rozwijają samego tematu odwrócenia antyamerykańskich nastrojów w Niemczech. Jeżeli Biden to taki milszy Trump, wywołanie pozytywnego dreszczu emocji w Schulzu i Müllerze może nastręczyć pewne trudności.

Trzymać rękę na pulsie Trójmorza

Nie mniej ciekawa od ekspertyzy specjalistów skupionych w Atlantik Brücke jest opublikowana 16 lutego bieżącego roku na stronie think tanku Stiftung Wissenschaft und Politik (SWP) analiza Kaia-Olafa Langa zatytułowana: „Inicjatywa Trójmorza: współpraca gospodarcza w kontekście geostrategicznym. Niemcy powinny zwiększyć swoje zaangażowanie również z uwagi na politykę zagraniczną". Sam tytuł mówi już prawie wszystko. Autor analizy wskazuje na 14 stronach, że Trójmorze poprzez wsparcie finansowe i polityczne Stanów Zjednoczonych jest projektem jak najbardziej godnym nie tylko cichej obserwacji, lecz także pogłębienia kontaktów. Niemcy mogą na tym tylko skorzystać – to w skrócie przesłanie tego artykułu. Autor wątpi, by Polska zezwoliła na przyjęcie Niemiec w charakterze pełnoprawnego członka Trójmorza, ale zachęca Berlin do pilotowania poczynań państw członkowskich i zabiegania o ewentualny udział w planowanych przez nie projektach (na przykład infrastrukturalnych). Kontakty z Trójmorzem są więc przedstawione w kontekście pożądanej z punktu widzenia interesu Niemiec obecności w naszym regionie. Ciekawe, na ile nowy rząd w Berlinie zainspiruje się analizą eksperta SWP. ■

eprasa.pl eda53d7007

Hanna Shen



Tak minął miesiąc w Azji

Co działo się w minionym miesiącu na kontynencie azjatyckim i wokół niego? Poniżej prezentujemy omówienie wydarzeń, które niekoniecznie trafiają na pierwsze strony gazet, lecz są ważne.

Tajwan

Według tajwańskiego ministra zdrowia Chen Shih-chunga niemiecka firma BioNTech wycofała się z umowy z Tajwanem na dostarczenie szczepionki przeciwko koronawirusowi z powodu presji ze strony Chin.

W grudniu ubiegłego roku Chen ogłosił, że Tajwan zabezpieczył zakup około 20 mln dawek szczepionek, w tym 4,76 mln dawek dzięki globalnej inicjatywie COVAX, 10 ml dawek szczepionki Oxford / AstraZeneca i 5 mln dawek od „pewnej zagranicznej firmy". W tamtym czasie strona tajwańska nie podała nazwy producenta, ale obiecała więcej szczegółów po sfinalizowaniu umowy.

17 lutego w czasie radiowego wywiadu Chen Shih-chung potwierdził, że nienazwaną „zagraniczną firmą" było BioNTech. Gdy obie strony przygotowywały się do podpisania umowy, farmaceutyczny gigant nagle się wycofał. Chen zauważył, że to czynniki polityczne odegrały rolę w zmianie nastawienia BioNTech. To chiński partner niemieckiej firmy, Shanghai Fosun Pharmaceutical Group, wyraził sprzeciw wobec transakcji.

Pod koniec stycznia bieżącego roku Peter Altmaier, niemiecki minister gospodarki, wysłał kanałami dyplomatycznymi do swojej tajwańskiej odpowiedniczki Wang Mei-hua list, w którym prosił ją o interwencję w sprawie zwiększenia produkcji samochodowych chipów przez Taiwan Semiconductor Manufacturing Co Ltd (TSMC). TSMC jest największym na świecie tzw. kontraktowym producentem półprzewodników i jednym z największych dostawców dla niemieckiej motoryzacji. Tajwańska minister zasugerowała wtedy, by Niemcy pomogły wyspie w uzyskaniu szczepionek.

Chiny

Chiny są liderem w rozpowszechnianiu fałszywych informacji o pochodzeniu COVID-19. Za nimi plasują się Rosja i Iran. To wyniki dziewięciomiesięcznego śledztwa przeprowadzonego przez agencję Associated Press (AP) we współpracy z Digital Forensic Research Lab, będącego częścią amerykańskiego think tanku Atlantic Council. Badanie opiera się na analizie milionów wpisów w mediach społecznościowych i artykułów on-line. W początkowej fazie pandemii Chiny prowadziły działania mające na celu powstrzymanie wczesnych doniesień o wirusie, stąd m.in. zatrzymywanie tzw. sygnalistów, czyli lekarzy i blogerów, którzy pierwsi informowali o szerzącym się w Wuhan koronawirusie. Pierwsze dozwolone przez władze relacje chińskich mediów na temat wirusa koncentrowały się na wychwalaniu reakcji Pekinu na szerzącą się epidemię.

Z czasem jednak przyjęto bardziej agresywną postawę i chiński rząd wykorzystał media społecznościowe do rozpowszechniania lub wzmacniania teorii spiskowych, według których koronawirus został stworzony w Stanach Zjednoczonych. Najpopularniejsza teoria w chińskiej blogosferze głosi, że sportowcy ze Stanów Zjednoczonych rozprzestrzeniali koronawirusa podczas Igrzysk Wojskowych w Wuhan w październiku 2019 roku.

Raport przypomina, że w czerwcu 2020 roku Komisja Europejska po raz pierwszy wymieniła Chiny jako państwo rozpowszechniające w internecie dezinformację na temat koronawirusa, stwierdziła też, że Pekin i Moskwa próbowały osłabić zachodnie demokracje, puszczając w świat teorie mówiące, że COVID-19 powstał w laboratorium w USA.

eprasa.pl eda53d7007

Do szerzenia fake newsów na temat pandemii wykorzystano chińską dyplomację. Od końca 2019 roku chińscy dyplomaci podwoili liczbę profili na Facebooku i potroili na Twitterze. Oba te media są zakazane w Państwie Środka. Rzecznik chińskiego MSZ Zhao Lijian odegrał kluczową rolę w rozpowszechnianiu teorii spiskowych. I tak na przykład w dniach 11 i 12 marca 2020 roku opublikował 11 tweetów, które były cytowane 99 tys. razy w ciągu następnych sześciu tygodni w 54 językach. Konta, które się na niego powołały, miały prawie 275 mln obserwujących na Twitterze! Informacje podawane przez rzecznika chińskiego MSZ były przekazywane dalej przez „Global Times", gazetę będącą tubą propagandy Komunistycznej Partii Chin, a także przez co najmniej 30 profili chińskich dyplomatów w mediach społecznościowych. Wsparcie napłynęło również z rosyjskich mediów, Ministerstwa Spraw Zagranicznych Wenezueli i internautów powiązanych z saudyjską rodziną królewską.

Według ekspertów NATO, Pekin nie tylko stosuje rosyjskie strategie dezinformacyjne do przekazania swojej narracji w temacie COVID-19, lecz wykorzystuje do tego także kremlowskie proxy, czyli pośredników kształtujących świadomość obywateli obcych krajów w Europie i Ameryce Północnej.

Innym państwem, które rozpowszechniało informację, że wirus pochodzi z USA, był Iran. Aby uzasadnić decyzję władz w Teheranie odrzucenia zagranicznej pomocy medycznej, niektórzy przywódcy irańscy, w tym najwyższy przywódca Ali Chamenei, twierdzili, że koronawirus jest bronią biologiczną, częścią spisku zaaranżowanego przez Waszyngton.

Raport AP stwierdza, że jednak wraz ze wzrostem liczby zgonów Rosja i Iran w znacznym stopniu porzuciły rozpowszechnianie teorii spiskowych w kwietniu 2020 roku. Chiny natomiast nadal produkują fake newsy.

Dokument przygotowany przez AP i amerykański think tank przypomina, że narracja, iż to Stany Zjednoczone rozwijają wirusy jako broń biologiczną przeciwko swoim wrogom, nie jest niczym nowym. W 1980 roku Związek Radziecki szerzył dezinformację, że to USA celowo stworzyły HIV/AIDS. Kampania ta znana jest jako Operacja Infekcja, a rozpoczęła się od publikacji w mediach hinduskich anonimowego listu stwierdzającego, że wirus był wynikiem eksperymentów w USA. Ta narracja wkrótce dotarła do innych mediów na całym świecie, ostatecznie trafiając do mediów głównego nurtu.

Podobną taktykę zastosowały Chiny, gdy w czasie wojny koreańskiej oskarżyły Stany Zjednoczone o zaangażowanie się w wojnę bakteriologiczną prowadzącą do wybuchu różnych chorób w chińskiej populacji. Także w 2003 roku pojawiły się twierdzenia, że za epidemię SARS odpowiadają Stany Zjednoczone. Wówczas dwóch rosyjskich ekspertów medycznych stwierdziło, że SARS został stworzony przez człowieka, a to wywołało pogłoski w Chinach, że Stany Zjednoczone i Tajwan rozwinęły wirusa SARS jako broń biologiczną skierowaną przeciwko ChRL.

Słabą stroną raportu jest uznanie za dezinformację teorii, że wirus powstał w chińskim laboratorium. Dopóki nie ruszy rzetelne śledztwo w sprawie tego, co stało się w Wuhan, teza o pochodzeniu koronawirusa z laboratorium w ChRL nie powinna być odrzucana.

▶ Wietnam

Czeska spółka Omnipol i wietnamskie ministerstwo obrony podpisały kontrakt na dostawę do Wietnamu dwunastu samolotów szkolno-treningowych L-39NG. Maszyny zostaną wyprodukowane przez Aero Vodochody i dostarczone w latach 2023–2024. Kontrakt ma przynieść korzyści nie tylko głównemu wykonawcy, lecz także dziesiątkom innych czeskich firm będących poddostawcami producenta samolotów.

Po raz pierwszy informacje o zainteresowaniu Wietnamu czeskim samolotem pojawiły się już w 2017 roku. Jednak wtedy Hanoi dopiero zaczynało poszukiwania nowego samolotu szkolno-treningowego i L-39NG był jedną z dwóch rozważanych opcji. Drugą był rosyjski Jak-130. Ostatecznie w styczniu 2020 roku Wietnam zdecydował się na zakup 12 samolotów rosyjskich.

Tym razem zakup L-39NG ma być zwiastunem otwarcia się Wietnamu na sprzęt zachodni.

W 2016 roku Stany Zjednoczone zniosły embargo nałożone na Wietnam w czasie zimnej wojny. Współpraca militarna z Hanoi jest jednym z elementów budowania przeciwwagi dla Chin w Azji Południowo-Wschodniej. W 2017 roku Wietnam kupił od US Coast Guard kuter patrolowy USCGC Morgenthau (WHEC-722) typu Hamilton, a w ubiegłym roku ruszyły przygotowania do przekazania drugiego – USCGC John Midgett (WHEC-726). Ponadto Lockheed Martin dostarczył Hanoi satelity komunikacyjne, a Boeing-Insitu – samoloty bezzałogowe ScanEagle.

Ważnym graczem w Wietnamie zaczyna też być Izrael. W wietnamskich siłach zbrojnych kałasznikowy są zastępowane przez produkowane na izraelskiej licencji karabinki szturmowe Galil ACE 31 i ACE 32. W 2018 roku izraelska IAI (Israel Aerospace Industries) zawarła kontrakt z Wietnamem na dostawę trzech bezzałogowców rozpoznawczych Heron-1 i naziemnej stacji kierowania. ■

eprasa.pl eda53d7007

TŁUMACZYŁ I OPRACOWAŁ ANTONI RYBCZYŃSKI

Jak odnosić się do fenomenu Nawalnego?

Dlaczego rosyjski opozycjonista jest potencjalnie śmiertelnym wirusem dla putinowskiego systemu – o tym pisze ekspert spraw wschodnich Andreas Umland na łamach ukraińskiego tygodnika „Dzerkało tyżnia". Tekst ukazał się z datą 9 lutego 2021 roku.

W wyniku niedawnej transformacji moskiewskiego antykorupcyjnego aktywisty Aleksieja Nawalnego w znaczącą postać współczesnej historii rosyjskiej wzrosło światowe zainteresowanie jego życiorysem. Jednakże bliższe przestudiowanie przeszłości Nawalnego doprowadziło do tego, że wielu obserwatorów zaczęło sceptycznie odnosić się do rosyjskiego opozycyjnego polityka. W dziennikarskich badaniach i politycznych komentarzach często przytacza się wiele starych, jawnie nacjonalistycznych wypowiedzi Nawalnego. Szczególnie na Ukrainie jego niejasne stanowisko w sprawie niepodległości tego kraju, a także przyszłości Krymu, wpłynęło znacząco na wzrost pesymizmu co do następstw jego ewentualnego politycznego awansu.

W trzech punktach

[...] Choć dziś wielu mówi, że Nawalny byłby bezwarunkowo lepszym rosyjskim prezydentem niż Putin, to biorąc pod uwagę jego polityczną biografię jako niegdyś zagorzałego rosyjskiego nacjonalisty, Rosja pod jego rządami mogłaby pozostać daleko od prawdziwej liberalnej demokracji.

Zagraniczne poparcie dla Nawalnego może być determinowane ogólnym zaniepokojeniem o prawa politycznej opozycji w Rosji. Jednak co do zmiany Rosji „na lepsze" pod jego kierownictwem nie powinno być złudzeń. Wcześniejsze nacjonalistyczne i imperialistyczne wypowiedzi Nawalnego to rzeczywiście poważne powody, by zachować ostrożność. Na Ukrainie znane jest stare polityczne przysłowie, że „rosyjski liberalizm kończy się tam, gdzie zaczyna się niepodległość Ukrainy". Liczni rosyjscy politycy i intelektualiści występują w obronie demokracji i wolności dla narodu rosyjskiego. Jednak stają się mniej tolerancyjni, kiedy w grę zaczynają wchodzić prawa i wolności innych narodów w Rosji i wokół niej. Kiedy dochodziło do konfrontacji w kwestii tych praw (taka gorzka lekcja rosyjskiej historii), imperium często wygrywało z wolnością – zarówno w wewnętrznych, jak i zewnętrznych sprawach Kremla.

Na tym tle ogólny sceptycyzm nie tylko w stosunku do Nawalnego, lecz także do całej rosyjskiej opozycji, jest chyba słuszny. Jednak taka ostrożność może obniżać odbiór politycznego znaczenia fenomenu Nawalnego. Póki co nie wiadomo, jaka będzie jego polityczna przyszłość. W najgorszym wypadku może umrzeć w więzieniu, w najlepszym – zostać kolejnym prezydentem Rosji. A jednak niedawny wzrost jego popularności wywiera mniej lub bardziej destrukcyjny wpływ na obecny rosyjski reżim polityczny. Nadmierne skupienie się na ideologii rosyjskiej opozycji nie dostrzega: (a) roli kontekstu, (b) potencjału ewolucji, (c) siły fenomenu Nawalnego w ramach putinowskiej Rosji.

Po pierwsze, podczas gdy wiele szowinistycznych wypowiedzi Nawalnego – chociażby pod adresem Gruzinów – jest niewybaczalnych, inne należy rozpatrywać w kontekście zniekształconego dyskursu publicznego w Federacji Rosyjskiej w ostatnich latach. Na przykład, gdyby Nawalny został prezydentem Rosji, odrzucenie przez niego pomysłu bezzwłocznego

eprasa.pl eda53d7007

zwrotu Krymu pod kontrolę Kijowa byłoby nie do zaakceptowania przez wielu Ukraińców. Jednakże kontekstem takich oświadczeń są mity rozpowszechnione wśród wielu Rosjan przez putinowską propagandę w ostatnich dwudziestu latach. Zaraz po rosyjskiej okupacji Krymu Nawalny 19 marca 2014 roku w artykule dla gazety „The New York Times" oznajmił, że „Putin cynicznie podniósł nacjonalistyczny wymiar granic; imperialistyczna aneksja jest jego strategicznym posunięciem, aby podtrzymać życie jego reżimu". Propozycja Nawalnego, by przeprowadzić drugie referendum na Krymie na temat przyszłości półwyspu, jest dla Kijowa nie do zaakceptowania. Jednakże samo oświadczenie o takim planie podważa legitymizację zajęcia ukraińskiego półwyspu przez Moskwę w 2014 roku. Uzasadniono je bowiem fałszywymi wynikami pseudoreferendum dotyczącego Krymu, które kremlowscy satrapowie przeprowadzili w marcu tegoż roku. Pomysł Nawalnego na jeszcze jedno – należałoby założyć: uczciwe – referendum brzmi w kontekście polityki rosyjskiej po prostu jak bluźnierstwo. Inne ambiwalentne oświadczenia Nawalnego także mogą okazać się mniej groźne, jeśli umieści się je w kontekście współczesnego rosyjskiego oficjalnego dyskursu.

Po drugie, Nawalny na przestrzeni wielu lat przechodzi osobistą ewolucję – od prostego aktywisty do narodowego lidera Federacji Rosyjskiej. Choć trudno przewiedzieć, jak ostatecznie rozwinie się jako polityk, Nawalny może w efekcie stać się bardziej dojrzałą, umiarkowaną i zrównoważoną postacią publiczną. Chociaż jego wczesne nacjonalistyczne wypowiedzi powinny budzić niepokój Zachodu, jego ewolucja polityczna – jeśli kiedykolwiek zostałby prezydentem Rosji – może pójść w zupełnie innym kierunku niż Putina czy Łukaszenki.

Pobyt Putina we Wschodnich Niemczech w latach 1985–1990 nie doprowadził do tego, że przyszły prezydent stał się politycznym liberałem. Tymczasem bardzo możliwe, że wymuszony pobyt Nawalnego w zjednoczonych Niemczech w 2020 roku będzie miał inne następstwa. Nawalny postrzega Rosję jako część europejskiej, a nie eurazjatyckiej przestrzeni, można się zatem spodziewać, że piastując w przyszłości jakieś polityczne stanowisko (jeśli kiedykolwiek do tego dojdzie), będzie kierował się normami i standardami Unii Europejskiej.

Po trzecie, najważniejszym politycznym aspektem fenomenu Nawalnego są nie tyle jego ideologiczne przekonania, ile siła jego społecznego oddziaływania i umiejętność demaskowania putinowskiego systemu władzy. Wzrost popularności Nawalnego w ostatnich miesiącach sprawił, że wyłoniło się alternatywne centrum polityczne, niemające nic wspólnego ze strukturami reżimu Putina. Nawalny uzyskał znaczące poparcie społeczne, przychodząc spoza układów rządowych, i jest całkowicie niezależny od Putina.

Szansa na dobre zmiany

W tym kontekście „wzlot" Nawalnego to zupełnie inna historia niż prezydentura Dmitrija Miedwiediewa w latach 2008–2012. Chociaż Nawalny ostro atakował Miedwiediewa, ich polityczne poglądy na przyszłości Rosji jako europejskiego, nowoczesnego i demokratycznego kraju w istocie są do siebie podobne. Z tą różnicą, że Dmitrij Miedwiediew, choć uchodzi za reformatora, pozostaje produktem i zakładnikiem putinowskiego systemu, który nie pozwolił mu wyjść poza te ramy. Tymczasem pozasystemowy fenomen Nawalnego to potencjalnie śmiertelny wirus dla putinowskiego reżimu, nawet jeśli Nawalny nigdy nie miałby zostać prezydentem.

Podważając logikę putinowskiej piramidy władzy i metody społecznej kontroli, fenomen Aleksieja Nawalnego pociąga za sobą szansę odrodzenia merytorycznego pluralizmu w krajobrazie partyjnym, środkach masowego przekazu i ogólnie w życiu politycznym Rosji. Trudno przecenić wagę takiej transformacji rosyjsko-państwowo-społecznych relacji. Na przykład jak tylko narodowe telewizje staną się znowu płaszczyznami merytorycznych dziennikarskich śledztw i politycznych debat, wiele kluczowych epizodów biografii i rządów Władimira Putina stanie się przedmiotem nowej uwagi i analiz – od jego początkowego awansu pod koniec lat 90. aż po zagraniczne eskapady w ciągu ostatnich piętnastu lat.

Ostrożność w stosunku do Aleksieja Nawalnego będzie wskazana, jeśli kiedykolwiek wyjdzie on z więzienia i obejmie urząd państwowy. Jednak dzisiaj jego popularność i rodzący się ruch pełnią funkcję lodołamaczy wewnątrz skorumpowanego rosyjskiego systemu politycznego, szczególnie w stosunku do coraz bardziej represyjnej putinowskiej władzy autorytarnej.

Bardziej pluralistyczne i demokratyczne państwo rosyjskie wpłynie na bardziej umiarkowane wewnętrzne i zewnętrzne zachowanie dowolnego przyszłego rosyjskiego kierownictwa – w tym także rządu, na czele którego stałby sam Aleksiej Nawalny. Wobec braku – póki co – jakiejkolwiek alternatywnej drogi ku głębokim reformom w Federacji Rosyjskiej Nawalny zasługuje nie tylko na sympatię retoryczną. On i jego powstający ogólnonarodowy ruch opozycyjny powinni korzystać z pełnego politycznego poparcia wszystkich, którzy mają nadzieją na nową rosyjską demokratyzację. ■

eprasa.pl eda53d7007



Marcin Wolski

RÓŻNE ODCIENIE SZAROŚCI

Zwiedzą na temat PRL-u powoli staje się tak jak z wyobrażeniami mojego pokolenia o II wojnie światowej, znanej głównie z filmów polskiej produkcji. Obraz był jasny – bohaterscy Polacy, głupi i okrutni Niemcy, biedni Żydzi. Kolejnym uproszczeniem było przekonanie, że wszyscy konspirowali, a nieliczni kolaborowali, bez żadnego półcienia. A on był, i w dodatku olbrzymi. Podobnie z PRL-em – tych, którzy jawnie sprzeciwiali się systemowi, można było liczyć na palcach, a gdyby jeszcze oddzielić z tego grona konfidentów, proporcje wyglądałyby całkiem kiepsko i obalenie komuny zakrawałoby wyłącznie na cud.

Tymczasem w realnym życiu rywalizowały różne odcienie szarości – niczym na odbiorniku „Wisła", w którym nawet komunistyczna czerwień była szara. Szarość ta rzucała się w oczy przybyszom z obszaru walut wymienialnych – mizeria, brzydota, bylejakość. Ciekawe, że my sami nie zauważaliśmy tego na co dzień. Ale wystarczył wyjazd w świat i ślepota ustawała. Dla mnie parokrotny powrót z rejsu do Gdyni był jak cios obuchem między oczy.

Urodzonym w normalnych czasach trudno nawet wyobrazić sobie, że dylemat – być żołnierzem wyklętym albo ubekiem cenzorem – bywał rzadki, często wybór wynikał ze zbiegu okoliczności lub zwykłego pecha. Zresztą spotkałem w miarę przyzwoitych cenzorów, starających się puścić, ile się da („Więcej nie mogę, mam żonę i dzieci..."), i ewidentne nadgorliwe świnie. Widywałem działaczy partyjnych odważnie broniących ludzi na zebraniach, upominających się o skrzywdzonych, kończących na marginesie lub w grobie, i bezpartyjne kanalie – z których świństw i szkód mogłyby powstać całe hałdy.

Komuny – mimo że jest to widowiskowe – nie pokonał jedynie wielki zryw ani działalność szlachetnych opozycjonistów. Dokonał tego codzienny trud ludzi, którzy z różnych przesłanek nie przejmowali się werdyktami historii i nie przyjmowali nienormalności za normalność. Rodziców uczących dzieci pacierza, odważnych (choć bez przesady) nauczycieli, twórców, w tym dziennikarzy, którzy próbowali przynajmniej nie kłamać. „Lepsze jutro ludzkości" zostało pokonane przez zbiorowy wysiłek milionów ludzi, często nienależących do żadnego związku zawodowego – chłopów, którzy nie chcieli do PGR-u, i prywaciarzy, którzy nie dali zabić w sobie ducha przedsiębiorczości, zwierzchników broniących swoich ludzi i pracowników stających – zwykle bez szans – w obronie swego szefa. Na tej kombatanckiej liście nie może zabraknąć też „bab z cielęciną", milicjantów, którzy w odpowiednim momencie potrafili odwrócić wzrok, ludzi wspierających się w pracy, w sąsiedztwie... Ich heroizm polegał głównie na jednym – być przyzwoitym w nieprzyzwoitych czasach. I to nie zawsze. Mój mistrz i mentor z tamtych czasów Jacek Fedorowicz (tak, ten Jacek, którego wtedy kochałem i podziwiałem) powiedział kiedyś, że nie sposób przejść przez Morze Czerwone nie zamoczywszy nóg, ale zawsze można przebrodzić je, idąc po kostki, a można też wejść po szyję i jeszcze chlęptać!

I jeszcze jedna „oczywista oczywistość", którą polecam urodzonym wystarczająco późno, żeby nie musieć się tłumaczyć – bardzo łatwo przychodzi wygrywać bitwy, które się już odbyły, i oceniać przeszłość, znając przyszłość. W tamtych czasach nie spotkałem nikogo (może poza sklerotycznymi staruszkami), włączając w to opozycjonistów i konformistów, kto wiedziałby, albo chociaż przypuszczał, że za ich życia komuna się skończy, a Związek Radziecki się pokruszy. Stąd jeszcze większy szacunek dla wszystkich, którzy nie mając takiej perspektywy, zachowywali się tak, jakby ta istniała. ■

> „Lepsze jutro ludzkości" zostało pokonane przez zbiorowy wysiłek milionów ludzi, często nienależących do żadnego związku zawodowego. Ich heroizm polegał głównie na jednym – być przyzwoitym w nieprzyzwoitych czasach.

eprasa.pl eda53d7007



Tomasz Sakiewicz

Świat po koronawirusie

Najprawdopodobniej w maju tego roku będziemy mogli powoli wychodzić z okowów pandemii koronawirusa. Biorąc pod uwagę potencjał produkcji szczepionek i liczbę osób zakażonych, wiosna przyniesie koniec tego koszmaru. Już w kwietniu powinny być odczuwalne wyraźne zmiany. Tak wyglądają obecnie symulacje ekspertów, choć oczywiście jest jeszcze wiele niewiadomych.

Po pandemii nie wrócimy jednak do tego samego świata. Błyskawiczny rozwój komunikacji i wszelkich usług internetowych doprowadzi do zmian, jakich nie było w ostatnich dziesięcioleciach. Wielu z nas będzie stosowało hybrydowy system pracy, tzn. zarówno z wykorzystaniem tele- i wideokonferencji, jak i metod tradycyjnych. Oznacza to szybki wzrost efektywności firm, których wyniki zależą od sieci kontaktów zarówno wewnętrznych, jak i zewnętrznych. Kto będzie miał własną sieć, wygra podwójnie. Zdolność do bezpośredniego dotarcia do odbiorcy stanie się kluczowa we wszelkiego rodzaju akwizycji. Kiedyś sprzedawca czy akwizytor skupiał swoje zainteresowanie wokół miejsca zamieszkania, dzisiaj będzie się to działo wokół jego miejsca „zalogowania". Czyli w praktyce może oznaczać całą kulę ziemską. Walka o kontrolę nad siecią stanie się bitwą o globalny rynek. Jakie są kluczowe elementy sieci? Przede wszystkim chęć korzystania z niej przez użytkowników. Po drugie – baza danych, po trzecie – sprawne łącza, po czwarte – kontrola przepływu danych, tak żeby nie były zakłócane czy przejmowane przez kogoś z zewnątrz. W jaki sposób to uzyskać – to już kwestia zmieniających się technologii.

Dzisiaj na pierwszym planie stanęły media społecznościowe jako największy dysponent globalnej sieci. Jednak są one tylko fragmentem budującej się całości. Tak jak powoli następuje unifikacja telewizji i internetu, tak wkrótce nastąpi unifikacja bardzo wielu funkcji internetowych. Telewizja i radio będą elementem sieci mediów społecznościowych. Czyli będziemy je oglądać i współtworzyć w naszych grupach zainteresowań. To samo dotyczy handlu i usług. Pomieszanie i unifikacja różnych funkcji stanie się codziennością. Kluczem jest dzisiaj nie produkcja kontentu, lecz jak największy udział w sieci. Kto zepnie i zaktywizuje największą część użytkowników, ten zje największy kawałek tortu. Kontrolując sieć, będzie też miał coraz większy wpływ na samą produkcję. Nie sprzedamy czegoś, co nie znajdzie się w obiegu informacji. Jak coś będzie niesprzedawalne, to banki nie dadzą na to kredytów, a inwestorzy funduszy. Do takiego świata zmierzaliśmy, a właściwie od zawsze on istniał. Różnica była taka, że tradycyjny bazar był zawsze trochę lokalny, a sieć jest dzisiaj globalna. Pierwsze próby założenia globalnej sieci to Jedwabny Szlak – drogi na lądzie i opanowanie tras wodnych – na oceanach. Jednak te szlaki miały swoje ograniczenia. Dzisiaj sieć internetowa przejmuje kontrolę nad tradycyjnymi szlakami i tworzy własne. Wchodzimy do nowego świata. Kto się spóźni, będzie jedynie jego przedmiotem, wikłanym w coraz silniejsze zależności.

DZISIAJ SIEĆ INTERNETOWA PRZEJMUJE KONTROLĘ NAD TRADYCYJNYMI SZLAKAMI I TWORZY WŁASNE. WCHODZIMY DO NOWEGO ŚWIATA. KTO SIĘ SPÓŹNI, BĘDZIE JEDYNIE JEGO PRZEDMIOTEM, WIKŁANYM W CORAZ SILNIEJSZE ZALEŻNOŚCI.

Nie pomogą ustawy, jeżeli nie będą poparte realną konkurencją ze strony wielu grup. Wkrótce zresztą ustawy będą pisać politycy uzależnieni od sieci. Mam wrażenie, że w wielu miejscach to się już dzieje.

Nie jesteśmy bezwolni, ale na wezwania trzeba odpowiadać, póki mamy jeszcze coś do powiedzenia. ■

eprasa.pl eda53d7007

CYFROWY POLSAT

PROSTA OFERTA TELEWIZJI!

PAKIETY Z KANAŁAMI DLA CAŁEJ RODZINY OD **30 ZŁ/MIES.**



SATELITARNA KABLOWA IPTV INTERNETOWA

Na start pełna oferta przez

1 MIESIĄC BEZ OPŁAT!

Zaprezentowano kanały z różnych ofert telewizyjnych. Promocja dla nowych Klientów telewizji satelitarnej, kablowej IPTV oraz internetowej przy umowach ze zobowiązaniem od 30 zł/mies. i z okresem podstawowym na 24 okresy rozliczeniowe. „Bez opłat" nie dotyczy opłaty jednorazowej za aktywację dekodera, usług dodatkowych na czas nieokreślony oraz opłat za internet. Usługa telewizji kablowej IPTV działa z internetem stacjonarnym Plusa, Netii i Orange. Usługi telewizji internetowej i telewizji kablowej IPTV wymagają łącza o min. prędkości 8 Mb/s na dekoder. Szczegóły w Warunkach Oferty, Regulaminie Promocji i Regulaminie, dostępnych u Sprzedawców i na www.cyfrowypolsat.pl. Oferta ważna na dzień 22.02.2021 r.
„Ptaki nocy i fantastyczna emancypacja pewnej Harley Quinn" © 2020 Home Box Office Inc. LaLiga Santander w ELEVEN SPORTS | Zdjęcia: Getty Images.

eprasa.pl eda53d7007